

GOSIA NEALON

Jak odkryć prawdę,
gdy na jaw wychodzą
kolejne sekrety?

KOCHAJĄC WROGA

TAJEMNICE ŁĄCZNICZKI

znak

GOSIA NEALON

KOCHAJĄC

WROGA

TAJEMNICE ŁĄCZNICZKI

Przekład
Antoni Górny

Wydawnictwo Znak
KRAKÓW 2024

*Straconemu pokoleniu młodych ludzi,
których marzenia pochłonął ogień wojny*

CZĘŚĆ I

Gdy słyszę, jak gra Sonatę Księżycową Beethovena, coś we mnie umiera. Patrzę na własne skrwawione dłonie, a potem na diabła, który zasiadł za fortepianem Taty. Kukułka oznajmia nadejście następnej godziny, a ja przysięgam sobie, że któregoś dnia zabiję tego potwora.

WANDA ODWAGA

PIERWSZY

Wanda

1 kwietnia 1944

Warszawa

Idę w tłumie pełnym ludzi. Niesie się wśród nich jedno słowo: „łapanka”. Skołowana, brnę w głąb ulicy wybrukowanej kocimi łbami, w stronę ruin Zamku Królewskiego.

Szturchają mnie nieznajomi przechodnie. Byle tylko dotrzeć na plac Zamkowy, zniknąć w bocznej uliczce. Dopadają nas nagle kryte brezentem ciężarówki Niemców. Banda żołnierzy pod bronią zagradza drogę. Kobiety płaczą, mężczyźni klną. Ciało jednego z nich, trafionego w biegu, leży na chodniku w kałuży krwi. Nie mogę powstrzymać myśli o tym, jak łatwo odebrać komuś życie. Może ktoś właśnie na niego czeka, zamartwia się, tak jak ja martwię się o brata.

Robię krok w tył i kulę się za wysokim, starszym mężczyzną w kapeluszu i czarnym jak noc płaszczu. Przciskam do piersi małą paczkę owiniętą papierem pakowym: „Biuletyn Informacyjny”, zakazane pismo z antyniemiecką propagandą. Ostatnie, czego bym chciała, to by zrobili ze mnie więźniarkę polityczną, a niewątpliwie tak się stanie, gdy to przy mnie znajdą. Mam ochotę rzucić paczkę za siebie, w zwały gruzu, ale nie mogę – muszę ją dostarczyć. Rozglądam się więc w panice za okienkiem piwnicy, przez które mogłabym się przekraść. Właśnie tak Mateusz umknął kiedyś z kotła.

Nagle czuję lekkie szarpnięcie z tyłu. Jednoręki chłopiec macha do mnie z wąskiego przesmyku. Stoję w głębi tłumu, więc Niemiec z drugiej strony pewnie mnie nie widzi. To jedyna szansa na ucieczkę. Patrzę na niego, a serce bije mi jak szalone. Gdy tylko odwraca głowę, zaciskam usta i cofam się przykucnięta, czekając na strzały.

Siadam obok chłopca za zwałowiskiem, wewnątrz przesmyku. Trzęsę się, ścieram pot z czoła. Dusi mnie swąd padliny, ale jeszcze gorzej czuję się na widok betonowej ściany zamykającej ucieczkę. Z tej uliczki da się wyjść tylko na główną ulicę, tam, skąd przyszłam. Ogarnia mnie rozpacz.

Chłopiec gwałtownie zasłania usta palcem. Kiwam głową i cichnę. Całkiem sprytny ten maluch. Co on tu robi, sam, z dala od rodziców? Czy oni też są w kotle? Może nie mogli się tu skryć, bo jest za ciasno? Nigdy jeszcze nie dziękowałam Bogu za to, że stworzył mnie tak drobną.

Po chwili zaczyna się: huk wystrzałów w powietrze i rozpaczliwy krzyk ludzi. Krzyk, co tnie jak nóż i rozdziera serce. Jedni błagają o litość, inni bezwstydnie klną, a wszyscy są bezsilni. Żołnierze warczą: „*Schnell!*”, by tłum nie zbił się w gęstą masę. Zagubione dziecko płacze: „Mamusiu, gdzie jesteś?”. W pierwszym odruchu chcę ruszyć mu na pomoc, ale obezwładnia mnie strach. Skąd ta przemoc? To tak niesprawiedliwe.

Gdy ciężarówka odjeżdża, a ulica cichnie, nie mogę się podnieść. Przytłacza mnie myśl o tym, co czeka złapanych. Przyciskam dłoń do piersi, by stłumić rozpacz. To pierwsza łapanka, w której się znalazłam, ale jest ich ostatnio coraz więcej, w reakcji na działania podziemia. Myśl o tym, że Niemcy mszczą się na przypadkowych ludziach, budzi we mnie odrazę. Jeżdżą sobie po Warszawie i biorą każdego, kto się im nawinie. Hitler chce, by ten terror odebrał nam wolę walki. Ale ja wiem dobrze, że to nie zadziała. Nie poddamy się, dopóki ta przeklęta wojna się nie skończy i nie odzyskamy wolności.

Czekam z chłopcem w kryjówce, póki hałasy z ulicy nie milkną. Z jego wychudłej, brudnej buzi mrugają do mnie błękitne oczy. Ma na sobie utyłany płaszcz, za duży o kilka rozmiarów. Na płaszczu łata na łacie – jednak ktoś o niego dba. Ma pięć, może sześć lat.

– Jak się nazywasz? – pytam ściszonego głosem. W gardle mam gulę.

– Kubuś – szepcze spierzchłymi wargami, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Uśmiecham się, by dodać mu otuchy.

– Mieszkasz gdzieś w okolicy? – mówię szeptem.

Patrzy na mnie, nagle przestraszony. Drżącą ręką ociera wzbierające łzy.

– Babcia dziś nie wstała.

– Gdzie są twoi rodzice?

Muszę go odprowadzić, pewnie się o niego martwią. On tylko patrzy na mnie.

– Została mi babcia.

– No to zabiorę cię do babci, Kubusiu, pewnie na ciebie czeka. Pokażesz mi, gdzie mieszkasz?

Kręci głową.

– Ona jest już w niebie.

Czuję ukłucie w sercu, ale sama nie wiem, czy mówi prawdę. Bardzo chcę go jakoś pocieszyć.

– Dziękuję, że byłeś taki odważny i mi pomogłeś – mówię.

Mimo łez jego twarz rozjaśnia nieśmiały uśmiech.

– Widziałem, jak się pani kryła za tłumem, chyba miała pani stracha – odpowiada. – A żołnierze byli jeszcze dość daleko, mogła się pani schować.

Ten chłopiec długo nie pożyje bez pomocy. Jest taki mały. Nie mogę go tu zostawić.

– Posłuchaj, Kubusiu. Musisz mi zaufać. – Przyklękam i łapię go za jedyną rękę. – Zabiorę cię do miejsca, gdzie dostaniesz dobre jedzenie i czyste ubrania.

Ściskam go mocno.

– Obiecuję.

Powoli i ostrożnie zmierzamy na północ. Uspokaja mnie nieco pustka na Świętojańskiej – dobrze jest znów pooddychać świeżym powietrzem. Przez nawyk, i trochę ze strachu, przystaję przy drewnianej budce oklejonej ogłoszeniami. Uśmiecham się, by dodać mu otuchy.

– Muszę rzucić na coś okiem, potem idziemy.

Kiwa głową i ściska mocniej moją dłoń. Nerwowo szukam czerwonych niemieckich ogłoszeń z listą uwięzionych na Pawiaku i skazanych na śmierć w ruinach getta i innych, mniej znanych miejscach. Wreszcie natrafiam na nowy plakat z długim ciągiem nazwisk tych, których za dwa dni czeka egzekucja. Zamykam na chwilę oczy i zbieram wszystkie siły, by doczytać do końca. Ocieram pot z czoła. Może nie będzie tu mojego brata.

Po wszystkim biorę głęboki wdech. Znów mam nadzieję, że Mateusz jeszcze żyje, choć podejrzewam, że nie wszystkie nazwiska trafiają na listę. Na to nie starczyłoby im papieru. Jeszcze raz przeglądam wykaz, po czym modlę się za skazańców. Kolejny raz wmawiam sobie, że mój wesoły, zwariowany brat wciąż żyje. Dałabym wszystko, by usłyszeć jeden z jego głupawych dowcipów.

– Chodźmy, Kubusiu – mówię.

Za późno, by dostarczyć paczkę Witkowi. Pewnie już wyjechał z miasta na akcję. Mówił mi, że bym pod żadnym pozorem nie zostawiała jej komukolwiek innemu. A więc wracam z nią do domu. Pal sześć, że to niebezpieczne. Nie ma mowy o przejazdźce tramwajem, bo mogą mnie tam przeszukać. Wzdycham głośno.

– Czeka nas długa droga.

DRUGI

Wanda

— **C**ieszę się, że cię widzę, przyjacielu – mówię do Jacka, gdy mijamy go przy zaparkowanej rikszy.

Walczę ze sobą, by nie prosić go o pomoc. Już i tak ryzykuję życie tego chłopca, bo przecież mam przy sobie bibułę. Nie mogę wciągać w to Jacka.

– Klienci nie dopisali?

– Dzień dobry, panno Wando – odpowiada, a na jego piegowatej twarzy okolonej rudą szczecinią wyrasta niepewny uśmiech. – Na dziś fajrant.

Spogląda na Kubusia.

– Mogę się na coś przydać?

– Idziemy do domu.

– Uuu, to daleko – mówi. Jego spojrzenie zawisa na trzymanej przeze mnie paczusce. – Chodźcie, podrzucę was.

Wskazuje wełniany koc na siedzeniu rikszy.

– Cieszę się, że go dziś wziąłem – mówi, ściąga rower z chodnika i rozgląda się dookoła, po czym szepcze w moją stronę: – Będiesz miała pod czym to schować.

Za nic w świecie nie chcę, by miał przeze mnie kłopoty, ale jeszcze mniej uśmiecha mi się tak długa droga. Wsiadamy do rikszy, a mnie ogarnia olbrzymie poczucie winy.

Niczego innego się po nim nie spodziewałam: chłopak ma szesnaście lat, a dzień w dzień igra z losem, wożąc wiadomości dla podziemia. Mimo to boli mnie, że dokładam mu zmartwień; że przez to, że mi pomaga, może wpaść w łapy Niemców. Wsiadam jednak do rikszy, bo muszę zaprowadzić Kubusia w bezpieczne miejsce. Paczuszkę kładę sobie u stóp, koc zarzucam nam na nogi. O ile łatwiej byłoby wyrzucić te druki, ale przecież nie mogę. Wiem, ile pracy trzeba, by powstały. Wiem, jak ważne są dla takich jak ja. Ważne, bo przypominają, że ta beznadziejna wojna kiedyś się skończy, a życie wróci do normy: Polska będzie Polską.

Podróż na Żoliborz, cichy północny zachód Warszawy, nieśmiało odsunięty od Wisły, przebiega w całkowitym spokoju. Na Śmiałej jest tylko garstka przechodniów, których mało

obchodzi jakaś riksza. Żoliborz, mój Żoliborz, uśmiecha się do mnie drzewami pobielonymi pierwszymi przebłyskami wiosny. Najbardziej lubię go w tej właśnie odsłonie, taki, jakim go pamiętam z dzieciństwa. Za miesiąc rozkwitnie cudowną zielenią parków przytulonych do białych kamienic i will.

Zwalniamy i czar pryska.

– Szkopy – szepcze Jacek, a mi po plecach przechodzą ciarki.

Niech ten dzień już się skończy! Z deszczu pod rynnę, na dodatek nie mam pojęcia, co teraz robić. Z ust Kubusia dobywa się ledwie słyszalne jęknięcie, więc obejmuję go ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – mówię sztucznie spokojnym głosem. – Tylko spokojnie.

W głowie mi huczy. Spycham koc w dół, żeby w pełni przykrył paczkę. Przełykam nerwowo ślinę. Chce mi się płakać jak chyba nigdy w życiu. Jak wtedy gdy byłam malutka i nie wiedziałam, co robić, gdy mama się na mnie zezłościła.

Ulicę tarasuje trójkołowiec. Stoi przy nim dwóch żołnierzy w stalowych hełmach i szarych płaszczach. Lufy szmajserów łypią na nas groźnie.

– *Halt!*

Jeden z żołnierzy podchodzi, gapiąc się na mnie.

– *Kennkarte!*

Wydobynam fałszywe papiery, według których nazywam się Irena Małecka i pracuję w zarządzanej przez Niemców szwalni „Helga” w centrum miasta. Życie jest prostsze, gdy pracuje się dla Niemca. Żołnierz ogląda dokumenty z tępową miną – przynajmniej z pozoru. Jest młody, więc zastanawiam się, czy nie byłoby dobrze posłać mu uśmiech i poflirtować, odwrócić uwagę oglądą i słodyczą. Już parę razy ocaliłam tak skórę; żołnierze tylko niedbale salutowali i pozwalali jechać dalej. Może i tym razem się uda.

Mężczyzna unosi głowę, a jego niebieskie oczy patrzą na mnie zimno.

– Złazić.

Czuję, jak oblewa mnie zimny pot. Jeśli zejdem, zobaczy paczkę i każe ją otworzyć. Może nie zachce mu się buszować w rikszy, ale musimy z niej wyjść tak, by ten przeklęty pakunek pozostał pod kocem.

– Oczywiście, panie oficerze. Jak się pan dzisiaj miewa?

Rozluźnia uchwyt na karabinie i nieco się nachyla.

– Nie narzekam, już prawie koniec zmiany – mówi, a jego spojrzenie wędruje w stronę moich ust. – A jak ty się masz, panienko?

– Trochę się nudzę, przynajmniej na razie – odpowiadam, trzepocząc rzęsami.

– Hehe – rechocze. – Ja mam w planach porządną wyzerkę i przyjemną muzyczkę w Café Greta. Może dołączysz?

Nie podoba mi się jego butna mina, ale jeśli odmówię, pokaże, jaki charakter ma naprawdę. Udaję, że zaproszenie przypada mi do gustu.

– Jasne, tylko o której, przystojniaku?

Będzie tam na mnie czekał choćby całą noc, a się nie doczeka.

– O, właśnie się tam wybieramy, cukierczku, i nawet mam miejsce dla ciebie – odpowiada z krzywym uśmiechem. – Powiedz rikszarzowi, żeby zawiózł chłopca do domu. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś mu się przytrafiło.

O nie, nie tak to miało wyglądać. Może przesadziłam z tym flirtem. Pierwszy raz zdarza mi się, że żołnierz zaprasza mnie na randkę. Przechodzi mnie dreszcz. Muszę jakoś z tego wybrnąć. Myślałam, że po prostu się uśmiechnie i puści nas wolno.

– Świetny plan, nie mogę się doczekać. I dziękuję, że pozwolił pan, żeby mój brat dojechał spokojnie do domu. Dużo przeszedł, a teraz jeszcze ten tyfus – wzdycham zatroskana. – To taki biedny dzieciak.

Chwytam prawy rękaw płaszcza Kubusia i podrzucam go do góry.

– Ostatnio musieli mu amputować rękę.

Kubuś wydaje z siebie cichutkie rżenie. Żołnierz sztywnieje nagle, a jego twarz wykrzywia grymas obrzydzenia. Wpycha mi z powrotem papiery do ręki.

– Zmiataj stąd, pindo.

Odwraca się i odchodzi, nie oglądając się. Jestem tak rozedrgana, że zapominam poprawić koc na naszych nogach, tylko szybko rzucam do Jacka, by jechał.

– Blisko było – mówi, gdy jesteśmy już spory kawałek dalej. Kiwam głową i próbuję się uspokoić.

Tata mówił mi kiedyś, że Niemcy boją się chorób zakaźnych. Taka wiedza potrafi czasem uratować człowiekowi skórę. Mam dwadzieścia trzy lata; to już piąty rok tej krwawej okupacji. Każdego dnia modłę się o bezpieczny powrót do rodziny i trawi mnie lęk, że mnie złapią lub zabiją. Jakbym czekała na wykonanie wyroku, nie znając dnia ani godziny. Ale to nie dziś – jeszcze nie.

TRZECI

Wanda

Kiedy widzę nasz biały domek skryty w cieniu wielkiego srebrzystego świerka, mój umysł ogarnia błogi spokój. Tak dobrze być znów w domu.

– Może wejdiesz? – pytam Jacka, gdy zsiada z roweru, żeby otworzyć bramę.

– Następnym razem, panno Wando. Muszę wrócić przed godziną policyjną.

– Do zobaczenia wkrótce!

Wydaje się, że dom zastygł w zupełnym bezruchu, póki czaru nie rozwiewa brzęk garnków i blach dobiegający z kuchni. Mama chyba znowu ma te swoje humory. Otwieram kolejne, podwójne drzwi. Tata z okrągłymi okularkami na nosie siedzi przy stole w jadalni i grzebie śrubokrętem w skrzynce radia. Nad jego głową, niczym Anioł Stróż, wisi elegancki kryształowy żyrandol, pamiątka lepszych czasów. Z taty zawsze był buntownik – niemieckie dekrety i zakazy tego nie zmieniły.

– Cześć, tato. Przecież wiesz, że mama nie lubi, gdy zabierasz się za swoje radio – mówię, z trudem powstrzymując śmiech. – Przynajmniej oszczędź jej dzisiaj Chopina, bo dostanie zawału.

Nie są to żarty: i jedno, i drugie jest karane śmiercią. Tata, szpakowaty pan po siedemdziesiątce z pomarszczoną twarzą, jest jednak wciąż pełen życia.

– Jesteś, słoneczko – odwraca się do mnie, a jego zmęczone oblicze rozświetla wyraźna ulga. – Tak, tak, dziś żadnego Chopina.

Choć porzucił praktykę lekarską już sześć lat temu, znów zgłosił się do pracy w szpitalu. Pieniądze z naszego konta wyparowały, więc znalazł sposób na to, by nas utrzymać i umożliwić mi kontynuowanie studiów anglistycznych na tajnych kompletach. Tygodniowy przydział kartek, które dostajemy od Niemców, nie wystarcza na przeżycie, więc tata pędzi bimber w piwnicy. Zyski ze sprzedaży wydaje na czarnym rynku – wszystko to, oczywiście, nielegalne, ale na samych kartkach można w najlepszym razie umrzeć z głodu. Jego działalność zwiększa ryzyko, że nas złapią i ukarzą, z czym musimy się liczyć. Mamy teraz dość jedzenia, a przede wszystkim nie straciliśmy godności. Tata często się śmieje, jak to kiwa okupanta, ale ja i mama trzęsiemy się ze strachu, gdy tylko ktoś zapuka do drzwi.

Spojrzenie taty przesuwają się w kierunku Kubusia i wyraz ulgi zastępuje zaskoczenie.

– A cóż to za kawaler? – pyta zdziwiony, jednak spojrzenie ma przyjazne.

W drzwiach kuchni staje mama. Skrzyżowała ręce na brzuchu i patrzy poważnie.

– Wszystko wam powiem, ale najpierw trzeba nakarmić tego brzdąca – mówię nagle wyzuta z wszelkich sił. Surowość mojej matki niezmiennie mnie osłabia.

– O tak, tak, on pewnie umiera z głodu – mówi tata i prowadzi nas do kuchni.

Po kolacji pomagam Kubusiowi się umyć i ubieram go w bawełnianą koszulę, którą znalazłam w sypialni brata. Koszula jest za duża, ale za to czysta; Kubuś będzie dziś spał w jego łóżku. Przykrywam go dokładnie kołdrą, która wciąż pachnie wodą kolońską Mateusza, choć nie spał tu przecież od tak dawna.

– Opowiedzieć ci bajkę? – pytam, z trudem powstrzymując się od ziewania. Może dobrze przespana noc poprawi mi nastrój.

Kubuś kiwa głową.

– Czy on ma jakieś imię? – pyta, przytulając się do starego pluszowego misia.

– Możesz mu nadać własne, kochanie. Kiedy mój brat był mały, mówił na niego Misiu.

Twarz Kubusia rozjaśnia uśmiech.

– Podobają mi się. Wiesz, czemu ma tylko jedno oczko?

– Nie jestem pewna, ale na pewno jest ważny, bo inaczej dawno by go tu nie było – mówię, po czym uśmiecham się. – Mój brat lubił bawić się w lekarza, pluszaki były jego pacjentami. A teraz naprawdę jest lekarzem.

– Babcia mówiła mi, że ja też jestem ważny i że dlatego Bóg zabrał moją rękę do nieba – opowiada Kubuś drżącym głosem. – Ale czasem chciałbym, by mi ją oddał.

Ścisną mnie w gardle. Nie wiem, jak należy rozmawiać z dziećmi, więc boję się, że to, co teraz powiem, może go zranić. Dalej patrzę mu w oczy.

– Twoja babcia miała rację. Jesteś wyjątkowy i dzisiaj tego dowiodłeś.

– Tęsknię za nią. Nie wiesz, czemu się nie obudziła?

Starannie dobieram słowa.

– Wiem, że to niełatwo zrozumieć, ale ludzie czasem się nie budzą – mówię i patrzę w górę. – Twoja babcia na pewno czuwa nad tobą w niebie. Jest teraz twoim Aniołem Stróżem.

Robi się jeszcze smutniejszy. Chyba nie pomogłam mu poradzić sobie z bólem. Powinnam poprosić tatę, żeby z nim o tym porozmawiał.

– Babcia mówiła, że mama jest moim Aniołem Stróżem. Ona też jest w niebie.

Co za biedactwo. Nie ma już nikogo na świecie.

– Wiesz może, gdzie jest twój tata?

– Jest tylko mama. W płaszczu mam jej zdjęcie. Pokażę ci jutro.

– Chętnie je zobaczę.

Muszę mu pomóc na wszystkie możliwe sposoby. Nie mogłam ocalić tamtego dziecka z łapanek, które wołało mamę tak przerażone, że czułam się kompletnie bezsilna, ale tego chłopca będę bronić do ostatniej kropli krwi. Prędzej umrę, niż pozwolę komukolwiek go skrzywdzić.

Kubuś ziewa.

– Obiecałaś bajkę.

– Oczywiście, słoneczko. Znasz bajkę o siedmiu krasnoludkach?

– Nie.

Zasypia przed końcem.

Marzę o kąpeli i ciepłym łóżku, ale rodzice na mnie czekają. Taty nie zmartwi, jeśli do nich nie zajdę, lecz mama będzie zła. Pewnie właśnie udoskonala sposób na pozbycie się wszy. Wzdycham i idę do kuchni. Tata siedzi przy małym stoliku i pije kawę, którą mama zrobiła z żołądzi. Z braku tej prawdziwej nauczyliśmy się cenić jej gorzki orzechowy smak.

Mama dalej krząta się przy białym kaflowym piecyku na drewno, nad którym wiszą poczerniałe garnki i drewniane łyżki.

– Mam stary przepis na środek na wszy – mówi, zdejmując fartuch i siadając do stolika. Jej koścista dłoń gładzi obrus, a brązowe oczy powoli zwracają się w moją stronę.

– Żadnych na nim nie znalazłam. Chyba niedługo mieszkał na ulicy.

– Śpi już?

– Tak – odpowiadam i zaraz milknę, szukając odpowiednich słów. – To taki słodki chłopiec, mamó. Spodobał mu się pluszowy miś Mateusza.

Milczy przez chwilę, ale w jej oczach widzę błysk irytacji. Odkąd mój brat zniknął, mama snuje się jak duch. Zawsze była z niej tyczka, ale teraz jest jeszcze bardziej koścista, a czarne jak smoła włosy zebrane w kok z tyłu głowy wydają się wyblakłe. Stuknęła jej pięćdziesiątka; wciąż jest piękna, ale nie bije od niej dawne światło. Kiedy nie krząta się po kuchni, przesiaduje w pokoju Mateusza, pieszcząc każdy przedmiot jak relikwię.

– Misiu – szepcze. – Tak go nazywał, gdy był mały.

Mam ochotę ją przytulić i powiedzieć, że wszystko się ułoży, ale między nami jest ściana, którą wznosiłyśmy latami. Mama zawsze wielbiła Mateusza, wysokiego przystojniaka – odziedziczył po niej błyszczące czarne włosy. Tata chyba też to widział i starał mi się to wynagrodzić. Moje najlepsze wspomnienia z dzieciństwa wiążą się właśnie z nim. Nauczył mnie grać na fortepianie i kochać muzykę Chopina. Nauczył mnie dostrzegać ból innych i iść im na pomoc. Nauczył mnie, jak ważne jest, by wierzyć w siebie. To on pocieszał mnie, gdy miałam złamane serce, i to do niego przychodziłam, gdy chciałam się wypłakać.

Z tatą miałam taką więź, jaką inne dziewczyny miały ze swoimi matkami. Moja mama była dla mnie zagadką. Jako nastolatka widziałam w niej pięknego łabędzia, a w sobie brzydkie

kaczątko z jasną, popielatą czupryną.

Opowiadam rodzicom, jak trafiłam na Kubusia.

– Jak widzicie, to on mnie uratował. Muszę mu pomóc, jak tylko się da.

Tata odzywa się głosem łagodnym, ale pewnym.

– Ten chłopiec zostanie z nami, póki nie dowiemy się więcej o jego rodzinie.

– Kochanie... – odzywa się mama, ale nagle przerywa jej ciche pukanie do drzwi.

Podchodzę do okna i zatyka mnie, gdy widzę dwa czarne samochody i grupkę żołnierzy. Moje serce przestaje bić.

– Gestapo – wyduszam z siebie z trudem niezdolna zapanować nad własną paniką. Patrzę na tatę, który już ruszył do salonu. Jakim cudem nie usłyszeliśmy silników? Idziemy za nim.

– Gdzie twoja paczka? – pyta, nie patrząc na mnie, dziwnie spokojnym głosem.

– W schowku pod podłogą.

Tata dobrze nas przygotował na takie sytuacje. Kiedy zauważył, że zdarza mi się wrócić do domu z bagażem, urządził schowek pod deskami w sypialni Mateusza. Sama myśl o tym, że Gestapo mogłoby odkryć kryjówkę, przyprawia mnie o dreszcze. A teraz jeszcze śpi w tym pokoju niewinny, mały chłopczyk.

Przełykam nerwowo ślinę, gdy znów rozlega się pukanie. Tata patrzy na nas raz jeszcze i pomału podchodzi do drzwi. Kusi mnie, by zabronić mu je otwierać, choć wiadomo, że nie ma wyboru. Wejdą tutaj po dobroci albo siłą. Jednak to ostrożne pukanie wydaje się dziwne, jakby za oknem wcale nie stali żołnierze.

Mama i ja wychylamy się, patrząc, jak tata przyciska klamkę. Gdy drzwi się otwierają, zamieram ze strachu. Oczy mężczyzny w szarym mundurze z odznaką SD są przerażająco zimne i puste. Czuję całym ciałem, że przyszedł tu, aby zadać nam ból, skrzywdzić Kubusia. Znów przełykam nerwowo ślinę, lękając się tego, co powie.

– Witam, doktorze Odwaga – mówi uprzejmym tonem. – Jestem *Hauptsturmführer* SS Stefan Keller, przyszedłem do pana w pilnej sprawie.

Kolejny raz przełykam nerwowo ślinę i robię krok w tył. Czy przyszedł mnie aresztować? Czy ktoś mnie zdradził?

CZWARTY

Wanda

— **C**zym mogę służyć, panie kapitanie?
Usta gościa wykrzywia cyniczny uśmiezek.
— Mogę wejść? – pyta, wpatrując się w twarz taty.

Tata zaprasza go do środka i obaj siadają przy stole. Co on tu robi? I czemu tamci żołnierze czekają na zewnątrz? Myślę, że z tego faceta jest grubszy manipulator, który nie zawaha się grać nieczysto, by osiągnąć swój cel. Mama serwuje kawę, po czym kładzie mi dłoń na ramieniu, zapraszając do wyjścia.

— Drogie panie, proszę zostać z nami – odzywa się gość.

Ma głęboki głos, który drażni moje nerwy, ale jestem posłuszna i robię to co mama. Siadam przy stole po stronie taty. Gość intensywnie się w niego wpatruje.

— O pańskiej pracy, doktorze, mówi się w samych superlatywach – stwierdza i upija nieco kawy. Nie skrywa niesmaku.

— Dziękuję, kapitanie. Jestem już na emeryturze, ale nigdy nie przestałem lubić mojego zawodu.

Gość śmieje się krótko.

— Na wojnie nie ma czegoś takiego jak emerytura. Poza tym fachowcy tacy jak pan są nam potrzebni.

— Z radością wsparłbym was swoją wiedzą i umiejętnościami, gdybym miał jakieś dziesięć lat mniej...

Tata wzdycha i wyciąga dłoń.

— Ten piekielny artretyzm nie da mi już operować, a i wzrok był kiedyś ostrzejszy.

Niezły z niego łgarz. Gość kiwa głową, odrywając oczy od twarzy taty.

— Rozumiem. Ale pan mnie nie rozumie, doktorze. Szanuję pana, lecz myślałem o kimś innym.

Czy może mu chodzić o Mateusza? Nad stołem zawisa nieprzyjemna cisza, jakby pośrodku salonu leżała tykająca bomba. Jakby nasz los spoczywał w rękach tego gościa i żołnierzy, których w każdej chwili może wezwać, by dopełnili dzieła zniszczenia. Tata odchrząkuje.

– Od lat nie praktykuję, nie jestem więc w stanie polecić kogokolwiek innego – mówi dość niepewnie.

– Pański syn zasłynął zręcznością i nowatorskim podejściem, prawda? – Jego głos jest teraz cichszy i płaski, a ja na moment zapominam oddychać.

Mój ojciec śmieje się w głos i macha lekceważąco ręką, jakby pytanie kompletnie nie miało sensu.

– Moim zdaniem najzręczniejszych lekarzy i prawników znajdzie pan w Rzeszy. My możemy co najwyżej pomarzyć o ich pomysłowości.

Gość nie dzieli wesołości taty; nawet się nie uśmiecha.

– Czy wie pan, gdzie go znajdę?

Tata nie odpowiada. Oficer kieruje ku mnie dziwnie pociemniałe spojrzenie. Przechodzi mnie dreszcz, ale staram się nie pokazać tego po sobie. Jego twarz wykrzywia złowieszczy grymas.

– Ma pan uroczą córkę, doktorze. Moi ludzie... – gestem wskazuje okno. – Oni bardzo lubią takie młode i świeże dziewczęta.

Do gardła podchodzi mi fala nagłej złości. Mam olbrzymią ochotę dać mu w twarz. Za kogo on się uważa, że wchodzi do naszego domu i zachowuje tak, jakby nasze przeżycie zależało od jego dobrej woli? Bezmyślnie, wbrew wszystkiemu, czego nauczyłam się w podziemiu, nachylam się i strącam stojącą przed nim filiżankę. Kawa oblewa jego paskudny mundur. Szok, który maluje się na twarzy Niemca, z początku mnie cieszy, ale potem nagle uświadamiam sobie, co zrobiłam. Jak mogłam być tak beznadziejnie głupia? Idiotka.

Mamę zatyka. RzUCA się do kuchni i chwilę później wraca ze ścierką. Gdy wyciera mundur gościa, ten siedzi prosto na krześle i patrzy na mnie szarymi, pełnymi zimnego gniewu oczami. Ta nienawiść przyprawia mnie o drżenie. On mnie zabije. Zabije nas wszystkich, bo zachowałam się impulsywnie i bezmyślnie.

– Proszę wybaczyć mojej córce, kapitanie – mówi tata głosem tak smutnym, że pęka mi serce. – Jest młoda i niezdarna.

Niemiec wali pięścią w stół.

– Zamknij się, głupcze!

Zastygamy w bezruchu. Niespokojną ciszę zakłóca dźwięk małych stóp, a potem głos Kubusia.

– Panno Wando, chce mi się pić.

Gość śmieje się ostro i za chwilę przez drzwi wpada banda żołnierzy. Chwytam Kubusia w ramiona. Krępy gestapowiec w czarnym skórzanym płaszczu odpycha mnie, by zrobić miejsce pośrodku pokoju. Niechciany gość dalej siedzi przy stole i patrzy na nas gniewnie.

– Doktorze Odwaga, proszę powiedzieć: kiedy ostatnio widział pan syna? – pyta gestapowiec nienaganną polszczyzną. To musi być folksdojcz.

– Ponad rok temu – odpowiada tata, patrząc mu prosto w oczy.

– I w tym czasie nie miał pan od niego żadnych wiadomości?

– Tak jest.

– Kłamiesz, stary głupcze!

Nalaną twarz skrzywia gniewny grymas.

– Pytam ostatni raz.

Jego spojrzenie wędruje do mamy, a potem do mnie. Małe oczka patrzą na mnie jak na pęto kiełbasy na czarnym rynku.

– Ma pan piękną córkę, doktorze. Nie martwi się pan o nią?

Tata nie odpowiada. Mężczyzna zwraca się do gościa siedzącego przy stole i mówi mu czystą niemczyzną, że trzeba nas zabrać na Pawiak. Gość nakazuje mu kontynuować przesłuchanie, więc gestapowiec podchodzi do mnie i przystawia pistolet do potylicy Kubusia.

– Powiedz, gdzie jest Mateusz Odwaga, albo ten chłopiec zginie. Masz trzydzieści sekund.

Sparaliżowana strachem, przyciskam chłopca mocniej do siebie. Nie mogę powstrzymać drżenia. W głowie mi wiruje. Zasłonię go; gdy ten bydlak postanowi strzelać, wezmę kulę na siebie.

– Proszę ich nie krzywdzić. Nie wiemy, gdzie jest nasz syn – mówi zdesperowany tata.

– Panie oficerze, proszę, błagam... – jęczy mama, po czym wybucha płaczem i pada na kolana u jego stóp.

Gestapowiec nie zwraca na nią uwagi. Szarpie zamek parabelki i odlicza.

– Pięć, cztery, trzy...

Nagle rozlega się strzał. Mężczyzna chwieje się i upada. Krew chlusta z jego ust na nasz perski dywan. Jestem tak wstrząśnięta, że czuję tylko adrenalinę. Nagle dostrzegam, że tata trzyma w dłoni mały rewolwer. Chcę do niego podbiec, ale nie mogę. Strach zmienia mnie w słup soli i z każdą chwilą narasta. Pada strzał – w pierś taty; gość przy stole dzierży dymiący pistolet. Wyrywa się ze mnie szloch. Serce boli, jakby za moment miało przestać bić.

Okrutny, paskudny rechot gościa uderza we mnie z taką siłą, że z trudem łapię oddech. Świat wiruje. Wszystko jest rozmazane. Zamykam oczy, a w mojej głowie wciąż brzmi ten strzał i demoniczny śmiech. To niemożliwe. Mój ojciec przecież żyje, przecież to mi się przywidziało. W przypływie nadziei otwieram oczy. Teraz widzę jasno. Spełnił się mój najgorszy koszmar.

– Tato! Nie!

Rzucam się ku niemu, ale mama już go tuli, kładzie jego głowę na swoich kolanach. Jego oczy są otwarte. Patrzy na mamę.

– Przepraszam – mamrocze.

Wstrząśnięta, odsuwam Kubusia i zrywam z siebie sweter. Związuję go i przyciskam do piersi taty, choć wiem, że to nic nie da. Pewnie zaraz nas stąd zgarną. Zabójca taty stoi po prawej stronie i warczy do kogoś, by sprawdził, czy mężczyzna w czarnej skórze żyje. Twarz skręca mu ironiczny uśmiech. Łyska na nas zębami. Nasza tragedia sprawia mu przyjemność.

Łagodnie oczy taty zwracają się ku mnie.

– Kocham...

Chwytam jego dłoń, ale już go nie ma. Mama obcałowuje jego głowę i jęczy histerycznie.

– Nie zostawiaj mnie! – powtarza w kółko.

Zakrywam twarz rękami poplamionymi krwią taty. Płaczę. Czuję dłoń Kubusia na ramieniu, ale jestem w szoku i nie mogę się ruszyć, by go objąć.

– Co z kobietami? Zabijamy czy aresztujemy? – pyta po niemiecku jeden z żołnierzy.

– Na nic nam już ten stary dureń – mówi zabójca taty. – To samo ta suka i jej podły pomiot. Nie warto marnować kul.

Gapi się na mnie z satysfakcją i obrzydzeniem. Żołnierze czekają na jego rozkaz.

– Niech sobie pocierpią. Głupiec zdołał zabić tylko tego wieprza, a to przecież nie był nawet prawdziwy Niemiec.

Odchodzi zły, ale przystaje przy fortepianie w rogu i wskazuje na ścianę.

– Ten ze słonecznikami. Nawet kopia van Gogha zasługuje na lepszy dom niż ten chlew.

Żołnierze zdejmują obraz ze ściany, a on siada do fortepianu i kładzie dłonie na klawiszach. Tych samych, których codziennie dotykał tata. Moją pierś rozrywa ból, jakby ktoś tłukł młotem kowalskim. Gdy słyszę, jak gra *Sonatę Księżycową* Beethovena, coś we mnie umiera. Patrzę na własne skrwawione dłonie, a potem na diabła, który zasiadł do fortepianu taty. Kukułka oznajmia nadejście następnej godziny, a ja przysięgam sobie, że któregoś dnia zabiję tego potwora.

PIĄTY

Finn

Dwa tygodnie wcześniej

Biuro Służb Strategicznych (OSS), Waszyngton

Wchodzę do przestronnego biura z wykładziną na podłodze, mahoniowym biurkiem i wielką mapą świata na ścianie. Za oknem widzę panoramę Waszyngtonu zalaną popołudniowym słońcem. Zza biurka wychodzi szpakowaty mężczyzna i wyciąga do mnie dłoń. To moje pierwsze spotkanie z pułkownikiem Howardem, kluczową postacią w OSS.

– Kapitan Keller – przedstawiam się.

Przygląda mi się miłymi zielonymi oczyma, po czym wskazuje fotel.

– Proszę siadać.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Wraca za biurko i mości swe długie, szczupłe ciało w czarnym skórzanym fotelu.

– Może się czegoś napijecie? – pyta uprzejmie.

– Nie, dziękuję.

– No dobrze, przejdźmy zatem do konkretów.

Uśmiech na dłużej zatrzymuje się na jego twarzy. Zakłada okulary w drucianej oprawie. Jest na tyle przyjazny, że nieco się rozluźniam.

– Z tego, co widzę, i z tego, co słyszałem, wychodzi na to, że jesteście jednym z naszych najlepszych agentów – mówi, wskazując teczkę spoczywającą na blacie biurka.

– Robię, co trzeba, panie pułkowniku.

Raczej nie wezwał mnie tu, by poprawić mi samopoczucie. Mam nadzieję, że nie chodzi o to, żebym znów wybrał się na misję do Europy. Nie minął tydzień, odkąd wróciłem z Grecji. Liczyłem, że dadzą mi trochę odsapnąć. Howard usadawia się wygodniej i pilnie się we mnie wpatruje.

– Przypomina mi pan dziadka. Bardzo go szanuję. Jak się miewa?

– Ma pełne ręce roboty w swojej kancelarii – mówię z uśmiechem. – Dziękuję za troskę.

Dziadek i pułkownik walczyli razem w Wielkiej Wojnie, ale nie spodziewałem się, że zdążyli się wówczas poznać. Howard kiwa głową.

– Wy także jesteście z wykształcenia prawnikiem, prawda?

Czy on mnie sprawdza?

– Obawiam się, że nie. Został mi rok do dyplomu. Chwilowo są pilniejsze sprawy.

– Jesteś prawdziwym patriotą, synu – mówi, starannie dobierając słowa. – Twój ojciec też był prawnikiem. Przyjmij, proszę, najszczerze wyrazy współczucia.

W jego oczach współczucie miesza się z czymś, co wygląda na ciekawość. Czuję, że zaczynam się czerwienić.

– Dziękuję, ale pewnie pana nie zdziwi, że myśl o ojcu wiąże się dla mnie z pewnym wstydem.

Nie znoszę nazywać tego monstrum moim ojcem.

– Nie winię cię, synu – mówi pułkownik Howard z westchnieniem. – Słyszałem, że został jednym z najbliższych doradców Hitlera. Jako prawnik miał wielkie możliwości. To, że dał się uwieść tej chorej ideologii, to prawdziwy powód do wstydu.

– Mój ojciec sprzedał duszę diabłu.

Myśl o tym, że zginął od samobójczego strzału w głowę, sprawia, że ciśnie mnie w piersiach i zaczynam czuć się nieswojo. Zastanawiałem się nieraz, czy do samobójstwa przywiodło go szaleństwo czy skrucha. Choć dla mnie nie ma to znaczenia.

– Przykro mi – mówi Howard z zatroskaną miną. – Czy macie kontakt z bratem?

– Nie, od jedenastu lat go nie widziałem. Nie odpisuje na listy.

Po co te wszystkie pytania o moją rodzinę? Myśli, że jestem niemieckim szpiegiem?

– Chciałbym was zapewnić, kapitanie, że wam ufamy. Daliście wystarczający dowód swojej wierności, a wasza rodzina tu, w Ameryce, niezmiennie cieszy się szacunkiem.

Czy on właśnie czyta mi w myślach?

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– Co wiecie o waszym bracie i jego roli w tej wojnie?

– Tylko tyle, że został członkiem partii nazistowskiej i dostał przydział gdzieś w Europie – odpowiadam. Kolejna wzmianka o moim bracie sprawia, że nerwowo przełykam ślinę i zaciskam usta. Ostatnią rzeczą, o której chcę teraz rozmawiać, jest haniebna działalność Stefana.

– Konkretnie w Polsce. Jest grubszą rybą w warszawskim oddziale Gestapo.

Milknie i wpija we mnie swoje zielone oczy. Atmosfera gęstnieje.

– Jest bezpośrednim podwładnym podpułkownika SS Arthura Veichta w wydziale, który zajmuje się tropieniem i likwidacją polskiego ruchu oporu. Przedtem pański brat uczestniczył

w masowych mordach na polskich Żydach. Wciąż tropi ukrywających się Żydów. Polacy mówią o nim „Krwawy Stefan”.

Przeszywa mnie dreszcz.

– Pierwszy raz o tym słyszę – mówię głosem, który nawet mnie wydaje się niepewny.

Wiedziałem, że Stefan jest zdolny do najgorszego, ale masowe mordy? Nie mogę w to uwierzyć. Jednak gdzieś w głębi czuję, że to musi być prawda. Zawsze miałem desperacką potrzebę bronienia brata przed oskarżeniami o najgorsze rzeczy, ale to było wieki temu. Dziś obaj jesteśmy dorośli. On wybrał drogę zbrodni.

– Wszystko w porządku?

W migdałowych oczach pułkownika dostrzegam błysk zrozumienia. Wstaje i sięga po butelkę szkockiej i szklankę, stojące na stoliku obok biurka.

– Proszę, niech się pan napije.

Chwytam szklankę, alkohol faluje jak wzburzone morze. Nie mogę powstrzymać drżenia rąk. Wychylam jednym haustem. Natychmiast czuję płomień w gardle i kojące ciepło w żyłach.

– Dziękuję. Proszę kontynuować, panie pułkowniku.

Kotłuje się we mnie nieopanowana złość. Mam już serdecznie dość przeproszania za rodzinę, jakby to cokolwiek zmieniało. Czemu tak boli, gdy o tym myślę? Jak daleko muszę uciec, by to już nigdy więcej do mnie nie wróciło? Jedyne sensowny wybór to akceptacja: tak, mój brat to zimny drań, który nigdy się nie zmienia. Ale konsekwencją tej decyzji jest całkowite wymazanie naszej relacji.

Początkowy gniew zmienia się w bezradność wobec zła, które czyni Stefan. Nie da się naprawić szkód, które wyrządził. Nie przywrócę życia pomordowanym. Nie ukoję bólu, który sprawił. Nie mogę dać odporu jego działaniom.

– Armia Krajowa, polska organizacja podziemna, obserwuje Veichta od dłuższego czasu. Nie znalazła do tej pory sposobu na usunięcie go. Veicht to chytra zmija.

Pułkownik milknie. Twarz mu tężeje.

– Ze Stefanem takich problemów nie ma.

Mam kulę w gardle.

– Czy oni...

Co mnie to właściwie obchodzi? Jeśli zginął, mam problem z głowy. Przełykam kulę i wstrzymuję oddech.

– Nie, jeszcze nie. Ale to nie potrwa długo. Tyle że to żadne rozwiązanie, bo Berlin przyśle na jego miejsce innego zbrodniarza.

Mężczyzna znów bacznie mi się przygląda.

– Jest inna droga. Możemy dużo zyskać, jeśli to pan zajmie jego miejsce, kapitanie.

Ogarnia mnie ulga. Czyli jeszcze żyje. Powinienem być zły, że go nie zabili, że nie powstrzymali krzywd, które wyrządza. I nagle dociera do mnie, co powiedział Howard. Czy dobrze go zrozumiałem?

– Mam zająć jego miejsce? – pytam w nadziei, że się przesłyszałem.

– Tak. Jesteście bliźniakami. Gdy ruch oporu go przechwyci, pan zajmie jego miejsce. Od tego momentu będzie pan przekazywać wszystkie uzyskane informacje ludziom Państwa Podziemnego.

Przygląda mi się bacznie przez chwilę, jakby próbował ustalić, czy podołam.

– Słuchaj, synu. Wiem, że to nie służy sprawie, gdy agent jest osobiście zaangażowany, i wierz mi, że nie prosiłbym cię o to, gdybym miał inne wyjście. Nie oczekuję, że z miejsca się zgodzisz. Zastanów się spokojnie i odezwij się jutro.

– Nie ma takiej potrzeby, panie pułkowniku. Wiem, co muszę zrobić. Widzi pan, nie zmienię faktu, że to mój brat, ale brzydzę się tym, co robi, i przekonaniami, które żywi. Żal za niewinnych, których zamordował, pozostanie we mnie na zawsze. Zdecydowałem, że zrobię, co tylko będę mógł, by odpłacić choćby za część jego zbrodni.

Ścisnięte gardło i płuca odbierają mi na chwilę oddech.

– Zastąpię Stefana, ale mam warunek. On musi przeżyć. Moja matka na to zasługuje.

– Zrobię, co w mojej mocy – odpowiada Howard ponuro i odchrząkuje. – Tyle mogę panu obiecać.

– Dziękuję.

Czuję ulgę, bo nie wygląda na to, że tylko się nade mną lituje.

– Kiedy mam wyruszyć?

– W ciągu dwóch tygodni. Zrzucimy was nocą, gdzieś w lesie. Partyzanci przemycą was do Warszawy i zaprowadzą do kryjówki. Tam poczekacie na dalsze rozkazy.

Wstaje i wychodzi zza biurka.

– No dobra, na dziś to wszystko.

Ściskamy sobie dłonie.

– Jeszcze jedno, kapitanie. Misja jest ściśle tajna.

Przełykam nerwowo ślinę.

– Rozumiem, panie pułkowniku.

SZÓSTY

Finn

1 kwietnia 1944

Puszcza Kampinoska, kilkanaście kilometrów na północny zachód od

Warszawy

Zrzucają mnie o świecie w gęstym lesie pełnym strzelistych sosen. Nie ma śladu partyzantów. Nie czekam ani chwili; od razu ukrywam spadochron w dołku wykopanym w ziemi. Czuję na sobie czyjś wzrok. Wyciągam z kabury pistolet i przysiadam. Nie spieszy mi się – czekam, aż obserwator sam raczy się pokazać. Poza pistoletem mam przy sobie fałszywe papiery, mapę i kompas. Na sobie mam znoszone i pomięte ciuchy robociarza – brudnozieloną kurtkę i flanelowe spodnie.

Chłodna noc przechodzi w przyjemny dzień. Słońce podnosi się dziarsko. Rzeńskie powietrze pachnie ożywczo, nasycone wonią sosnowych igieł. Przysłuchuję się odległym ptasim trelom.

– Zielona żaba wciąga dżdżownicę – mówi męski głos zza drzewa.

Czekałem na ten sygnał. Oddycham z ulgą, wstaję i odpowiadam.

– Niektóre jedzą nawet węże.

Mówię płynnie po polsku; to dzięki pani Eli, która zajmowała się mną i bratem, kiedy mama spełniała się jako aktorka. Gdy przenieśliśmy się z Niemiec do Stanów, pani Ela popłynęła z nami. Dzięki temu nigdy nie straciłem kontaktu z językiem.

Uśmiecha się do mnie starszy mężczyzna w połatanych ciuchach, z grubym, niechlujnym wąsem i siwizną wyłazającą spod czarnej jak węgiel czapki. Czyżby podziemnym aż tak brakowało ludzi? Nie spodziewałem się, że przyjdzie po mnie ktoś w wieku mojego dziadka.

– Witaj na polskiej ziemi, synu – mówi mężczyzna, wyciągając sękatą dłoń. – Jestem Ignacy. Chodź za mną.

Kolejnych piętnaście minut spędzamy na przedzieraniu się przez las pełen sosen, dębów, klonów i brzóz, obchodząc mokradła i wydmy. Przecinamy łąkę i drogę ziemną, idąc w kierunku pojazdu ukrytego w kępie wierzb. To pojazd, ale nie auto. Zaprzęgnięta do długiego wozu drabiniastego kasztanka spogląda na mnie znad trawy. Powstrzymuję śmiech.

Nieźle sobie Polacy radzą z konspiracją. Podczas szkolenia dowiedziałem się, że Niemcy zakazują cywilom jeździć samochodami. Z drugiej strony usłyszałem też, że podziemie łamie ten zakaz, jeśli to konieczne – głównie podczas akcji skierowanych przeciw okupantowi. No, ale to raczej wyjątkowe okoliczności.

Gdy zasiadamy na ławeczce wozu, mężczyzna podnosi do ust fajkę i zapala zapałkę. Wyciągam z kieszeni mapę i rozwijam ją. Mężczyzna nachyla się i kładzie palec na papierze.

– Jesteśmy tu, koło wsi Laski. Pojedziemy tą drogą, wzdłuż Wisły. *Viss-choo-la* – dopowiada i przesuwając palcem wzdłuż pręgi. – Jedziemy tu, na ulicę Mickiewicza na Żoliborzu.

Kilka razy miarowo zaciąga się dymem.

– Stamtąd pójdziesz na piechotę na ulicę Bonifraterską, potem na Długą, i będziesz u celu.

– Rozumiem. Ile mi to zajmie?

Podoba mi się ten człowiek.

– Nie więcej niż trzydzieści pięć minut – odpowiada i strzela lejcami. – Wio, gniada!

Koń posłusznie wykonuje rozkaz. Składam i chowam mapę. Jedziemy pomału.

– Czy ludzie chodzą tu polować? W puszczy? – pytam, żeby podtrzymać rozmowę. Do celu dojedziemy dopiero za jakąś godzinę. Za dużo czasu na otwartej przestrzeni. Według mapy trasa wynosi czternaście kilometrów. A co, jeśli zatrzyma nas niemiecki patrol? Wzdrygam się.

– Oczywiście. Chodzili nawet w siedemnastym wieku. Król Jan III lubił tu polować. I Stanisław August Poniatowski, ostatni król, też – odpowiada, po czym na chwilę przycicha, jakby coś sobie przypominał. – Znasz muzykę Chopina?

– Tak, mama go uwielbia.

Brązowe oczy ożywiają się i rozbłyskują dumnie.

– Twoja mama ma dobry gust, chłopaku.

Klepie mnie po plecach i uśmiecha się zadowolony.

– Ona słucha tylko geniuszy – mówię, odwzajemniając uśmiech.

Ignacy parska śmiechem.

– A wiedziałeś, że miejsce urodzin Chopina jest tu niedaleko? Żelazowa Wola. On był nasz do samego końca.

– Znam jego biografię.

Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia.

– Ten, kto cię uczył mówić po polsku, zrobił dobrą robotę.

– Dziękuję panu.

Kiwa głową zamyślony.

– Kuzyn mój mieszka we wsi, co się nazywa Palmiry, jakieś piętnaście kilometrów na zachód. Mówił mi, że jak się to wszystko zaczęło, Niemcy znaleźli sobie kawałek lasu w okolicy, żeby tam robić egzekucje. Zabijali nauczycieli, prawników, inżynierów, senatorów, artystów, polityków, sportowców: kwiat inteligencji. Robili to w ukryciu, ale ludzie mają uszy...

Zawiesza głos. Jego oklapłe ramiona nadają mu wygląd wojownika, który przegrał w nierównej walce.

– Ludzie mówią, że to pewnie tam zginął prezydent miasta Stefan Starzyński. On nas nawoływał do czynu, do oporu.

Wzdycha. Odzywam się, by dodać mu otuchy.

– Hitler teraz zbiera cięgi. My tę wojnę niedługo skończymy.

Przemilczam coś, czemu zaprzeczyć nie mogę: że na tej wojnie życie tracą miliony niewinnych ludzi. Ciekawe, jak by ze mną Ignacy rozmawiał, gdyby znał rolę, jaką w tej kaźni odegrali członkowie mojej rodziny. Czuję wstyd, choć sam nie miałem nic wspólnego ze zbrodniami ojca i brata. A jednak jestem tu, bo chcę obronić „Krwawego Stefana” przed wyrokiem śmierci. Wmawiam sobie, że może dotrze w końcu do punktu, w którym zrozumie ogrom swoich przewin, i spędzi resztę życia świadomy tego, kim się stał.

– Kurwa mać!

Ignacy wskazuje mi dwóch żołnierzy w szarych mundurach z karabinami u boku. Stoją przy małej ciężarówce krytej płótnem, kawałek drogi od nas. Czuję, jak kręgosłup mi sztywnieje.

– Nie spodziewałem się, że tu ich wyniesie, ale nas puszczą – mówi cicho Ignacy. – Mam przepustkę, wiozę mąkę do ich piekarni na Żoliborzu.

– Powiedz im, że mnie wzięłeś do pomocy – podpowiadam.

Ignacy patrzy na niebo.

– Zapowiada się kolejny deszczowy dzionek – mówi, tym razem głośniej.

Niebo faktycznie zasnuło się ciemnymi, nierównymi chmurami. Staruszek ciągnie lejce. „Prrr, prrr”. Koń karnie słucha woźnicy.

Umundurowany Niemiec obserwuje nasze twarze przekrwionymi oczami. Nie mruga.

– Co tam macie? – mówi, wskazując bronią pakę wozu.

– *Guten tag* – odpowiada Ignacy po niemiecku z silnym akcentem i pokazuje żołnierzowi przepustkę. – *Mehl*.

Mąka. Pewnie jedno z niewielu słów, które zna w tym języku. Żołnierz ogląda przez chwilę otrzymane papiery, po czym oddaje je Ignacemu i zwraca się do mnie.

– A wy?

– *Arbeiter* – wtrąca Ignacy i klepie mnie po łopatce. Robotnik.

Pokornie spuszcza wzrok.

– Patrz mi w oczy, polska świnio! – warczy żołnierz. W jego spojrzeniu widać błysk irytacji. – *Wo ist ihre Kennkarte?*

Czerwony nos, opuchłe wargi i szara cera nadają jego twarzy niezdrowy wygląd.

– Tu – mówię i sięgam do wewnętrznej kieszeni marynarki po papiery. – Pomagam temu staruszkowi.

Żołnierz ogląda moje dokumenty przez dłuższą chwilę, co rusz zerkając na mnie. Staram się nie patrzeć mu w oczy. Obmyślam, jak ich zabiję, gdy okaże się, że nie będę miał innego wyjścia. Dookoła tylko drzewa, do miasta wciąż daleko; raczej nie będzie w pobliżu innych patroli.

– Złazić do przeszukania – mówi, trącając mnie w ramię lufą karabinu.

Posłusznie wykonuję polecenie. Ignacy rzuca łagodzącym tonem: „Arbajter, majne Arbajter”. Wydobywa litrową butelkę.

– Żytunia. *Gut wódka.*

Tym natychmiast zwraca uwagę żołnierza. Stoję bez ruchu, spoglądając na tego drugiego. Jest parę kroków z tyłu. Wygląda na nie więcej niż szesnaście lat; twarz ma poznaczoną pryszczami. Raczej nie jest z niego wiarus. Ten starszy sięga po butelkę i przekazuje ją młodszemu. Mówi, żeby zaniósł ją do ciężarówki, po czym znów mierzy do mnie ze swej broni.

– *Hände hoch.*

– Ale panie oficerze...

Potulny głos Ignacego odwraca jego uwagę i żołnierz wpatruje się w niego rozeźlony.

– *Raus!* Nie łaź tu, głupi staruchu!

Gdy przestaje na mnie patrzeć, upewniam się, że ten drugi wciąż idzie w kierunku ciężarówki, i chwytam pistolet, dając upust adrenalinie. Głuchy trzask i żołnierz leży ogłuszony ciosem w tył głowy, a ja już mierzę do młodego. On tymczasem stoi bez ruchu, z oczami w słup i opuszczonymi rękami. Znakomicie. Tak jak się spodziewałem.

– Rzuć broń i ręce do góry – mówię po niemiecku, a gdy wykonuje moje rozkazy, pochylam się, by podnieść karabin ogłuszonego. Przekazuję mausera Ignacemu, który tymczasem uspokaja konia.

– Znajdź coś, czym zwiążemy mu ręce i nogi.

– Proszę, nie zabijajcie mnie – mówi ten drugi nerwowo. Cały się trzęsie.

– Po mundurze poznaję, że mnichem nie jesteś.

Podnoszę jego karabin. Szkoda chłopaka – to jeszcze dzieciak.

– Rodzice nie żyją. Nie mam gdzie pójść – mówi cicho, spuszcza nos na kwintę.

– Jak ci na imię?

Dziadek dawno temu uczył mnie, że oczy są zwierciadłem duszy i gdy dobrze im się przyjrzeć, wszystko można zobaczyć. Oczy tego chłopca mówią nie tylko, że się boi, ale też, że coś stracił. Jagnię w wilczej skórze?

– Jestem Manfred Lange – mówi drżącymi ustami.

– Manfredzie, muszę ci związać ręce, żebyś spokojnie posiedział chwilę w ciężarówce – instruuję go, po czym przystawiam mu pistolet do czoła, obecnie mokrego od potu. – Jeśli spróbujesz nas wydać, znajdę cię. Jasne?

– Tak jest.

Związuję ręce i nogi obu żołnierzy i ruszamy dalej.

– Dobry pomysł z tą wódką – mówię do Ignacego, czując, jak uchodzi ze mnie adrenalina. Nie znoszę tej choliernej wojny.

Staruszek ociera czoło chustką.

– Przysięgam, że wcześniej działało. Ten to był jakiś uparciuch.

Przygląda się mojej twarzy.

– Ciebie jakoś nie chciał przepuścić.

Kiwam głową i zmieniam temat.

– Czemu wozisz dla nich mąkę?

– Ta mąka nie jest dla nich – odpowiada i puszcza do mnie oko. – Rozprowadzę ją wśród naszych.

Pełen niespodzianek ten staruszek. A może wszyscy Polacy tak mają?

– Na naszą krzywdę Hitler wprowadził kontyngenty między lipcem a grudniem. W tych miesiącach przeszło połowa naszych zbiorów ma trafiać do Niemca.

– A jeśli nie trafi?

– Są surowe kary. Nawet śmierć.

Rozstajemy się pół godziny później, ale ja wciąż myślę o Ignacym. Mówił mi, żebym go odszukał w Laskach, jeśli będę potrzebował pomocy. Podziękowałem i życzyłem mu szczęścia, ale wolałbym, żeby nasze drogi już się nie krzyżowały. Będzie bezpieczniejszy z dala ode mnie.

Zgodnie z instrukcjami ruszam ulicą Mickiewicza. Niebo przesłaniają czarne chmury. Na skórze czuję ożywcze kropelki deszczu. W tej części miasta stoi sporo białych willi i domów jednorodzinnych otoczonych dużymi drzewami, które powoli zaczynają kwitnąć. Ulicami idą wynędzniali ludzie, wzrok mają wbity w chodnik. Unikam niemieckich patroli. Trzeba pozostać w ukryciu przez parę dni, zanim zacznie się moja misja.

Im bardziej zbliżam się do celu, tym mniej ludzi na ulicy, jakby coś ich rozgoniło. Oglądam zmęczone twarze, prac dalej naprzód. Słyszę, jak jakiś mężczyzna szepcze do kobiety: „Łapanka na Świętojańskiej”.

Jestem już blisko kryjówki. Teraz tylko znaleźć ulicę Długą i szarą kamienicę z szyldem „Café Anna”. Właśnie mijam niepozorny słup ogłoszeniowy obklejony plakatami, gdy w oko wpada mi młoda kobieta o przerażonej twarzy. Trzyma ją za rękę mały chłopczyk. Oj, niebrzydkie są te Polki!

Po trzech dniach siedzenia w ukryciu zaczyna we mnie narastać potrzeba wyściubienia nosa poza mały pokój nad Café Anną. I wtedy, około północy, ktoś stuka do moich drzwi – trzy stuknięcia, to Anna, właścicielka kawiarni. Otwieram podrdzewiałe drzwi, a tam stoi solidnie zbudowany mężczyzna z lampą naftową w jednej ręce i papierową teczką w drugiej. Wchodzi, stawia lampę pośrodku stołu pod oknem i wyciąga do mnie rękę.

– Jestem Witek.

Uśmiecha się i sadowi na krześle naprzeciwko mnie. Pierwsze, co zwraca moją uwagę, to jego szerokie czoło. Wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat.

– Miło poznać – mówi, wyciągając coś z kieszeni. – Papierosa?

– Dziękuję, nie palę.

Przystawia płomień do papierosa, wydycha kłąb dymu i zagaja.

– Zestrzelone samoloty, zatopione U-Booty i wykolejone pociągi. Mają z wami Niemcy ubaw.

Posyła mi krzywy uśmiech. Parskam lekceważąco.

– Wy, Polacy, macie swoich bohaterów. Słyszałeś o Agencie Numer Jeden?

Mężczyzna wpatruje się we mnie uważnie.

– Jerzy Iwanow-Szajnowicz – odpowiada.

Przeciąga wielką łapą przez gęstą brunatną czuprynę. Marszczy czoło.

– Ten człowiek umiał działać tyle co cała dywizja chłopów – ciągnie łagodniejszym tonem. – Za wcześnie odszedł.

Przypatruje mi się uważnie; w jego szarych oczach widzę ból.

– Znałeś?

– Spotkałem go na misji, w Grecji. Zawsze będzie dla mnie wzorem.

– Dobrze, dobrze. Przyda ci się taki wzór w tej misji.

Na chwilę milknie.

– Muszę ci parę rzeczy powiedzieć, zanim przebierzesz się w łachy swojego brata. Może część z tego już słyszałeś...

– Mów wszystko.

– Wedle woli, drogi chłopcze. Ładnie mówisz po polsku. Czy mam z tego wnosić, że twój brat też?

– Owszem – odpowiadam i poprawiam się na krześle.

– Dziwne, że wasz ojciec na to pozwolił.

– Dawniej był innym człowiekiem.

Gardło mi się ściska. Rodzice poznali się w Berlinie, gdzie mama – znana amerykańska aktorka – przyjechała grać w kolejnym filmie. Zakochała się w ambitnym niemieckim prawniku i już miesiąc później byli po ślubie. Pierwsze lata małżeństwa były szczęśliwe i niedługo na świat przyszliśmy my: Stefan i ja. Ale sielanka się skończyła, gdy ojciec dał się wciągnąć w narodowy socjalizm i zaczął wielbić Führera. Na samą myśl czuję gorzki smak w ustach.

– To smutne, że tylu ludzi dało się ogłupić chorej ideologii Hitlera – konstatuje z westchnieniem.

– O wiele za dużo – mówię, myśląc o rodzicach.

Urażony niechęcią matki i brakiem wsparcia z jej strony ojciec oznajmił, że kocha inną. Złożył pozew rozwodowy i zażądał, by Stefan został przy nim. W tamtym czasie moja relacja z bratem już się sypała, więc pasowało mi wyjechać z mamą – a Stefan nie miał nic przeciwko zostaniu z ojcem. Ja ojca nienawidziłem; jego obsesja na temat Hitlera oznaczała dla mojej matki lata przemocy fizycznej. Tak więc, gdy pewnej nocy ojciec poszedł balować z partyjnymi kolegami, mama i ja wyjechaliśmy do Nowego Jorku, gdzie mieszkali dziadkowie.

– Twój brat, *Hauptsturmführer* SS Stefan Keller, jest bezpośrednim podwładnym *Obersturmbannführera* SS Arthura Veichta, kierownika SD w Warszawie – mówi Witek. – SD, służba bezpieczeństwa, niemiecki kontrwywiad, ma siedzibę na trzecim piętrze budynku w alei Szucha. Kierowani przez Veichta gestapowcy, zwalczający Polskie Państwo Podziemne, zajmują dwa pierwsze piętra.

Wstaje, chwyta lampę i wychodzi na chwilę z pokoju. Gdy wraca, w drugiej ręce ma butelkę wódki i dwa kieliszki. Napełnia oba i podaje mi jeden z nich.

– Na zdrowie! – mówi.

Wódka pali mi gardło. Czuję, jak po ciele rozlewa się ciepło.

– Wiemy na pewno, że wiele rozkazów Veichta dociera do Gestapo za pośrednictwem Kellera. Keller lubi „poświęcać się dla sprawy” i osobiście doglądać ich wykonywania.

W chwilowej ciszy wydaje się, jakby intensywnie rozmyślał nad tym, co dalej powiedzieć.

– Nazywamy go „Krwawy Stefan” – mówi, patrząc na mnie ze współczuciem. – Córka Veichta Gerda kocha się w Kellerze. Z nią musisz być ostrożny: wydała własną matkę.

W napięciu podnosi ze stołu teczkę.

– Tu masz najważniejsze informacje i adresy Kellera. Przeczytaj, zapamiętaj i zniszcz. Zbieranie tego zajęło mi dłuższy czas, nie powinno niczego brakować.

Zapala papierosa, wydycha dym nosem i kontynuuje.

– Na początku czterdziestego trzeciego Keller przeniósł się do miłej willi na Mokotowie. Ku naszej bezbrzeżnej radości, zamiast wykopać właścicielkę, zrobił sobie z niej kucharkę. Zuzanna jest po siedemdziesiątce. Będzie ci pomagać, zwłaszcza na początku.

– Jak dużo wie? – pytam.

– Uznaliśmy, że będzie lepiej dla ciebie, żeby znała prawdę – mówi i zaciąga się papierosem. – Możesz jej ufać.

– Ja nie ufam nikomu – rzucam i wpatruję się uważnie w jego oczy.

– Masz słuszność, ale ja jej ufam. I tobie polecam to samo.

W jego spojrzeniu pojawia się nagle zniecierpliwienie.

– Będzie lepiej, żebyś poza tym ufał tylko mnie i Annie. To my będziemy twoimi skrzynkami kontaktowymi. Wiadomości będziemy ci przysyłać przez riksarza, rudego i piegowanego chłopaka. Spotykać się będziemy tu, w Café Anna.

Kiwam głową.

– Zakładam, że przyszedłeś do mnie, bo już go macie?

– Keller lubi chadzać do burdelu w centrum i tam właśnie go capnęliśmy – odpowiada. – Jedna z dziewczyn wrzuciła mu do szklanki pigułkę nasenną. Odpadł, gdy był z nią w łóżku.

– Znasz moje warunki, prawda? – pytam, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

– Tak. Rano będzie w drodze do Londynu, gdzie go osądzą i zamkną pod kluczem.

– Chciałbym się z nim zobaczyć, proszę o zgodę – mówię i podnoszę się z krzesła. – Nawet jeśli jeszcze śpi.

Przez dłuższą chwilę patrzy mi w oczy.

– Odradzam.

Zapada krępująca cisza. Odwzajemniam spojrzenie Witka. Bardzo chciałbym zobaczyć Stefana.

– Dobra. Ale krótko. Musisz niedługo wrócić do jego willi – mówi, gasi lampę i gestem nakazuje mi iść za sobą.

Tamtej nocy, jedenaście lat temu, moja mama postanowiła wbrew wszystkiemu przekonać brata, by do nas dołączył, ale on odmówił. Gdy usiłowała to na nim wymóc, napadł na nią z nożem kuchennym – nie był to pierwszy taki wybryk. Powstrzymałem go wtedy, lecz ta sytuacja złamała naszej matce serce. Stefan miał wówczas zaledwie piętnaście lat.

Gdy teraz go widzę, stoi pod ścianą ciemnej piwnicy. Ma związane ręce i nogi. Nie mogę uwierzyć, że wciąż jesteśmy do siebie tak podobni, nawet teraz – dwóch dorosłych facetów w słabym świetle lampy naftowej. Jego słomkowe włosy i szczupłe ciało są takie jak moje; obaj jesteśmy średniego wzrostu; ojciec też taki był. Oddycham wolniej, przywołując wspomnienia wspólnego dzieciństwa. Patrzy na mnie wściekle szarymi oczyma pełnymi takiej

nienawiści i pustki, że zapiera dech. Wydaje się, że do niego nie da się już dotrzeć. Mam nadzieję, że to nieprawda.

– A ty tu po co? – pyta po niemiecku, w języku, w którym rozmawialiśmy jako dzieci. Jego twarz to niedostępna maska.

– Chcę ci pomóc – odpowiadam.

Mój brat to już obcy człowiek. Odchyła głowę i wybucha złośliwym rechotem, ale zaraz zaciska szczękę.

– Dla mnie już za późno. Jestem przeklęty, odkąd ta zdzira mnie porzuciła. Niedługo dołączę do tego potwora, którego nazywaliśmy „tata”, w piekle.

Spluwa na podłogę. Skrzywdzony tyle razy, znienawidził już wszystkich.

– Te polskie świny w końcu mnie złapały.

Ciągle te gierki.

– Doskonale wiesz, że matka walczyła o ciebie do końca.

– To kłamstwo – mówi niskim głosem. – Uciekła z podkulonym ogonem.

– Do cholery, Stefan! Złamałeś jej serce, już nigdy nie była sobą.

Żałuję, że tu przyszedłem, bo nie wiem, jak mam z nim rozmawiać. Milczy, ale w jego oczach nie widzę niepewności czy zrozumienia. Czuję dojmujące zimno.

– Ciągle odsyłałeś nasze listy.

– Na co mi były wasze listy? Jak mnie tu znalazłeś?

– Nieważne. Robiłeś potworne rzeczy. Dlaczego?

Chciałbym od niego usłyszeć, że nie popełnił żadnej zbrodni, choć wiem, że to nieprawda. Ten bolesny smutek jest nie do zniesienia. Dojmująca bezsilność. Gdzieś po drodze stało się coś bardzo niedobrego, co zmieniło mojego brata w potwora.

– Pomóż mi uciec – rzuca z wyzywającym spojrzeniem. – Udowodnij, że jesteś moim bratem.

– Tym razem cię nie uratuję. Za swoje zbrodnie musisz zapłacić. Mordowałeś niewinnych ludzi, do cholery!

Czuję się, jakbyśmy byli znowu dziećmi, jakbym znowu wyrzucał mu jakiś dziecinny wybryk. Ale tym razem chodzi o coś, za co należy się wyrok śmierci, a z zachowania Stefana jasno wynika, że nie spodziewa się on innego zakończenia.

– Nie słyszysz głosu sumienia? Czy ty w ogóle je masz?

Pluje mi w twarz. Oczy zalewa mu nienawiść.

– Wynoś się!

SIÓDMY

Gerda

4 kwietnia 1944

Droga *Mutti*,

dziś mija rok, odkąd widziałyśmy się po raz ostatni. Uwierzysz, *Mutti*, że jutro skończę osiemnaście lat?

Wybacz, proszę, to długie milczenie. Bardzo mnie zaabsorbowało urządzenie się w nowym miejscu. Papa nakazał mi przeprowadzkę do Polski tydzień po tym, jak zabrało Cię Gestapo. Życie tu jest tak różne od tego, które znałam w Berlinie. Warszawa to niezwykle prymitywne miasto. Ulice są pełne ludzi odzianych w łachmany. Tak, *Mutti* – brudne łachmany. Ilekroć patrzę na tych podludzi, z trudem powstrzymuję mdłości.

Papa twierdzi, że Führer ma wszystko zaplanowane i właśnie jesteśmy w trakcie porządków, niezbędnych, by przestały nam doskwierać niepożądane elementy. Jednej nocy, po wielu kieliszkach brandy, papa opowiedział mi o oczyszczaniu getta, o przeładowanych piecach w mieście o nazwie Auschwitz i o konieczności eliminacji ruchu oporu czy coś w tym stylu. Udawałam, że słucham, bo zajmowały mnie bardziej istotne myśli.

Jestem ogromnie podekscytowana, moja *Mutti*, bo właśnie się zaręczyłam! Na imię mu Stefan i jest bardzo przystojny. Spotkałam go parę miesięcy temu na bankiecie w Hotelu Europejskim. Papa bardzo ceni jego pracowitość. Widać, że ma do niego słabość.

Wczoraj mój narzeczony zaskoczył mnie szczodrością – ofiarował mi piękny obraz ze słonecznikami. Mówi, że to znakomita kopia van Gogha. O tym artyście nie słyszałam, ale podoba mi się ten obraz. Przypomina mi ogród babci.

Och, *Mutti*, ciągle myślę tylko o Stefanie. Wyobrażam sobie nasze życie w Berlinie, nasze małżeństwo, nasze dzieci. Führer mówi, że miejsce kobiety jest w domu, że jej rola to być żoną i matką. Zgadzam się z nim: nie wierzę, że spełniłabym się bardziej w innej roli. Chciałabym być jak pani Wolf, tak oddana swojemu mężowi. Gdy pan Wolf przeniósł się do Polski, poszła za nim bez wahania. Lubię spędzać czas z ich córką Ingą; jest tylko o rok młodsza ode mnie, ma długie, jasne włosy i niebieskie oczy – jesteśmy do siebie tak bardzo podobne! Dzięki niej nie czuję się samotna, gdy papa i Stefan są w pracy. Rodzina Wolfów przyjechała do Warszawy ledwie kilka tygodni temu. Przedtem pan Wolf zarządzał obozem pracy dla Polaków, którzy są groźnymi przestępcami. Zdaniem Ingi było tam strasznie

nudno, poza wieczorami, kiedy mogli się rozsiaść na balkonie, oglądać z góry obóz i na zmianę strzelać do pracujących więźniów. Cóż za zabawa! A przy tym osobisty wkład w eliminację tych kreatur.

Często o tobie myślę, *Mutti*, choć boli mnie, że zdradziłaś Führera. Wiem, że zrobiłam, co należało, i proszę, zrozum, że chciałam tylko Cię chronić.

Papa zakazał mi do Ciebie pisać, ale ja tęsknię, więc wymknęłam się do gabinetu i znalazłam Twoją teczkę. Teraz wiem, że jesteś w więzieniu dla kobiet w mieście o nazwie Ravensbrück. Mam nadzieję, że traktują cię tam dobrze i że mój list znajduje cię w zdrowiu.

Wierzę, że papa kiedyś ci wybaczy i zrozumie, że żałujesz swego występku. Bo przecież żałujesz, prawda, *Mutti*?

Będę czekać na list od Ciebie.

Twoja jedyna córka

Gerda

– Gerda? – mówi ojciec, wchodząc do pokoju.

Składam list do *Mutti* i wsuwam do książki.

– Witaj, papo. Jak ci minął dzień?

– Jak zwykle pracowicie.

Podchodzi do butelki, nawet na mnie nie patrząc. Zawsze pije brandy, gdy wraca z pracy. Zwykle poleguje na sofie, póki nie zaśnie, a potem muszę wzywać służącą, żeby pomogła mi przenieść go do sypialni. Wścieka się, gdy rano nie jest we własnym łóżku. Ostatnie, czego teraz potrzebuję, to żeby się złościł.

– Obiad chyba jest gotowy. Pójdę sprawdzić.

Nie zdarza nam się rozmawiać, gdy jest trzeźwy – ale gdy się upije, mówi głównie o pracy. Wysyła raporty do Führera o swoich postępach, w tym o własnym wkładzie w likwidację getta.

Jestem dumna z papy. Od lat jest dla mnie wzorem. Ale to z mamą mogłam swobodnie rozmawiać o uczuciach. Z papą czuję się tak, jakbyśmy byli współpracownikami i mieli te same cele. Lubię to. Moja mama nie mogła mi tego dać, bo jest po prostu za słaba. Papa urodził się, by dowodzić, a *Mutti*, by wykonywać jego rozkazy.

ÓSMY

Wanda

Dwa miesiące później

S tół kuchenny wygląda pięknie, gdy pośrodku stoi szklany wazon pełen liliowego szczytu. Jego intensywny, słodki zapach łaskocze mnie w nos i sprawia, że się uśmiecham. Cienka firanka pchnięta wiatrem dotyka mojej twarzy. Czuję rozkoszne ciepło porannego słońca na skórze. Uwielbiam świeżość czerwca, rozpiętego między wiosną a latem. W tych dniach mama często zostawia otwarte okno w kuchni – Kubusiowi potrzeba jak najwięcej świeżego powietrza.

Słyszę dobrze znaną mieszankę szybkiego tupotu i lekkiego śmiechu. Nasz chłopczyk pędzi do mamusi; mama stoi przy blacie i kroci czarny chleb. Chwyta Kubusia w ramiona.

– Dzień dobry, słoneczko – mówi. – Dobrze spałeś?

– Śniło mi się, że jadę rowerem – odpowiada chłopiec z nutą ekscytacji w głosie.

– Pamiętasz, co ci mówiłam o rowerach? – pyta mama wyraźnie zatroskana.

– No, wiem. Że są niebezpieczne.

Spuszcza wzrok i wzdycha głęboko. Mama otworzyła serce dla tego chłopca, a on przyłgnął do niej całym sobą. Nie od razu tak się stało – po śmierci taty mama przez miesiąc nie chciała wyjść z łóżka. Niemal nic nie jadła, nawet na mnie nie patrzyła. Wiem, że to mnie wini za jego śmierć. I ja też, każdego dnia, o każdej godzinie, wyrzucam sobie to, co zrobiłam; ale od tamtej pory staram się postępować tak, jak życzyłby sobie tego tata: dbać o to, byśmy przetrwali. W wolnym czasie czytam Kubusiowi książkę o jego ulubionym pluszaku – *Chatkę Puchatka Milnego*, mały skrawek normalności w jego wojennym dzieciństwie.

Tata miał swój sposób na przetrwanie – wyrób i sprzedaż bimbru. To, co zarobił, wydawał na jedzenie dla naszej trójki. Nie mając pojęcia, co począć bez niego, postanowiłam pójść tym samym tropem. Zaczęłam raz w tygodniu odwiedzać Hale Mirowskie, gdzie kwitnie nielegalna sprzedaż żywności i kręcą się przemytnicy. Nie jest to bezpieczne miejsce – często zdarzają się tam łapanki. Wymieniałam bimber taty na jedzenie lub gotówkę, zachowując się jak prawdziwy szmugler. Ciągłe tylko powtarzałam półgłosem: „Bimber sprzedam, dobra jakość”. Kamień spadł mi z serca, gdy Anna zaoferowała, że będzie co tydzień kupować go ode mnie,

żeby zaopatrzyć kawiarnię. Łatwiej było sprzedawać trunek jej, niż ryzykować na czarnym rynku.

Kubuś siedzi naprzeciwko mnie. W jego niebieskich oczach błyszczą psotne ogniki. Napycha buzię pajdą razowca posmarowaną marmoladą o buraczanej barwie. Gryząc, chrzęści trocinami – nie przeszkadza mu podła jakość pieczywa, bo innej po prostu nie zna.

– Zrobimy dziś miód z mleczy – mówi, patrząc na mnie dumnie. – Tych, cośmy je zebrali wczoraj na łące.

W oczach tego brzdąca nasz ogródek to łąka. Uwielbia się w nim bawić.

– Taki masz plan? – pytam z uśmiechem. – A czy odwiedził cię dziś rano twój skrzydlaty znajomy?

Przełyka kęs i odpowiada, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– Ten złośnik dzięcioł chyba dziś wydułbał dziurę w naszym dachu!

– Niemożliwe! – udaję, że mu wierzę.

Chłopiec chichocze.

– Tylko żartowałem!

– O, ty psotniku! Któregoś dnia cię złapię!

– A wcale że nie. Znajdziesz mi dziś kolejny kamień na Nowym Mieście?

– Jasne, skarbie.

– Wychodzisz? – pyta nagle mama, patrząc na mnie chłodno.

– Kończą nam się pieniądze, więc pomyślałam, że zaniosę Annie jeszcze parę butelek. Czy starczy nam na dziś jedzenia?

– Tak. Robię cebulową.

– Nie czekajcie na mnie. Zjem u Anny.

– Tylko wróć przed godziną policyjną. Nie kręć się po ciemnych ulicach, gdy pełno patroli. Znów podnosi na mnie oczy, tym razem zatroskane.

– Miałam zły sen.

Czuję, że i ja patrzę na nią teraz czulej.

– Wrócę, mammo.

Objuczona wielką torbą wypełnioną butelkami – każda starannie zawinięta w gazetę – wchodzi do tramwaju i siadam na końcu. Tylko Niemcom wolno podróżować z przodu. Spoglądam za okno. Po pięciu latach wojny miasto wygląda jak obraz nędzy i rozpacz. Zmęczone twarze przechodniów w połatanych ubraniach, wąskie, wychudłe i zaniedbane. Co za szczęście, że mama umie obsługiwać maszynę do szycia; przerobiła garnitury taty na sukienki dla nas dwóch i ubrania dla Kubusia. Stroje, które nosimy, są ciemne i proste, ale świetnie skrojone, dzięki czemu mogę swobodnie bywać w takich miejscach jak Café Anna.

Z tramwaju wysiadam w centrum i idę dalej wąską brukowaną alejką w stronę ulicy Długiej. Przede mną wyłania się szara dwupiętrowa kamienica, która jest w rodzinie Anny od pokoleń. Napis nad parterem głosi dumnie: Café Anna. Na pierwszym piętrze znajdują się mieszkania, z których korzysta sama właścicielka oraz jej lokatorzy.

Przesławna Café Anna wita mnie smakowitymi zapachami i przyjaznym ciepłem. Duża prostokątna sala jest wypełniona gośćmi, siedzącymi przy małych stolikach przykrytych białymi obrusami. Nad ich głowami wirują obłoki dymu papierosowego. Stałymi klientami Anny są głównie Niemcy, tacy w mundurach i tacy w cywilu, a wraz z nimi ich kochanki. Bywa tu niewielu Polaków.

Anna jest pół Polką, pół Niemką. Budynek odziedziczyła jej polska matka; dzięki temu dwudziestokilkuletnia Anna mogła się tu wprowadzić. To było dekadę temu; Anna rozpoczęła wówczas karierę aktorki. Nie mówi o swoim życiu w Niemczech, a ja o to nie pytam, bo czuję, że nie chce rozmawiać na ten temat. Skoro zachowuje to dla siebie, pewnie ma dobry powód. A jednak zastanawiam się czasem, co sprawiło, że opuściła Niemcy i zamieszkała tu zupełnie sama.

Kawiarnię otworzyła niedługo po wybuchu wojny. W drukowanym menu jest tylko kilka pozycji, które wolno jej sprzedawać, ale nieoficjalnie wybór jest znacznie szerszy. Anna dba jednak o to, by nie łamać zasady głoszącej, że przez dwa dni w tygodniu nie należy serwować dań mięsnych. Nigdy nie miała kłopotów, bo hojnie opłaca niemieckich inspektorów.

Stoi teraz przede mną w szafirowej sukience: wysoka blondynka o niebieskich oczach, z ładną buzią ukrytą pod mocnym makijażem. Chodzi między stolikami, zabawiając stałych klientów. To jednak tylko gra – Anna wspiera Armię Krajową. W głębi duszy jest prawdziwą patriotką, ale niejednen Polak uważa ją za zdrajczynię, nieświadomy jej prawdziwego oblicza.

Przechodzę przez salę; Anna prowadzi mnie do kuchni. Chcę jak najszybciej pozbyć się bimbru.

Pół godziny później siedzę przy stoliku w głębi sali, słuchając, jak Anna śpiewa pieśń miłosną *Lili Marleen*. Gdy kończy, rozlega się donośny aplauz okraszony głośnym pokrzykiwaniem. Anna kłania się uprzejmie i schodzi ze sceny, jakby stąpała po chmurach, a tymczasem do pianina siada niewysoki mężczyzna o długim nosie, ubrany w czarny frak, i ponownie ożywia instrument. Zazwyczaj grywa Bacha, Beethovena, Wagnera lub Mozarta, do późna w noc. Ma rzadki talent – on nie gra, lecz po mistrzowsku trąca struny ludzkich dusz. Niecierpliwie nadstawiam uszu, by nie uronić nic z tego niezwykłego doświadczenia. Tak naprawdę doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że przyszedłam tu dziś właśnie po to, by posłuchać muzyki.

– Nie spodziewałam się, że jeszcze tu będziesz – mówi Anna, siadając nieco ociężale na krześle naprzeciwko mnie. Zaciąga się papierosem, a jej brwi unoszą się w górę w wyrazie

zaskoczenia.

Uśmiecham się i wskazuję na scenę.

– Dziś czuję potrzebę dobrej muzyki.

Nie odwzajemnia uśmiechu. Kładzie dłoń na mojej i patrzy mi w oczy ze współczuciem i troską; w jej spojrzeniu nie czuć śladu wyższości. Ten gest daje mi więcej niż jakiegokolwiek słowo i upewnia mnie, że mimo wszystko nie jestem sama. Anna ma na mnie taki wpływ – jest dla mnie jak starsza siostra. Tym, co odróżnia ją od innych, jest szczerłość i otwartość: nie unika trudnych tematów, gdy rozmawia z ludźmi o ich problemach.

– Żeby te gnidy tak to doceniały – mówi i przewraca oczami. – Im głośniej gra, tym głośniej gadają.

Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale głos więźnie mi w gardle. Za Anną staje mężczyzna i przygląda mi się uważnie. Moim ciałem wstrząsa dreszcz.

To zabójca taty.

Chciałabym mieć teraz w rękach broń, nóż – cokolwiek, by móc go tu i teraz zabić. Nie wiedziałam, że potrafię tak mocno nienawidzić. Gdy go widzę, chcę wrzeszczeć na całe gardło, ale tu, wśród tylu podobnych mu ludzi, muszę milczeć. Nazwałam ich ludźmi, a to nie są nawet zwierzęta. Są najgorszymi barbarzyńcami. Mam chęć zerwać się i czymś w niego rzucić, by pozbyć się choć części tego napięcia, które czuję w środku. W zamian zbieram się w sobie, gotowa na jego okrucieństwo. Jedno jest pewne – nie boję się go. Już nie. Prędzej umrę, niż znów pozwolę mu się skrzywdzić, bo to, co mi zrobił, było największym cierpieniem, jakie można było zadać człowiekowi.

Patrzy mi w oczy, jakby czegoś w nich szukał, ale na jego twarzy maluje się tylko niepewność.

– *Fräulein Otenhoff* – odzywa się do Anny z grzecznym uśmiechem.

Na dźwięk jego głosu właścicielka kawiarni odwraca się i odwzajemnia uśmiech.

– *Hauptsturmführer Keller*.

Unosi oczy i przyjaznym gestem wskazuje puste krzesło.

– Przyłączy się pan do nas?

Anna to utalentowana aktorka, nie dziwi mnie więc, że szybko przechodzi do porządku nad jego nagłym pojawieniem się. Postanawiam iść za jej przykładem i odegrać przed nim scenkę; może potem będę miała okazję go zabić.

– Pozwoli pan, że przedstawię moją drogą przyjaciółkę Wandę. Pamiętam, że zachwalał pan martwe natury, które zdobią kawiarnię. Wszystkie wyszły spod jej pędzla.

Patrzy na mnie z podziwem. Ciekawe, czy mnie w ogóle rozpoznaje.

– Piękna robota.

Świetnie, teraz zgarnie stąd moje obrazy.

– Dziękuję, ale rzuciłam malarstwo – mówię tonem, w którym wciąż uparcie pobrzmiwa wrogość, choć za wszelką cenę staram się ją stłumić.

Keller unosi brew.

– A to czemu, jeśli można wiedzieć?

– Wojna mi je zabrała – odpowiadam. Nie rozumiem, jak może być wobec mnie tak uprzejmy. Okrutne słowa, które wypowiedział tamtej strasznej nocy, wciąż krążą w mojej głowie. Czuję, że narasta we mnie gniew. Nienawidzę takich gier.

Keller puszcza moją odpowiedź mimo uszu.

– Ten obraz z uschniętymi różami przypomina mi piosenkę, którą lubi moja matka. Może mi pani nie wierzyć, ale to polska piosenka.

Co za fałszywa, obłudna kreatura. Irytuje mnie, że na jego twarzy nie ma śladu tego okrucieństwa i wyrachowania, które były od niego tamtej nocy. Jest arogancki, ale wydaje się bardziej szczerzy. Przez to jeszcze trudniej mi nad sobą panować – nie wiem, co się dzieje. Jak to możliwe, że jeden człowiek ma tak różne oblicza? Kawał z niego aktora: jakby miał dwie dusze, doktor Jekyll i pan Hyde.

– To ciekawe. A skąd pańska matka zna polskie piosenki? – pyta Anna.

– Miałem nianię Polkę. Przez lata nauczyłem się od niej wielu polskich piosenek.

– Czy uczyła pana także języka?

– Tak, oczywiście – odpowiada, a na jego twarzy na moment pojawia się bezbarwny uśmiech. – Swoją drogą, spieszę zapewnić, że doceniam wysoką jakość muzyki w tym lokalu.

Anna wcale się nie rumieni, za to wybucha śmiechem i zmienia temat.

– Tak na marginesie... – zaczyna, ale zawiesza głos, po czym wzdycha. – Moja kochana Wanda jest w rozpacz, bo martwi się o swego dobrego druha. Nazywa się Jan Masiński i przepadł jak kamień w wodę parę miesięcy temu.

Patrzy na niego swymi niebieskimi oczami, teraz jakby wyczekująco.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiada Niemiec i rzuca na mnie okiem. – Czy mógłbym jakoś pomóc?

Jestem tak zszokowana, że mnie zatyka, więc udaję, że zasłuchałam się w muzyce. O czym ona mówi? Kim jest Jan Masiński?

– O, widzę, że Adam właśnie zrobił przerwę w swoim koncercie fortepianowym – rzuca Anna, patrząc wesoło na Kellera. – Może zaśpiewa nam pan tę piosenkę, o której pan mówił?

Niemiec krzywi usta w kapryśnym uśmiechu.

– Tylko jeśli panna Wanda pozwoli.

Patrzę mu w oczy, czując gotujący się we mnie gniew, gdy spogląda na moje usta. Mam przemożną chęć nakazać mu, by zostawił moją twarz w spokoju, ale tylko posyłam mu krzywy

uśmiech i nieznacznie kiwam głową. Niech zaśpiewa po polsku i niech go za to zgarną koledzy z Gestapo.

Gdy odchodzi, dotykam ramienia Anny.

– O czym ty z nim mówiłaś? – pytam, z trudem powstrzymując złość. – Kim jest Jan Masiański?

Anna wpatruje się przez chwilę w moje oczy.

– Wczorajszej nocy nie mogłam spać. Pamiętałam, że Mateusz pokazał niemieckiemu patrolowi podrobioną kenkartę z tym nazwiskiem. Może to dlatego nie udało nam się go znaleźć. Może użył tego nazwiska, żeby cię chronić, a sam dalej tkwi w areszcie.

– Ale czemu pytasz o niego tego drania z Gestapo?

– On może nam pomóc.

– Jest ostatnią osobą, którą bym o to prosiła!

Nie mogę uwierzyć, że tak myśli. Muszę jej powiedzieć, że to on zabił tatę.

– Mylisz się co do niego – mówi Anna. – Jest jedyną osobą, którą możemy prosić o pomoc bez obaw. Więcej ci powiedzieć nie mogę, musisz mi wierzyć na słowo.

W jej oczach jest pewność, która mnie rozbraja. Ona mu ufa. Jak to w ogóle możliwe, że Anna, która potrafi przejrzeć każdego, darzy zaufaniem taką gnidę?

– Często tu przychodzi? – pytam, próbując ukryć swoją dezorientację.

– Niezbyt – mówi i podnosi się z krzesła. – Przysłać ci coś do jedzenia?

– Nie, dziękuję, ale poproszę trochę wódki.

Zastanawia mnie, z czym ona się tak kryje.

– Przecież ty nie znosisz wódki... – mówi zdumiona.

– Dziś mam na nią ochotę.

Dopiero co rozmawiałam z człowiekiem, który zabił mojego tatę, do jasnej cholery! A teraz ta sama szuja rozsiada się przy klawiaturze tak jak tamtej nocy dwa miesiące temu. Anna przewraca oczami.

– Jeden kieliszek?

– Butelkę.

Gdyby tylko wiedziała. Chciałabym jej wyznać prawdę, ale nie mogę jej teraz spojrzeć w oczy. Ona naprawdę go lubi. Gdybym jej tak dobrze nie знаła, pomyślałabym, że nas zdradziła. A przecież wiem, że to niemożliwe. Ufam jej bardziej niż sobie samej, ale nie mogę jej teraz powiedzieć, co wydarzyło się tamtej tragicznej nocy. Może kiedyś.

Anna śmieje się w głos, ale przed odejściem nachyla się nade mną.

– Musisz się wziąć w garść i zapanować nad emocjami – szepcze. – Zwłaszcza teraz, gdy mamy do przygotowania plan działań w związku z tym, o czym nie muszę ci przypominać.

Ma rację. Od razu wiem, że mówi o powstaniu. Wszyscy żyjemy nadzieją, że przyniesie nam ono upragnione wyzwolenie. Rozsądek podpowiada mi, bym wstała i natychmiast wyszła, ale jeśli chcę zabić mordercę taty, muszę tu zostać i grać dalej swoją grę, tak jak on gra swoją. Jedno jest pewne – potrzebuję pomocy, a wódka to chyba dobry początek.

Gdy rozlegają się pierwsze takty, pragnę tylko stąd zniknąć. Mam już dość tej farsy. Gdybym miała broń, podeszłabym do tego bydlaka przyklejonego do fortepianu i bym go stamtąd zmiotła. Czuję ulgę, gdy kelnerka przynosi mi wódkę. Wychylam pierwszy kieliszek na raz i tylko trochę kaszlę. Płyn rozpała moje gardło, a po całym ciele rozlewa się ciepło. Gdy Keller zaczyna śpiewać, wlewam w siebie drugi kieliszek i wreszcie czuję dotyk błogiego bezwładu.

Jak na złość, głos Kellera brzmi pewnie, gdy śpiewa po niemiecku o jesiennych różach, kochanych ustach i bijących sercach. Wychylam kolejne dwa kieliszki wódki. Czuję się coraz bardziej rozgrzana. Kręci mi się w głowie. Czemu sam diabeł uparł się kłaść krwawą łapę na wszystkim, co kocham? Jakby wiedział, że zawsze lubiałam *Jesienne róże*.

Wreszcie wyśpiewuje wersy o pożegnaniach i więdnących różach. Piękne słowa tej piosenki napisał znajomy mojego brata, Andrzej Włast, a muzykę skomponował Artur Gold. Obaj byli Żydami. Ci zbrodniarze zamknęli ich w getcie, a potem zamordowali. A teraz jeden z nich śpiewa tę piosenkę po niemiecku.

Zbiera mi się na wymioty. Chciałam go obserwować, ale nie mogę już dłużej słuchać, jak śpiewa. Chwytam torebkę i ruszam do tylnego wyjścia.

DZIEWIĄTY

Wanda

Podwórko na tyłach kamienicy Anny okala wysoki mur, dzięki czemu jest tam bardzo spokojnie. Czuję na twarzy ciepły podmuch, który tylko wzmacnia nudności. Chwytają mnie kolejny raz, więc w desperacji rzucając się ku małowemu wiaderku z wodą, w którym Anna gasi niedopałki. Po co piłam wódkę na pusty żołądek? Po serii suchych skurczów czuję ulgę, ale nie mogę się podnieść. Jakbym straciła władzę nad własnym ciałem, choć umysł pozostał sprawny.

Czuję, że nagromadzone emocje eksplodują we mnie niczym wulkan. Zasłaniam twarz rękami, próbując zatrzymać łzy, ale przegrywam tę walkę. Pierwszy raz od śmierci taty opuszczam gardę i pozwalam sobie na płacz. Przez dwa miesiące wszystkie siły poświęcałam temu, żebyśmy przetrwali. Robiłam, co należało, gdy mama zamknęła się w sobie, a Kubuś mnie potrzebował. Teraz wszystko to wychodzi na wierzch z falą łez, na myśl o zwiotczającym ciele taty w objęciach mamy i dźwiękach *Sonaty Księżycowej* dobiegających z fortepianu, przy którym usiadł morderca. A potem ukradł obraz, który namalowałam dla taty. Wystarczyła mu jedna noc, by odebrać mi serce. Teraz jestem pustą kukłą, wewnątrz której zieje ciemna dziura.

Gdy myślę o tym potworze i dziwacznej grze, w którą mnie dziś wciągnął, zachowując się tak, jakby tamta noc nigdy nie miała miejsca, znów zbiera mi się na wymioty. Chciałabym wsadzić głowę do wiadra i się w nim utopić; lepiej umrzeć, niż tkwić w tym szaleństwie. Nagle ktoś dotyka mego ramienia i podaje mi chustkę. Chwytam ją i próbuję otrzeć twarz, ale łzy lecą dalej. Jestem pewna, że to Witek – rozmawiał z kimś w kuchni, gdy szłam na tyły budynku. Jest dla mnie jak ojciec, więc bez otwierania oczu odwracam się do niego, szukając oparcia w jego ramionach. Obejmuje mnie bez słowa, dając mi poczucie bezpieczeństwa. Jest tak ciepło, tak dobrze. Dawno się tak nie czułam. Gdy podnoszę oczy, przeszywa mnie dreszcz.

Odkakuję. Przez łzy widzę mordercę mojego taty. W pierwszej chwili chcę uciekać, ale zdrowy rozsądek znów bierze górę. Jeśli zachowam się niewłaściwie, może mnie zaarrestować – może mnie nawet zabić. Muszę dalej toczyć tę szaloną grę.

– Proszę wybaczyć – mówię. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak mocna jest ta wódka.

Wydaje się zatroskany.

– Nie ma pani za co przepraszać. Proszę pozwolić, że odwiozę panią do domu.

– O nie, proszę się mną nie kłopotać, złapię tramwaj – mówię, modląc się w duchu, że to łyknie.

– Ależ to żaden kłopot.

Grać dalej czy zwiewać?

– Wando, kochanie, proszę, pozwól, by *Hauptsturmführer* Keller zawiózł cię bezpiecznie do domu – wtrąca Anna gdzieś zza moich pleców. – Nie powinnaś w takim stanie podróżować sama.

Kilka minut później Keller prowadzi mnie do czarnego mercedesa, uruchamia silnik i pyta łagodnym tonem:

– Dokąd panią zawieźć?

Czemu o to pyta? Czy to możliwe, że zapomniał? Zastanawiam się teraz, jak często zdarza mu się wparować nocą do cudzego domu, wyrzucić życie domowników do góry nogami, a potem wrócić do roli układowego dżentelmena. Czy pamięć mu wróci, gdy podam adres? Postanawiam wskazać numer kamienicy, w której mieszkała kiedyś moja przyjaciółka, kilka ulic dalej.

– Mierosławskiego 29, na Żoliborzu – mówię, po czym nachylam się w skórzanym fotelu, przyciskam prawą dłoń do czoła i zamykam oczy.

Jedziemy w ciszy. Ufam Annie, a ona zdaje się nie mieć żadnych wątpliwości co do jego intencji. Czy między nimi coś jest? Muszę powiedzieć jej prawdę o tym człowieku. Ale najpierw go zabiję.

Otwieram oczy. Dojeżdżamy do miejsca, które mu wskazałam. Nagle dociera do nas muzyka płynąca z megafonu na placu. To dostojne dźwięki hymnu – *Jeszcze Polska nie zginęła* rozbrzmiewa jak trzask pioruna. To pewnie robota chłopców z AK. Niezwykle uczucie – podejrzewam, że to samo czują inni Polacy mieszkający w okolicy placu. Tyle że dla mnie to nie jest najlepszy moment. Boję się spojrzeć na Kellera. Gdy w końcu to robię, rzuca mi półuśmiech. Może tak bardzo zależy mu na Annie, że stara się też zyskać przychylność jej przyjaciół?

– Jeśli chcesz wiedzieć, co stało się z twoim przyjacielem, który zaginął, bądź w czwartek o szesnastej przy głównym wejściu do parku Żeromskiego.

Zatrzymuje auto przy starej kamienicy, na wpół zrujnowanej podczas oblężenia w 1939 roku.

– Cudów nie obiecuję, ale wykonam parę telefonów.

– Dziękuję.

Już wiem, co zrobię, gdy go tam spotkam. Teraz chodzi o to, by ocalić Annę przed tym psychopata.

Na szczęście odjeżdża, zanim docieram do drzwi kamienicy. Staram się nieco uspokoić, po czym idę w stronę domu, próbując zwalczyć kolejny atak mdłości. W tym stanie będę potrzebowała sporo erzacu herbaty, czegokolwiek zresztą, co uspokoi mój żołądek i ukoj dumę.

Trzy dni później, o szesnastej, przemykam przez plac Wilsona w kierunku wejścia do parku Żeromskiego. Zastanawiam się, czy on jest już na miejscu. Jeśli nie, będę musiała na niego poczekać, bo Polacy nie mają wstępu do parku. Popołudnie jest ciepłe, ale niebo zasnuło się chmurami – pogoda idealnie dopasowała się do mojego rozchwianego stanu emocjonalnego. Zapowiadane opady są mi na rękę; dzięki nim mogłam się ubrać w zielony płaszcz przeciwdeszczowy taty z kieszeniami ukrytymi w fałdach.

Widzę go: stoi przy wejściu i rozmawia z uzbrojonym strażnikiem. Wygląda na spokojnego, znów w dobrym humorze. Skręca mnie w środku i zaciskam zęby, ale szybko przypominam sobie, jaką rolę mam grać.

– *Hallo* – mówi z uśmiechem, badawczo przyglądając się mojemu płaszczowi. – Już się martwiłem, że pani nie dotrze.

Przyrzekłam sobie, że tym razem spokojnie z nim porozmawiam, ale znów się zacynam. Pozostaje mi więc tylko się uśmiechnąć.

– Znajdźmy jakieś ustronne miejsce – mówi i wkracza do parku.

Podążam za nim, obawiając się, że strażnik mnie zatrzyma, ale nic podobnego się nie dzieje.

– Zna pani ten park? – pyta, gdy zbliżamy się do fontanny ozdobionej rzeźbą Aliny, dziewczyny w ludowym stroju. W jednej ręce trzyma duży kubek, do którego zebrała maliny, a drugą pozdrawia przechodniów.

– Tak. Z rodziną chodziliśmy tu w niedziele posiedzieć na trawie.

Przez chwilę milczę, nie wiedząc, czy powinnam dalej mówić, ale przecież miałam być przyjazna.

– Tu nauczyłam się jeździć na rowerze.

– Naprawdę?

Wskazuje nierówne ścieżki.

– Jakkolwiek by patrzeć, jeśli udało się pani tutaj, to pojedzie pani wszędzie.

Uśmiecham się.

– To prawda.

Jeszcze mam w uszach cierpliwy głos taty, tłumaczącego mi, że nie od razu Kraków zbudowano.

Siadamy na ławce z widokiem na rzeźbę, wokół której kłębią się kępy traw i cisów. Wśród parkowej fauny przeważają iglaki. Oglądałam figurę Aliny milion razy, ale dziś jest jakoś inaczej.

– Zna pani historię tej rzeźby? – pyta nagle.

– Tak. To dzieło Henryka Kuny. Inspirował się tragedią pod tytułem *Balladyna*. Napisał ją sto lat temu Juliusz Słowacki. By poślubić bogatego księcia, Balladyna zamordowała własną siostrę. Ta siostra to właśnie Alina. Zabiła ją i ukradła kubek malin, które Alina zebrała, by zdobyć rękę księcia. Balladyna była zbyt leniwa, by samodzielnie zebrać owoce.

– Interesująca historia – mówi z uśmiechem.

Kiwam głową, a gdy się odwraca, zaciskam pięści tak, że paznokcie wbijają mi się w skórę. Balladyna zabiła tak samo jak ten mężczyzna, który siedzi teraz obok mnie.

– Obawiam się, że niewiele mam pani do przekazania – mówi, patrząc na fontannę. – Czy *Fräulein* Otenhoff na pewno podała mi właściwe nazwisko?

Nie brzmi to dobrze.

– Tak.

– Jedyne człowiek o tym nazwisku, którego udało mi się wytropić, zmarł w 1941 roku, więc to nie o niego chodzi. Przynajmniej nie możemy wykluczyć, że pani przyjaciel nadal żyje.

Dokumentami należącymi do tego właśnie mężczyzny posługiwał się Mateusz. Tak przynajmniej twierdzi Anna. Co za chaos.

– Dziękuję i za to – mówię, kładąc dłoń na rewolwerze w kieszeni płaszcza. To doskonały moment: teraz mogłabym go zabić i uciec przez drugą bramę. Moja dłoń wiotczeje i oblewa się potem. Zaczynam się obawiać, że rewolwer mi się wyslizgnie.

– Zgaduję, że to ktoś, na kim pani zależy? – pyta.

Jego słowa wytrącają mnie z równowagi.

– Tak.

Mam doskonałą sposobność, więc czemu nie potrafię pociągnąć za spust? „Nie tak cię wychowałem”, mówi głos taty w mojej głowie. „Próbowałem cię chronić i udało mi się. Nie zepsuj tego, nie poddawaj się złu. Rozwiej tę ciemność i wnieś więcej światła”. Drzę, czując na skórze kropelki deszczu. Czy to znak od taty?

– Powinniśmy stąd iść – mówi, gdy z nieba spływa piorun. Chwilę potem dobiega nas grzmot.

Do domu wracam przemoczona do suchej nitki, ale czuję się tak, jakby ktoś zdjął ze mnie ogromny ciężar. Przebieram się w suche ubrania i idę zobaczyć, co u mamy. Zastaję ją przy stole – pracuje na swojej maszynie Singera. Kubuś i Jacek grają w karty. Za każdym razem gdy Kubuś odkrywa nową kartę, pokrzykuje z podniecenia. Wizyty Jacka dostarczają mu wiele

radości. Kiedyś przychodził do taty na korepetycje z chemii i biologii, a teraz spędza czas z Kubusiem. Czasem uczę go angielskiego.

Podchodzę do fortepianu. Ściana za nim wydaje się pusta bez słoneczników, które namalowałam dla taty na siedemdziesiąte urodziny. Siadam na taborecie, dotykam klawiszy i czytam szeptem napis: „Wm. Knabe and Co. Established 1837”.

Tak bardzo tęsknię za tatą. Gram pierwsze dźwięki Chopinowskiego nokturnu Es-dur. Tata go uwielbiał. Mówił, że przywodzi mu na myśl lata młodości, które spędził na wsi. Mama nagle zatrzaskuje klapę, jak zwykła robić, gdy tata zabierał się za granie zakazanych utworów Chopina.

– Aua! – krzyczę i patrzę na zaczerwienione palce. – Jak mogłaś?

W jej oczach jest złość. Milczy.

– Dobrze.

Wstaję, odchodzę i trzaskam za sobą drzwiami, jakbym znowu była nastolatką.

DZIESIĄTY

Finn

— **C**zuj się jak u siebie w domu, kochanie – mówi Gerda Veicht, zapraszając mnie do swojego salonu. – Muszę się odświeżyć, a potem możemy się napić kawy.

Podnosi na mnie swe bladoniebieskie oczy i uśmiecha się.

– Nie spiesz się, kotku – mówię i całuję długonogą blondynkę w policzek.

Jej twarz się rozjaśnia. Dziewczyna odchodzi, a ja czuję gorzki posmak w ustach. Ta kobieta jest tak amoralna i bezduszna, że poważnie się jej boję.

Powoli zmierzam do stylowej sofy, po czym osuwam się na twardej jak kamień mebel. W tym domu każda powierzchnia jest zimna, gładka i ostentacyjna. Kontrast z tym, co na zewnątrz – ze zubożałymi, poznaczonymi krwią ulicami Warszawy – nie mógłby być wyrazistszy.

– Cóż za miła niespodzianka – zimny głos przerywa moje myśli.

Wstaję gwałtownie i podnoszę w górę prawą rękę.

– *Heil Hitler.*

Veicht odsalutowuje i podchodzi do mnie. Rozsiada się w wiktoriańskim orzechowym fotelu po drugiej stronie niskiego stolika.

– Może chciałby pan napić się czegoś mocniejszego? – pyta, gdy podchodzi do nas chuda staruszka o przyprószonych siwizną włosach i pomarszczonej twarzy.

– Wystarczy brandy – odpowiadam. – Dziękuję panu.

– Karolino, przynieś brandy i dwa kieliszki – mówi, patrząc na Polkę. Haczykowany nos, małe oczka i wąskie usta sprawiają, że wygląda jak jastrząb. Jastrząb samego Hitlera. Jego wzrok skupia się teraz na mnie.

– A zatem, *Hauptsturmführer* Keller, jak panu mija wieczór? Mam nadzieję, że nie zawiódł pan mojej córki?

Odchrząkuję.

– Ależ nie, proszę pana. Poszliśmy do Theater der Stadt Warschau, bo Gerda chciała zobaczyć *Der Graf von Luxemburg*.

– Ach, to ta operetka o miłości, co się dobrze kończy? – pyta z krzywym uśmiechem. – Nasza romantyczka Gerda.

Upija łyk brandy.

– Jakież problemy poza domem?

– Nie, żadnych, panie Veicht – odpowiadam, odchylając głowę.

– Dobrze. Zdecydowałem, że Gerda wyjedzie w sierpniu do Berlina.

Potrząsa kieliszkiem i wypija jednym haustem resztę trunku.

– Obawiam się o jej bezpieczeństwo w tym mieście. Ci kryminaliści zamordowali kolejnych pięciu naszych agentów.

Patrzę mu prosto w oczy.

– Będę bardzo tęsknić za Gerdą, ale w tych okolicznościach muszę się zgodzić. Powinna wrócić do Berlina.

Kiwa głową.

– Będzie mogła się tam zabrać za planowanie wesela, a pan może wkrótce do niej dołączyć – mówi z krzywym uśmiechem. – Dwa gołąbeczki.

– Nie mogę się doczekać – odpowiadam, unosząc kieliszek.

Dzięki papierom od Witka wiem, że Stefan i Gerda zdążyli się już zaręczyć i planowali wystawne wesele w Berlinie. Brat nie jest zdolny do miłości, więc było dla mnie jasne, że podjął tę decyzję dla kariery. Zaręczyny z Gerdą nie powstrzymały go od wizyt w burdelach. Mam chęć splunąć na samą myśl. Jedyne, co mi pozostaje, to dbać o to, by Gerda była zadowolona. Jeśli księżniczka się na mnie obrazi, pan starszy bez wahania ześle mnie na front wschodni.

Veicht nagle poważnieje.

– Musimy znaleźć lepszy sposób na walkę z tymi polskimi pasożytami – mówi, dolewając sobie brandy. – Brzydzi mnie sama myśl o tej ich akcji z „Biuletynem Informacyjnym”.

Twarz krzywi mu nieklamany gniew.

– Jakiej akcji? – pytam, starając się utrzymać neutralny ton. Co, u diabła, czyżby ten idiota znowu wymyślił jakiś piekielny spisek?

– Dowiedziałem się wczoraj. Nasi agenci przypadkiem natrafili na miejsce, gdzie te gnoje drukowały swój szmatławiec.

Odpala zapałkę i przystawia ją do papierosa. Czuję ucisk w gardle.

– Zamknęli ich gazetę?

Chyba chodzi mu o drukarnię przy Wawelskiej.

– Tak, jeśli uważasz, że można tak to coś nazywać. Byli w trakcie drukowania dwudziestego drugiego numeru.

Z haczykowatego nosa niczym z komina ulatuje dym.

– Jeden idiota zginął w strzelaninie, drugi nie puszcza pary z gęby – kontynuuje, patrząc na mnie oczami wąskimi jak szparki. – Wiesz, o czym pisali w tym numerze?

– Zgaduję, że o niczym dobrym.

Ależ z niego kretyn.

– Te polskie świnię myślą, że jesteśmy już na ostatnich nogach i zaraz będą mogły sobie hasać.

Rechocze zza chmury dymu.

– Bzdury – rzucam, wywracając oczami. – Zachłysłni się odwagą rodaków pod Monte Cassino.

Veicht puszcza to ostatnie mimo uszu.

– Od jutra zamierzam wprowadzić drastyczne zmiany. Jesteśmy zdecydowanie zbyt łagodni.

Ucicha na chwilę i nasłuchuje.

– Słyszę głos Gerdy; wrócimy do tej rozmowy. Jeszcze jedno: proszę się stawić u mnie jutro, żeby omówić sprawę polowania w parku Paderewskiego.

– Oczywiście, panie Veicht.

Powinienem po prostu zabić tego potwora, ale wiem doskonale, że to niczego nie rozwiąże. Wręcz przeciwnie: Berlin natychmiast przyśle kolejnego.

Do salonu wchodzi Gerda. Wygląda powalająco w letniej białej sukience. Z zewnątrz anioł, a w środku samo zło. Idzie za nią Polka z kawą i strudlem na tacy. Ciemny aromat kawy kręci w nosie, gdy patrzę, jak Karolina rozstawia porcelanowy serwis ze złoceniami na niskim stoliku.

– Papo, proszę, dziś żadnej polityki – mówi Gerda, gdy siedzi już koło mnie. – Stefan przyszedł tu się relaksować.

Veicht puszcza do mnie oko.

– Oczywiście, skarbie. Właśnie rozmawialiśmy o waszym weselu.

Nawet gdy szczerze się uśmiecha, robi to krzywo. Jej oczy błyszczą.

– O, to dużo lepiej.

Gerda przygląda się, jak Karolina nalewa wszystkim kawę. Gdy gospodyni staje nad moją filiżanką, jej ręka nagle zaczyna drżeć i odrobina cieczy rozlewa się na spodek.

– Bardzo przepraszam – mówi cichutko, spogląda na Gerdę i kuli się w sobie.

– Nic nie szkodzi – mówię i serwetką osuszam kałużę.

Gerda unosi rękę w górę i uderza biedną staruszkę dłonią w twarz tak mocno, że Karolina aż się cofa.

– Wynoś się, stara prukwo! – krzyczy ogarnięta furią Niemka. – Najprostszej rzeczy nie umiesz zrobić!

Karolina umyka przerażona. Gerda uzupełnia moją filiżankę.

– Kochanie, musisz koniecznie skosztować strudla upieczonego przez Karolinę – mówi słodkim głosem. – Ma wyjątkowy smak. Jabłka, migdały i rodzynki.

Kładzie kawałek na moim talerzyku, a ja z trudem powstrzymuję falę mdłości.

JEDENASTY

Wanda

Zostało nam już tylko szesnaście butelek bimbru. Starczy na dwie wizyty u Anny. Chyba będę musiała przyjąć jej propozycję i zostać portrecistką w kawiarni. Potrzebujemy pieniędzy.

Buszując w piwnicy, natykam się na małą książeczkę o robieniu wódki, wetkniętą pod stary album ze zdjęciami taty z dzieciństwa. Zabieram wszystko na górę. Nie jestem w stanie dłużej sterczeć w piwnicy, bo wypełnia ją odór sfermentowanego zacieru i drożdży, który przywodzi mi na myśl tatę.

Jest leniwy niedzielny poranek. Słońce świeci łagodnie, po błękitnym niebie przechadzają się niemrawo kłębiaste baranki – idealny dzień na relaks. Ale w mojej głowie kłębi się niepokój. Przysiadam na zbutwiałej drewnianej ławeczce (tata zawsze dbał, by co parę lat ją naprawiać, chciał to również zrobić w tym roku). Po prawej widzę mamę; wrywa chwasty ze swojego ogródka warzywnego. Wkłada dużo sił w utrzymywanie go, bo latem i jesienią dostarcza nam dodatkowego jedzenia. Póki tata żył, polegałam na pomysłowości rodziców, jakby miała trwać w nieskończoność. Od kiedy jestem taką egoistką?

Przeglądam książkę. Nie, nie dam rady sama tego zrobić. Mój los jest nieuchronny – będę malować paskudne facjaty niemieckich oprawców. Odrzucam poradnik i chwytam stary album, ale zanim go otwieram, ze środka wypada fotografia. Podnoszę ją z ziemi i coś chwytam mnie za serce. Na zdjęciu jest mój ojciec, ma około czterdziestki, a obok niego stoi młoda kobieta. Wydaje mi się, jakbym patrzyła na własną siostrę, ale przecież takiej nie mam. Ładnie wygląda w kremowej koronkowej sukience z wcięciem. Na rękach trzyma dziecko. Mam mętlik w głowie. Czy to jakaś krewna tata? Wchodzę do ogródka.

– Mamo, muszę ci coś pokazać – mówię, przyglądając się badawczo fotografii. – Czy to jakaś nasza krewna?

Mama podnosi się, zdejmuje rękawice ogrodowe i ociera pot z czoła. Pewnym ruchem przejmuje fotografię. Spogląda na nią i twarz jej ciemnieje.

– Gdzie to znalazłaś? – pyta pełnym napięcia tonem, nie patrząc na mnie.

Jej reakcja mnie zaskakuje. Wygląda na to, że o czymś do tej pory nie wiedziałam.

– Była w albumie taty – odpowiadam. – Czemu pytasz? Kim ona jest?

Mama ma szczególny talent do komplikowania spraw. Mogła po prostu odpowiedzieć i tyle, a zamiast tego pewnie zrobi mi wykład na temat ruszania starych rzeczy taty. Fotografia wysuwa się z rąk mamy i upada na ziemię. Mama jednak nie pochyla się, by ją podnieść, tylko patrzy na mnie blada jak ściana. Cała sztywnieję porażona smutkiem, który bije teraz z jej oczu.

– Błagam, nie pytaj – mówi łamiącym się głosem. – Lepiej nie wracać do bolesnych wspomnień.

Bolesnych wspomnień? Teraz to się dopiero zmartwiłam. Czy to możliwe... Nie mogę nawet dokończyć tej myśli. Przeganiam ją i zamiast tego zastanawiam się, czy ta kobieta to jakaś zapomniana siostra taty, czarna owca, o której nie mówił ani on, ani ciocia Krysia. Może to dlatego mamie tak trudno o tym mówić? To musi być to!

– Powiedz, mamo – mówię i dotykam jej ręki. – Jesteśmy rodziną. Chciałabym wiedzieć o tacie wszystko. Czy ta kobieta to jego młodsza siostra?

Mama zamyka oczy, jakby się namyślała.

– Chyba nadszedł czas, byś poznała prawdę.

Jej oczy otwierają się. Teraz patrzy prosto w moje.

– To twoja rodzona matka – mówi głębokim głosem, który trąca wszystkie moje najczulsze struny. Serce wali mi tak, że cała się trzęsę.

– Nie... nie rozumiem – mówię i cofam się niepewnie.

– Twój ojciec miał romans z młodą pielęgniarką – tłumaczy mama, a jej oczy napęcznieją się łzami. – Wyprowadził się do niej, ale parę miesięcy po twoich narodzinach twoją matkę potrącił samochód.

Gula staje mi w gardle.

– Co? – pytam. Nie ma we mnie zgody na to, co właśnie usłyszałam.

Jej twarz krzywi się w bolesnym grymasie.

– Mateusz miał dopiero dziesięć lat, a ty też potrzebowałaś matki, więc pozostało nam wrócić do siebie.

Nagle ogarnia mnie wściekłość.

– Czemu to przede mną ukrywaliście?

– Twój ojciec wierzył, że tak będzie dla ciebie lepiej – odpowiada, ocierając łzy.

Serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

– Teraz rozumiem, dlaczego mnie nienawidzisz.

Smutek wykrzywia twarz mamy.

– Och, kochanie, przecież to nieprawda! – mówi głosem, w którym słyszę błaganie.

Muszę choć na chwilę zostać sama. Odchodzę bez słowa.

Chciałabym uciec jak najdalej od mamy i od domu, ale w tym stanie nie powinnam za długo przebywać na ulicy, więc ostatecznie trafiam do mieszkania Anny, znajdującego się nad jej kawiarnią. Trudno mi mówić o tym, czego się dowiedziałam, lecz chcę się tym z kimś podzielić.

Anna siedzi obok mnie na sofie, marszcząc swoje nieskazitelne brwi. Spogląda na mnie ze spokojem.

– Wiem, że teraz odczuwasz wielki ciężar, ale uwierz, z czasem sprawy się poukładają i się z tym pogodzisz – mówi, ocierając łzy z moich policzków. Jej słowa nie dają mi pocieszenia, choć wiem, że chce dobrze.

– Jestem zdruzgotana, nie umiem zebrać myśli.

Anna ujmuje moją twarz w dłonie.

– Trwa wojna, Wando – mówi. – Nie możesz się nad sobą uzalać. Musisz żyć. W czasie walki żołnierzowi nie wolno płakać. Musi przeć naprzód. Musi walczyć.

Ta prosta myśl działa na mnie trzeźwiąco.

– Masz rację.

Anna wstaje.

– Pójdziemy do Łazienek. Tam łatwiej będzie ci się uspokoić.

Park i pałac zamknięto dla Polaków na początku wojny, ale Anna ma do nich wstęp dzięki niemieckiemu obywatelstwu. Dawno temu zostawiłam u niej torbę z przyborami malarskimi – zabieram ją ze sobą, ilekroć idziemy tam na spacer. Anna mówi strażnikom, że jestem jej portrecistką.

Przechadzamy się alejkami, podziwiając rozkwitłe drzewa i krzewy i chłonąc niebywały spokój tego miejsca. Gdy obchodzimy staw, wzdrygam się nagle, słysząc piskliwy płacz niemowlęcia.

– Pozory mylą – mówi Anna i wskazuje na lewo.

Dostrzegam wielkiego pawia, który właśnie rozkłada swój tęczyowy wachlarz. Śmiejemy się i ruszamy dalej, w stronę otwartego amfiteatru na wschodnim brzegu stawu. To nasze ulubione miejsce. Siadamy na jednej z pierwszych ławek w dolnej części, tuż nad kanałkiem oddzielającym scenę od widowni. Scena, której strzeże marmurowy posąg lwa, imituje ruiny z Forum Romanum. Wokół jest cicho, nie licząc gardłowych pohukiwań łabędzi pływających po stawie. Słońce ogrzewa wodę, wzbijając woń stęchłych alg i błota.

Siedzimy w ciszy. Często nam się to zdarza, gdy tu jesteśmy. Zanurzamy się we własnych myślach, podziwiając piękno natury i starożytnych dekoracji Teatru na Wyspie, nietkniętych przez okupantów. To nadal moja oaza spokoju. Przed wojną przychodziłam tu oglądać Annę w niejednej roli, ale doceniłam to dopiero, gdy Polakom zakazano wstępu do parku. Od tego czasu Łazienki stały się dla mnie miejscem ucieczki od dręczącej codzienności.

Po chwili milczenia nachyliam się do Anny i pytam przyciszonym głosem:

– Czy Witek przekazał ci jakieś wieści o powstaniu?

Anna kiwa głową.

– Na razie nic pewnego. Witek liczy, że do niego dojdzie, jednak wiele wskazuje na to, że będzie inaczej. Wstępne plany zarzucono już jakiś czas temu, ale robi, co może, by do nich wrócono.

– To...

– Wyciągaj swój szkic – przerywa mi nagle Anna. – Ktoś tu idzie.

Natychmiast robię, co każe. Słyszę kobiecy śmiech i chwilę potem na ścieżce pojawia się para. Ściska mnie w dołku: kobietę prowadzi ten, który zabił tatę.

– O nie, znowu... – mówię do Anny. Ze wszystkich miejsc w Warszawie musiał wybrać akurat to.

Towarzyszy mu wysoka, ładna blondynka. W zwiewnej białej sukience wygląda jak anioł. Tworzą razem piękną parę. Ciekawe, czy ta dziewczyna też jest pozbawiona sumienia.

– Ja będę mówić, ty udawaj, że pracujesz nad szkicem – mówi Anna, po czym uśmiecha się i wstaje. – Cóż za miła niespodzianka!

– Och, *Fräulein* Otenhoff! – mówi blondynka. – Jakże miło panią tu spotkać. Teraz przynajmniej nie będę się nudzić, gdy Stefan zasępi się nad ruinami.

Nie mogę oderwać oczu od tej kobiety. Spogląda na mnie niechętnie.

– Widzę, że nie jest pani sama.

– Przyproceedziłam tu swoją portrecistkę – mówi Anna i bierze mój szkic. – Jest naprawdę utalentowana.

– Cóż za wspaniały rysunek! – mówi blondynka i podnosi wzrok na Annę. – Czy użyłyby mi jej pani? Byłoby wspaniale, gdybyśmy ze Stefanem mogli zabrać taką pamiątkę do Berlina.

– Oczywiście. Może was narysować nawet teraz, jeśli macie czas.

Wargi Anny krzywi nieznacznie kąśliwy uśmiech.

– Ależ proszę się nami nie kłopotać – mówi stanowczo mężczyzna. – Powinniśmy niedługo wracać.

Blondynka zwraca do niego swoją okrągłą buzię.

– Nonsens, kochanie – mówi szorstko, po czym odwraca się do Anny. – Gdzie możemy zapozować?

Od razu widać, że ta zawsze dostaje to, czego chce.

– Najlepiej wejdźcie na górną część, żeby Wanda dobrze was widziała.

Odpłacę ci się za to, Anno Otenhoff! Przewracam kartki w bloku, szukając wolnej. Szkic kobiecej twarzy powstaje szybko, ale z twarzą mężczyzny jest gorzej. Gdy patrzę na niego,

widzę łagodne spojrzenie i delikatny uśmiech, ale przecież dobrze wiem, że to fałsz. To oślizgły wąż. Rysuję puste, zimne oczy, które pamiętam z tamtej okropnej nocy. Złe oczy pasują do okrutnego oblicza. Taka jest jego prawdziwa natura. Nie potrafię upiększyć portretu mordercy.

Gdy kończę, kobieta podchodzi do mnie i bez słowa wyrywa mi blok, patrząc na mnie nieprzyjaźnie. Wystarczy jednak rzut oka na szkice i uśmiecha się rozanielona.

– Naprawdę niezwykle! – mówi, zerkając z wdzięcznością na Annę, jakby mnie w ogóle nie było.

Pokazuje szkice Annie, a potem podaje je mężczyźnie.

– Spójrz, kochanie. Ależ z nas piękna para. Cieszę się, że włożyłam dziś tę sukienkę. Doskonale pasuje do twojego munduru.

Nie czekając na jego odpowiedź, prosi Annę, by ta poszła z nią na krótką przechadzkę, bo chce z nią coś omówić. Gdy odchodzą, Anna spogląda na mnie niepewnie, jakby chciała zapytać: „Czy dasz sobie radę z tym człowiekiem?”.

Nie, nie dam. Jest ostatnią osobą, w której obecności chciałabym teraz przebywać, zwłaszcza sam na sam. Czemu los płata mi ciągle tego samego figła, wечно mnie z nim kojarząc? Przysięgam, gdybym miała przy sobie broń, tym razem bez wahania pociągnęłabym za spust. Sama jego obecność przypomina mi o tym, że taty nie ma już wśród żywych. Otrząsam się z tych myśli – jeśli chcę to przetrwać, muszę udawać.

Mężczyzna patrzy na swój szkic ze zmartwioną, wręcz bolesną miną. Teraz wiem, że dostrzegł okrutny wyraz, jaki nadałam jego oczom. Podnosi na mnie spojrzenie.

– Dziękuję – mówi i podchodzi bliżej. – Współczuję jej.

Kiwam głową. Oddaje mi szkicownik. Przez moment dotyka palcami mojej ręki. Przechodzi mnie dreszcz. Czuję się kompletnie zagubiona, ale on, zamiast się cofnąć, podchodzi jeszcze bliżej i głaszcze mnie po policzku. Serce wali mi jak szalone ze strachu i podniecenia. Wiem, że to potworne, chcę go odepchnąć, ale jego dotyk mnie zniewala. Nie mogę się ruszyć.

Słyszę głosy. Odsuwam się gwałtownie i natychmiast trzeźwieję. Co mną owładnęło? Patrę na niego, ale w jego oczach widzę tylko ból.

– Nie jestem tym, za kogo mnie masz. Uwierz – mówi, po czym odwraca się na pięcie.

CZEŚĆ II

Nie znajduję w sobie siły, by otworzyć list od Stefana. Boję się poznać całą prawdę o własnym bracie, a ten list pewnie wszystko wyjaśnia. Jak sam mówił, tu znajdę ostateczną odpowiedź, której potrzebuję, by móc normalnie żyć.

FINN KELLER

DWUNASTY

Wanda

Następnego ranka odmawiam wyjścia z łóżka, nawet gdy Kubuś informuje mnie, że ciocia Krysia przyjechała z wizytą. Mówię mu, że boli mnie głowa i za godzinę się podniosę, ale on zagląda do mnie co kwadrans. Ciocia dotarła do nas wczoraj po całodniowej podróży z Topilca, wsi na północny wschód od Warszawy, w której tata spędził dzieciństwo. Ja wróciłam późno, więc jeszcze się z nią nie widziałam.

– Wanda, wstawaj – mówi Kubuś zza futryny. – Ciocia ma dla ciebie niespodziankę!

Czuję się kompletnie pozbawiona sił. Mama nie jest moją matką, bo mój ojciec ją zdradził. Ojciec, którego tak uwielbiałam, porzucił żonę i syna dla innej kobiety. Mimo to mama przyjęła go z powrotem, gdy moja rodzona matka zmarła. Moja rodzona matka; jesteśmy do siebie podobne jak dwie krople wody. Nigdy jej nie spotkam, nie poznam. Na zdjęciu trzyma mnie jak najdroższy skarb. Ale skoro była tak dobra, czemu wdała się w romans z żonatym mężczyzną?

Teraz rozumiem zachowanie mamy. Przypominam jej kobietę, dla której porzucił ją jej własny mąż. Na samą myśl zbiera mi się na płacz.

– Przepraszam, skarbie – mówię do Kubusia z uśmiechem. – Powiedz cioci, że zaraz będę.

Jest wyjątkowo podekscytowany. Na co dzień jest taki wesoły, jakby nigdy nie spotkało go nic złego. Tym bardziej wstydzę się za siebie. Robi mi się niedobrze, gdy myślę o tym, jak wczoraj patrzył na mnie zabójca taty. Nadal nie rozumiem, skąd wzięły się uczucia, które opanowały mnie, gdy poczułam jego dotyk. O czym ja myślałam? Czemu nie uciekłam, gdy tylko ten bydlak się do mnie zbliżył? Moja reakcja na jego dotyk była jak zdrada. Zdradziłam ojca. Zdradziłam kraj. Zasługuję na to, by ogolono mi głowę i mnie opluto.

Ten człowiek jest manipulantem. Jedyne, co do niego czuję, to obrzydzenie. Ale jak to możliwe, że ktoś o tak mądrym i miłym spojrzeniu mógł zabić tatę z zimną krwią? Wciąż wracają do mnie jego słowa: „Nie jestem tym, za kogo mnie masz. Uwierz”.

Słyszę pukanie do drzwi. Nie odpowiadam, tylko chowam twarz w poduszkę. Kubuś nigdy nie puka, więc to pewnie mama, a ja nie mam siły z nią rozmawiać. Dobiega mnie jednak melodyjny głos cioci, więc podnoszę głowę.

– Nie wstawaj, kochanie – mówi, przysuwając krzesło do łóżka. – Wiem, jak dokuczliwa potrafi być migrena.

Ciocia jest wciąż tą samą, pełną energii kobietą, ale mocno się postarzała, odkąd widziałam ją rok temu. Tak to jest na wojnie. Jej ciemne włosy zebrane w niski kok są teraz gęsto przyprószone siwizną, a na delikatnej twarzy przybyło głębokich bruzd.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, ciociu!

Wstaję z łóżka i obejmuję tę najmilszą panią, która zawsze była moją siostrzaną duszą. Sama jej obecność wypędza z mojej głowy ciemne myśli. Jako dziecko spędzałam każde wakacje w jej cudownym domu na wsi, w którym mieszka z wujkiem Mirkiem. Przekazała mi miłość do sztuki, ucząc malowania i szkicowania. Jej zdaniem jestem dziedziczką rzadkiego talentu, który miała moja praprababka Felicja.

– Ja też się cieszę, kochanie, ja też – mówi.

Ciepłej mi na sercu, gdy patrzę w jej ciemnobrązowe oczy, takie jak taty. Moja rodzina ma szlacheckie korzenie. Tata wraz ze swą siostrą Krysią dorastał w domu należącym do dziadków, którzy zmarli ledwie dekadę temu. Kiedy on wyjechał do miasta na studia lekarskie, ona została, by zarządzać majątkiem. Wyszła za mąż, ale nie miała dzieci.

– Jak się ma wujek Mirek?

W majątku mieszkają teraz niemieccy oficerowie, a ciocia i wujek rezydują w domku ogrodnika. Wujek dalej zajmuje się rolą i pracownikami, ale rządzą tam Niemcy i wciąż patrzają mu na rękę.

– Jakoś żyje – mówi i wzdycha. – Przyjechałam, żeby was wszystkich zabrać z tego smutnego miejsca.

Topilec to nasz drugi dom, jednak nie jestem pewna, czy podoba mi się ta propozycja. Nie czuję się gotowa na wyprowadzkę, zwłaszcza że zbliża się powstanie.

– Twoja mama zgodziła się ze mną, że będziecie u nas bezpieczni. Co będzie, jak Gestapo znów przypomni sobie o Mateuszu?

Ciocia odchrząkuje.

– To, co zrobili mojemu bratu, może się przydarzyć każdemu z was. To cud, że tamtego dnia was nie ubili.

Przygląda mi się z niepewną miną.

– Trudno mi sobie wyobrazić, co przesłaś, Wando.

Mama i Kubuś faktycznie mogliby się przeprowadzić na wieś. Gdy zacznie się powstanie, będę działać jako łączniczka – kto wie, jak się sprawy potoczą? Powinnam była wcześniej pomyśleć o tym, jak zapewnić im bezpieczeństwo. Za bardzo skupiłam się na własnych planach.

– Dziękuję – mówię i całuję dłoń cioci, z trudem hamując łzy. – Proszę, zrozum, że ja muszę tu zostać. Niedługo ma się zacząć powstanie.

– Och, rozumiem, Wando. Naprawdę rozumiem. Gdybym była młodsza...

Wzdycha i długo mi się przypatruje.

– Nie bądź zbyt surowa dla mamy, kochanie. Zrobiła, co należało. Wybaczyła mu i na powrót złączyła rodzinę.

Ujmuję moją twarz w dłonie. Nagle czuję, że brak mi sił, by spojrzeć jej w oczy. Moja ukochana ciocia cały czas wiedziała i z niczym się nie zdradziła.

Zawstydzona własnym gniewem, siedzę w ciszy. Ciocia Krysia unosi moją brodę i patrzy na mnie oczami pełnymi współczucia.

– Ona cię kocha, uwierz.

Topilec, w którym mieści się majątek rodziny Odwagów, to wieś nad Narwią. Są tam biały dworek z okazałym ogrodem, czworaki, budynki folwarczne i dwieście pięćdziesiąt hektarów ziemi uprawnej. Do dworku prowadzi prosta jak strzała alejka między wierzbami. Mieszkają tam teraz niemieccy oficerowie. Przemierzamy pachnący słodczą ogród przy akompaniamencie słowicznych treli, idąc do małej chatki skrytej na obrzeżach posiadłości, gdzie rezydują ciocia i wujek.

Fakt, że nie napotykamy nikogo po drodze, przyjmuję z wielką ulgą. Ciocia Krysia wyjaśnia, że Niemcy większość dnia spędzają poza majątkiem, a w polu pracują miejscowi. Zostanę tu trzy dni, a potem wracam. Mam rozkazy – Witek powierzył mi zadanie podjęcia broni od lokalnego oddziału partyzantów.

Wolny czas spędzam na spacerach w ogrodzie i kąpielach rzecznych z Kubusiem. Każdy znaleziony kamień czy kwiatek jest dla niego powodem do radości. Boli mnie serce, gdy myślę o tym, że niedługo się rozstaniemy. Jest teraz częścią naszej rodziny i czuję się za niego odpowiedzialna. Muszę przetrwać tę okropną wojnę, bo Kubuś już nigdy nie może zostać sam. Zastanawiam się czasem, czy to, co czuję, nie przypomina matczynych uczuć. Nie urodziłam Kubusia i to mama spędza z nim najwięcej czasu, ale łączy nas szczególna więź, odkąd szarpnął za mój płaszcz tamtego dnia, gdy zginął tata.

Stosunki z mamą się nie zmieniły. Próbuje ze mną rozmawiać, ale nie jestem gotowa, więc ostrożnie unikam pewnych tematów. Tak po prawdzie, za nic jej nie winię. To tata uznał, że trzeba zataić tożsamość mojej prawdziwej matki. Jedynym błędem mamy było to, że nie potrafiła się zmusić do kochania mnie czy nawet udawania, że mnie kocha, gdy potrzebowałam jej w dzieciństwie. Nie mam prawa jej winić, nie po tym, jak mój własny ojciec zdradził ją, a ona mu wybaczyła. Po prostu potrzebuję czasu, by te sprawy się we mnie ułożyły.

Ostatniego dnia pożyczam od cici płótna i farby olejne i idę nad rzekę. Mijam majestatyczny ogród, okolony dębami, kasztanami, świerkami i wiązami. Wśród gałęzi miga dzięcioł zielony, a w koronach drzew i w krzewach tańczą wróble i sójki. Ptaki dają zapierający dech w piersiach koncert.

Na samym końcu ogrodu stoję jak wryta, tuż przy wejściu na polną drogę. Jadą nią trójkołowce, obładowane żołnierzami. Rozpoznaję przystojniaka siedzącego w przyczepie pierwszego motocykla. To niemiecki kapitan, od którego ciocia kazała mi się trzymać jak najdalej. Mówiła, że nie należy mu nawet patrzeć w oczy, bo zdarzało się, że wybuchał gniewem z byle powodu i mordował zwykłych ludzi bez pardonu. Nieustannie tropi żołnierzy i cywili, którzy dołączają do partyzantów w ich leśnych kryjówkach, by walczyć dalej w szeregach Armii Krajowej.

Patrzę w ziemię, czekając, aż motocykle przejadą. Jak to możliwe, że ktoś tak piękny – wysoki, ciemnowłosy, przystojny – jest takim sadystą? Tata miał rację, że nie należy oceniać książki po okładce.

Przechodzę na drugą stronę drogi i zbiegam w dół przez rozzielenione pola ziemniaków, w kierunku łąki, na której chłopcy koszą siano. Macham do nich i znikam w małym lasku pełnym wierzb, topoli i pobielających kalin. Następnie wędruję przez porośniętą trzciną i kwieciami przecinkę, pełną latających ważek, by dotrzeć do malutkiej, samotnej plaży tuż nad Narwią. W wodzie splukuję pajęczynę z rąk. Rozkładając na ziemi koc, zastanawiam się, jakież to sekretne znaczenie mogą mieć ważki. Pewnie to, że je napotkałam, oznacza, że powinnam zapomnieć o tym, co mi ciąży i nie pozwala iść naprzód. Czy to kolejny znak od taty? Czy chce, żebym zapomniała o bólu i porozmawiała z mamą przed wyjazdem?

Dzień jest słoneczny, więc kąpię się w rzece, a potem zabieram za malowanie. Nozdrza drażni zapach ryb i rozgniecionego mchu, tak dobrze znany z wakacyjnych pobytów w majątku cici. Pragnę uchwycić naturalne piękno rzeki oświetlonej słonecznym złotem, ale idzie mi to mizernie.

Po paru godzinach nagły hałas za plecami przywołuje mnie do rzeczywistości. Nad brzegiem zatrzymuje się grupa żołnierzy na koniach. Jeden z nich schodzi z karego ogiera i zbliża się do mnie. To ten kapitan. Adrenalina rozlewa się po całym ciele, a w głowie dźwięczą słowa ciotki: „Trzymaj się od niego jak najdalej”.

– Co tu robisz? – wyszczekuje ostro po niemiecku.

Odpowiadam z trudem przez napięte gardło. W jego oczach pobłyskuje irytacja i zniecierpliwienie.

– Nie wiesz, że już godzina policyjna?

Nagle sztywnieję.

– Najmocniej przepraszam. Straciłam poczucie czasu, pracując nad obrazem.

Wstaję raptownie i sięgam po przybory, ale on zatrzymuje mnie głosem, w którym pobrzmiwa groźba.

– Siadaj. Nie skończyłem z tobą – mówi bez cienia humoru.

Przełykam nerwowo ślinę i posłusznie wykonuję rozkaz, rozważając w myślach możliwe zakończenia tej sytuacji. W takich chwilach chciałabym być jak Anna z tą jej aktorską swobodą. Muszę pokazać temu człowiekowi, że jestem pewna swego i nie mam się czego obawiać. Muszę z nim flirtować, jak z tamtymi żołnierzami na posterunkach. Ale tym razem nie jest tak łatwo. Podejrzliwość i nerwowość tego człowieka mówią mi, że lepiej z nim nie pogrywać. „Trzymaj się od niego jak najdalej”. Czemu nie posłuchałam cioci i pozwoliłam sobie na taką nieostrożność? Jak mogłam nie zauważyć, że minęło tyle czasu? Znowu przyjdzie mi zapłacić za własną lekkomyślność.

Kapitan rozkazuje żołnierzom, by zajęli się przeszukiwaniem lasu, a sam przysiadł obok mnie na kocu. Patrzy chwilę na mnie, po czym zwraca uwagę na obraz.

– Musisz stonować te kolory.

Podnosi pędzel i poprawia moją pracę przez kilka minut. Tymczasem wokół trwa napięta cisza.

– O, tak.

Znajduje dokładnie ten odcień żółci, którego szukałam. Mam ściśnięty żołądek, ale zdaję sobie sprawę, że muszę go pochwalić, jeśli liczę na to, że mnie puści.

– Tak jest doskonale! Pan także maluje?

Staram się mówić swobodnie, choć w środku cała się trzęsę. Kapitan się uśmiecha. Czy ktoś o tak łagodnej i pewnej twarzy mógłby być zdolny do bezdusznego zabójstwa? Może ciocia Krysia wskazała mi niewłaściwą osobę. Ale kogo ja próbuję oszukać: w głębi wciąż czuję, że coś się zaraz wydarzy.

– Nie maluję od dawna – odpowiada i zwraca się do mnie profilem. – Czy ja cię gdzieś nie widziałem?

– Przyjechałam na kilka dni. Z Warszawy.

– Co tam robisz? – pyta, a jego twarz znowu przybiera podejrzliwy wyraz.

– Pracuję w szwalni – recytuję neutralnym tonem. – Powinnam już iść, ściemnia się.

Kapitan kiwa głową.

– W lesie roi się od bandytów – mówi i patrzy na mnie znacząco. – Zauważyłaś coś podejrzanego? Sporo płacimy za każdą informację, która może nam pomóc.

Kręcę głową. Dobrze wiem, że ciocia i wujek pod osłoną nocy przekazują jedzenie partyzantom z pobliskich lasów.

– No cóż, każdy, kto złamie godzinę policyjną, musi zostać ukarany – oświadcza z nieprzyjemnym uśmiechem. – O ile nie znajdzie przekonujących argumentów, oczywiście.

Jego spojrzenie zatrzymuje się na moich ustach. Moje serce i umysł szaleją. Jeśli spróbuję uciec, zabije mnie. Jeśli mu odmówię, zamknie mnie za złamanie zasad godziny policyjnej. Takie przestępstwo jest karane zesłaniem do obozu pracy, a czasem nawet śmiercią. Potrzeba przetrwania narasta, odbierając wolę ucieczki. On chwyta mnie lewą ręką za kark, prawą zasłania usta. Przechodzi mnie zimny dreszcz, żołądek odmawia posłuszeństwa. Gdy Niemiec nachyla się, by zamknąć mi usta pocałunkiem, czuję tylko obrzydzenie do tego zbrodniarza i do siebie, że pozwoliłam mu się pocałować, żeby przetrwać.

Las rozbrzmiewa nagle odgłosami wystrzałów. Kapitan zrywa się na równe nogi.

– Wrócimy do tego później – mówi z szyderczym uśmiechem, oglądając mnie od stóp do głów, po czym odwraca się i znika między drzewami.

Każdy ułamek mojego ciała wypełnia teraz nienawiść. Prędzej zginę, niż pozwolę mu się dotknąć. Zbieram swoje rzeczy i wracam do domu inną drogą, by się na niego nie natknąć. Dobrze znam tę okolicę z dziecięcych lat. Nie pierwszy raz bawię się tu w chowanego.

Następnego dnia wstaję z samego rana. Pakuję plecak po cichu, by nie zbudzić mamy ani Kubusia. Pożegnaliśmy się wczoraj – śpimy razem, na dwóch wąskich łóżkach. Całuję śliczną buzię malca.

– Będę za tobą tęsknić jak nie wiem co – szepczę.

Potem całuję mamę w czoło.

– Bądź zdrowa, mamó.

Przemykam przez ogarnięty półmrokiem ogród, kierując się na wschód, w stronę Białegostoku, do dworca kolejowego. Stosując się do instrukcji od Witka, zatrzymuję się na krańcu brzozowego lasu, trzy kilometry od dworku. By nie dać się wypatrzeć z drogi, toruję szlak przez wysoką trawę i przystaję pod drzewem. Serce wali mi jak młotem. Ta cisza jest wyjątkowo trudna do zniesienia w takiej ciemności.

– Boisz się rudego lisa? – mruczy cicho głos z mroku.

Cała sztywnieję.

– Jestem słowik, co się zgubił wśród brzoź – odpowiadam, recytując wyuczone hasło.

– Chodź za mną.

Rozluźniam się powoli, goniąc za masywnym, barczystym mężczyzną, który prowadzi mnie w głąb ciemnego lasu. Wkrótce napotykamy kolejnego partyzanta. Siedzi przy ognisku zwrócony do nas tyłem.

– Jest kurierka z Warszawy – mówi dryblas, po czym znika gdzieś za mną.

Ten drugi podnosi się i odwraca do mnie. Światło ognia na moment rozjaśnia jego twarz. Serce mało nie wyrywa mi się z piersi.

– Mateusz...

Nie mogę w to uwierzyć: stoi przede mną mój brat.

Mateusz obejmuje mnie mocno.

– Siostrzyczka! Nie wiedziałem, że przyślą mi ciebie – mówi z troską w głosie.

– To naprawdę ty? – pytam, nie chcąc go puścić.

Gdy siedzimy potem przy ognisku, brat przedstawia mi Tomasza, który zaraz rusza na patrol. Jego taktowne wyjście daje nam kilka minut dla siebie. Chciałabym opowiedzieć Mateuszowi o wszystkim, ale mamy mało czasu. Patrzę w jego oczy.

– Słyszałeś o tacie?

– Tak. Ciocia Krysia mi powiedziała.

Jego brodata twarz poważnieje. Nie widziałam go jeszcze tak wychudzonego.

– Prosiłem, żeby ci o mnie nie mówiła dla twojego bezpieczeństwa.

– Jest tu mama i taki chłopak, którym się zajęłyśmy... – mówię, po czym odchrząkuję. – Nie chciałam przyjeżdżać tu z nimi, ale ciocia uparła się, że tu będzie bezpieczniej.

– Miała rację. Póki wujek Mirek jest potrzebny Niemcom do zarządzania majątkiem, zostawią ich w spokoju.

Grzebie długim kijem w ognisku.

– Poza tym lada dzień zaczną stąd wiać przed Sowietami – oznajmia z pyszałkowatym uśmiechem. – Lepiej zostań tu, bo do Warszawy im dalej.

– Muszę wrócić – mówię, po czym wzdycham. – Mam nadzieję, że nie mylisz się co do sytuacji tutaj. Wystarczy mi poczucia winy za śmierć taty, nie zniosłabym, gdybym jeszcze ich miała mieć na sumieniu.

– Nonsens, to nie była twoja wina – mówi, odrzucając kij. – To mnie szukali. Po ostatniej akcji, kiedy zabiłem tego niemieckiego bandytę, który likwidował getto, Witek zdecydował, że lepiej będzie, jeśli zniknę. Ale to wcale nie pomogło.

– Gdybym nie zachowała się tak lekkomyślnie i nie wylała kawy na tego przekłętego Niemca, gdybym tamtego dnia nie przyprowadziła ze sobą tego chłopca... – mówię przez ściśnięte gardło. – Z początku myślałam, że przyszedł po mnie, bo dowiedzieli się, że jestem w konspiracji, ale wtedy zapytał o ciebie. Tata nie miał wyjścia.

Przytulam twarz do ramienia Mateusza, by ukryć łzy. Wzdycha.

– Skończyłoby się tak samo, gdybyś tej kawy nie wylała. Jesteś człowiekiem, ludzka rzecz błędzić. Nie udęczaj się, daj sobie spokój. Pomogłaś chłopcu, bo tak trzeba. Tata tak wychował i ciebie, i mnie.

Jego słowa znaczą dla mnie tak wiele. Koją zranioną duszę i ból, który czuję w piersi. Może ma rację i to, co zrobiłam, nie miało znaczenia. Odkąd tamten bydlak wszedł do naszego domu, widziałam w jego oczach, że jest zdolny do najgorszego.

– Chciałabym po prostu, by tata dalej żył. Tęsknię za nim. To, że czuję się winna, jeszcze pogarsza sprawę.

Milknę na chwilę, by pozbierać myśli.

– Wiesz, prawie zabiłam tego Niemca, gdy spotkałam go w parku Żeromskiego – mówię, po czym wyjaśniam pokrótce okoliczności tego spotkania. – Ale usłyszałam w głowie głos taty, proszącego mnie, bym nie odpłacała pięknym za nadobne, nie upodabniała się do tych potworów. I kiedy się powstrzymałam, poczułam taką lekkość, jakby spadł mi z serca jakiś ciężar. Czułam wtedy obecność taty, jakby siedział tuż obok.

Mateusz ociera moje łzy dłonią.

– Dobrze zrobiłaś – mówi i wzdycha. – Tak czy owak, jeśli miałabyś kogoś winić, to prędzej mnie.

Jego głos jest tak smutny, że pęka mi serce. Dotykam jego policzka i uśmiecham się.

– Tata był z ciebie dumny i z tego, że walczysz o naszą wolność.

– Wiem i dlatego nie przestanę, póki nie wygramy.

Obejmuje mnie mocno.

– Tak za tobą tęskniłem, siostrzyczko.

Powinnam zaraz ruszać w drogę, ale zwlekam, by móc dłużej zostać z Mateuszem i dalej mu się zwierzać.

– Mama powiedziała mi o mojej prawdziwej matce – wyrzucam z siebie.

Odsuwa mnie i przez chwilę patrzy na mnie z otwartymi ustami.

– Tata kazał mi obiecać, że nic ci nie powiem – mówi. W jego głosie słyszę poczucie winy.

– To było niesprawiedliwe – odpowiadam drżącym głosem. – Teraz przynajmniej lepiej rozumiem mamę.

Dotyka mego ramienia.

– Pamiętam, jak ci zazdrościłem, kiedy byłaś mała, bo mama wozila cię w wózku na spacer, śpiewała ci, trzymała na rękach, całowała... – zawiesza głos i patrzy na mnie poważnie. – Dopiero kiedy miałaś naście lat, coś się między wami popsło. Może zaczęłaś jej za bardzo przypominać tę, która cię urodziła.

Kładę dłoń na piersi.

– Czyli mama chciała mnie kochać?

Mateusz odpowiada krótkim śmiechem.

– Oczywiście, że cię kocha, głuptasie. Po prostu nie było łatwo się z tobą dogadać, jak podrosłaś. Tylko tata wiedział, jak przełamać twój upór.

– Chciałabym ci wierzyć.

Słyszę zbliżające się kroki.

– Byłeś zły na tatę? – pytam ściszone głosem. – Za to, że zostawił ciebie i mamę?

– Daleki jestem od osądzania go. Wszystko bym oddał, by móc znów usłyszeć jego głos, jego irytujący śmiech. Za krótkie to życie, siostrzyczko, i zbyt ulotne.

– Zobaczysz się z mamą? – pytam rozemocjonowana.

– Oczywiście. Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałem cię zapytać.

Uśmiecha się.

– Co u Anny?

Podróż pociągiem z Białegostoku do Warszawy ciągnie się w nieskończoność. Na każdym przystanku dosiadają się kolejne osoby. Wiele z nich przemycą w torbach to i owo – pod warstwami ubrań kryją cukier, mąkę czy kiełbasę, które sprzedadzą potem na czarnym rynku. Nawet w najgorętszy dzień ubierają się na cebulkę, by móc jak najwięcej ukryć. Jeśli polscy konduktorzy wiedzą, że na stacjach w Warszawie czeka Gestapo, zatrzymują pociąg wcześniej, by wypuścić ludzi. Dziś nie ma takiej potrzeby, więc dojeżdżamy do końcowej stacji bez przeszkód. Przedzieram się przez tłum i przystaję pod zegarem stojącym przed dworcem. Starczy mi czasu, by wpaść do Witka, zanim wrócę do domu. Właśnie ruszam w drogę, gdy moją uwagę odwracają głośne pokrzykiwania przerywane szczekaniem psów. Podchodzi do mnie mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze.

– *Halt!* – mówi szorstko.

Obok niego wyrasta żołnierz i bierze mnie na muszkę. Przechodzą mnie ciarki. Widzę, że to samo przytrafiło się paru innym osobom, więc nie polowali na mnie. Tyle że w odróżnieniu od innych ja nie szmugluję żywności. W mojej walizce tkwi tuzin pistoletów schowanych wśród ubrań. Poprzednio jako kurierka przewoziłam tylko bibułę i udawało mi się bez większych problemów przebrnąć przez patrole. Trudno uwierzyć, że ta stacja jeszcze chwilę temu wyglądała tak spokojnie. Co za pech.

– Dokumenty – mówi mężczyzna w czarnym garniturze. Ma blade oczy, a jego twarz zdobi długa blizna ciągnąca się przez prawy policzek.

Mam nogi jak z waty, gdy podaję mu kenkartę. Z największym trudem powstrzymuję drżenie rąk.

– Jaki był cel waszej podróży? – pyta, nie patrząc na mnie.

– Odwiedzałam rodzinę.

Kiwa głową.

– Co macie w walizce?

– Ubrania i kosmetyki.

Jestem cała zeszywniała. Błagam, nie sprawdzaj mojego bagażu!

– Widzę, że pracujecie w naszej szwalni – stwierdza, nie oczekując odpowiedzi. – Papiery są w porządku.

Właśnie ma mi je oddać, gdy u jego boku pojawia się kolejny mężczyzna w czarnym garniturze. Staję jak wryta. To Alfred Kraus.

Poznałam Alfreda w gimnazjum. Jego ojciec pracował w konsulacie. Sprowadził chłopca z Berlina. Każda dziewczyna za nim szalała. Był wysoki i przystojny, no i świetnie grał w piłkę. Kiedy miałam siedemnaście lat, zaprosił mnie na randkę, a że mi też się podobał, zgodziłam się bez wahania. Ale któregoś dnia po szkole zobaczyłam, jak pluje na Samuela, żydowskiego chłopaka z naszej szkoły. Popychał go i wyzywał od brudasów. Tego dnia wystawiłam go do wiatru. Potem dowiedziałam się, że Alfred zapisał się do nazistowskiej organizacji młodzieżowej.

– Wanda Odwaga – mówi Alfred z sarkastycznym uśmiechem. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Ta pani nazywa się Irena Małecka – wtrąca ten drugi, podając moje papiery Alfredowi.

– A to ciekawe – odpowiada Alfred, wwiercając we mnie swoje błękitne spojrzenie. Przeraza mnie to, ile w nim nienawiści. – Wygląda kubek w kubek jak taka polska zdzira, z którą chodziłem do szkoły.

Ogarnia mnie obezwładniający strach, ale staram się patrzeć na niego, jakbym widziała go pierwszy raz w życiu.

– Pan mnie z kimś myli, nazywam się Irena Małecka.

Sporo schudłam, odkąd ostatnio mnie widział. Może uwierzy, że to jednak nie ja.

Alfred dalej wpatruje się w moje oczy.

– Daj spokój, Wanda, jak mógłbym cię zapomnieć? – Jego spojrzenie zsuwa się w dół, aż napotyka moją walizkę. – Masz może trochę bimbru taty?

Uśmiecha się złośliwie. Sztywnieję. Tata zaczął pędzić bimber dopiero parę lat temu, na długo po tym jak ostatnio widziałam Alfreda. Skąd on o tym wie? Czy tamta wizyta Gestapo to jego sprawka?

– Przeszukać jej walizkę – mówi zniecierpliwionym tonem ten z blizną do żołnierza.

Ogarnia mnie panika, która natychmiast przeradza się we wszechogarniającą bezsilność. Żołnierz rozwija moją pizamę, upuszczając na ziemię pierwszy pistolet. Alfred uśmiecha się szeroko i każe mnie odprowadzić.

TRZYNASTY

Finn

Zelazna furtka skrzypi, gdy ją otwieram. Idę przez pogrążony w ciemnościach ogródek w stronę wejścia do stylowej willi, którą zajmuję. Zatrzymuję się na chwilę, by wsłuchać się w ciszę i odetchnąć rześkim powietrzem nasyconym wonią maciejki, której różowo-białe płatki otwierają się nocą. Wokół panuje taki spokój, że zapominam, co tu w ogóle robię.

Wciąż myślę o śnie, który miałem ostatniej nocy. Wracam do naszego domu w Berlinie, a tam, na podłodze w kuchni, leżą zwłoki matki z nożem wbitym głęboko w serce. Nad nią stoi Stefan i śmieje się w głos, po czym wyciąga z ciała krwawe ostrze i wskazuje nim na mnie. „Teraz twoja kolej”, mówi z mordem w oczach. Wtedy się obudziłem, w kompletnie przepeconej koszuli. Ten sen wydawał się tak prawdziwy.

Przełykam gęstą ślinę i robi mi się gorąco.

– Do diabła z tobą, Stefan – klnę donośnie, jakbym chciał, by brat usłyszał mnie w Londynie. Należy mu się kara za mordowanie tylu niewinnych ludzi.

– Keller – słyszę cichy głos Witka dobiegający z ciemności na werandzie. Do licha. Unoszę dłoń, by zamilknąć, rozglądam się i idę do niego. Siadam obok.

– Co jest takie ważne, że nie może czekać do jutra?

– Gestapo przechwyciło kuriera z Białegostoku – mówi strapionym głosem. – Wiózł walizkę wypchaną gnatami.

Czuję, jak wzbiera we mnie adrenalina.

– Kiedy?

– Jakieś pięć godzin temu. Jacek widział, jak ją zabierali.

Milknie na chwilę.

– Z początku wyglądało, że ją puszcza, ale coś tam się wydarzyło, jak podszedł do niej kolejny facet w czarnym.

– Ktoś ją wsypał?

Witek kręci głową i wzdycha.

– Zwykła łapanka. Złe miejsce, zły czas.

– Wie o mnie?

– Nie – odpowiada. – Ale to najbliższa przyjaciółka Anny, dla mnie jest jak siostra. Znam ją od małego.

Głos mu drży.

– No i stało się to teraz, kiedy mamy pełne ręce roboty z powstaniem. Jedna z najlepszych łączniczek. Bez niej będzie nam o wiele trudniej.

W ciemności nie widzę jego oczu, ale czuję, że jest naprawdę wzburzony. Czy mi się wydawało, czy nazwał ją przyjaciółką Anny?

– Jak się nazywa?

– Wanda.

W gardle mam gulę.

– To pewne?

– Tak. Zrobię wszystko, by ją uratować, ale szanse na jej odbicie są żadne. Zamknęli ją jako polityczną, więc jest w izolatce.

Wyciąga coś z kieszeni.

– Ja ją znam, Keller. Nikogo nie wyda, a to oznacza, że urzędzą jej prawdziwe piekło.

Wciska mi w dłoń mały przedmiot.

– Cyjanek – szepcze, po czym odchrząkuje. – Musisz jej to przemycić. Będzie tego potrzebowała.

– Nie mogę – mówię, zaciskając pięści. – Nie zostawię jej na pastwę tych bydlaków.

Witek puszcza to mimo uszu.

– Najpewniej rano przywiozą ją na Szucha. W soboty Kasia sprzedaje tam czekoladę.

Milczy przez chwilę.

– Jaki dziś dzień?

– Piątek – odpowiadam i przełykam nerwowo ślinę. Jak na złość, okoliczności układają się idealnie tak, bym mógł jej dostarczyć kapsułkę. Wiem jednak, że to nie jest właściwa droga. Serce podpowiada mi, że muszę zrobić wszystko, by ją uratować.

– To się dobrze składa. Kasia zna Wandę, więc dowie się, gdzie ją trzymają, i przekaże tę informację tobie.

– Dla niej musimy zrobić coś więcej – mówię przez zaciśnięte zęby.

– Chciałbym, by było to możliwe – mówi łamiącym się głosem.

Po rozmowie z Witkiem wchodzę do domu i idę prosto do sypialni na piętrze. Myśli kłębią mi się w głowie. Muszę coś wymyślić. Nie mogę jej zostawić w rękach tych drani. Im dłużej u nich będzie, tym mniejsza szansa na ratunek.

W nocy nie śpię, ale rano mam gotowy plan. No, może jest to wyjątkowo śmiały plan, który nie powiedzie się bez olbrzymiej dawki szczęścia, ale uratuję tę dziewczynę o oczach, co

miotają pioruny, tę, która mnie tak bardzo nienawidzi. Dziewczynę, której dotyk przeszywa mnie na wylot. Jest w niej coś, co przyciąga mnie jak magnes. A może po prostu lubię wyzwania i ona wydaje się warta tego, by o nią walczyć? Nawet jeśli przyjdzie mi za to zapłacić najwyższą cenę, spróbuję ocalić Wandę.

CZTERNASTY

Wanda

Noc spędzam na Pawiaku, w gestapowskim areszcie przy Dzielnej. Wrzucili mnie do wąskiej izolatki z drucianą pryczą i plugawym siennikiem pełnym pluskiew i pcheł. Gdy poczułam, jak coś pełźnie mi po skórze, skuliłam się w kącie tej ciemnej i brudnej celi. Powietrze jest tu gęste; małe okienko zabite gwoździami. Silny odór moczu drażni żołądek.

A jednak to nie ciemność czy brud tej celi tak mnie przerażają, lecz myśl o tym, co czeka mnie rano. Wolę szczeznąć w tym zaduchu, niż dostać się w krwawe łapy Gestapo, pewnie w postaci Alfreda Krausa. Potrzebny mi cyjanek, natychmiastowy i bezbolesny koniec. Nie mam go, a lęk we mnie narasta. Zasłaniam twarz drżącymi rękami, próbując uspokoić oddech.

Mimo wszystko tli się we mnie naiwna nadzieja na przetrwanie. Czy to oznaka głupoty? Po głowie kręcą się słowa Anny: „Trwa wojna, Wando. Nie możesz się nad sobą użalać. Musisz żyć. W czasie walki żołnierzowi nie wolno płakać. Musi przeć naprzód. Musi walczyć”. Zamykam oczy. Będę walczyć. Proszę Boga, by dał mi siłę, by nie pozwolił im mnie złamać. Niejedno słyszałam o brutalnych przesłuchaniach przy Szucha. Boli mnie serce na myśl o tym, że będą się nade mną znęcać, sięgając po rozmaite narzędzia: bicze i kije, ogień i wodę.

Przywołuję z pamięci obraz zmalretowanego ciała bliskiego przyjaciela, Romana, który spędził tu kilka dni pod czułą opieką Gestapo. Kiedy naszym chłopcom udało się go w końcu uwolnić – a zrobili to, napadając z bronią na ciężarówkę wiozącą go z Szucha na Pawiak – był w tak fatalnym stanie, że zmarł kilka dni później. Nikogo nie wydał, ale za wierność zapłacił najwyższą cenę. Ogromnie chciałabym wykazać się taką siłą, ale czy jestem w stanie? Nie, nie dam rady – jestem o wiele za słaba.

Och, mamó, ile bym dała, by móc z tobą jeszcze porozmawiać, by móc ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham. Wyjazd bez tej rozmowy, bez uściskania Kubusia był błędem.

Rankiem dwóch strażników zabiera mnie do siedziby Gestapo w alei Szucha. Prowadzą mnie labiryntem korytarzy na parterze do małego pokoiku z biurkiem zavalonym teczkami pełnymi papierów, czarnym telefonem i lampką. Esesman usadza mnie na krześle i wychodzi.

Przy biurku widzę stół z maszyną do pisania. Będą zapisywali każde moje słowo. Spoglądam na wyblakły portret Hitlera, który patrzy na mnie karcąco ze ściany. Drepczę do małego okienka bez zasłonki z widokiem na puste podwórze i szarpię za klamkę. Ani drgnie.

Naraz słyszę śmiechy w korytarzu, więc pędem wracam na krzesło. Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi Alfred Kraus w towarzystwie wysokiej brunetki. Zajęty rozmową, nie zwraca na mnie uwagi. Obchodzi biurko i siada w wysokim drewnianym fotelu. Jego towarzysza zajmuje miejsce przy maszynie. Za nimi wchodzi barczysty żołnierz w mundurze SS i z biczem w ręce. Eskortuje mężczyznę o czarnych kręconych włosach, w pogniecionych i podartych ubraniach. Ten drugi ma podkrążone oczy i zastygłą krew na twarzy. Żołnierz salutuje Alfredowi i przepycha ofiarę przez drzwi po prawej, do sąsiedniego pokoju. Drzwi zostawia otwarte.

Alfred przegląda teczkę leżącą na biurku, podczas gdy jego (jak się domyślam) sekretarka wsuwa kartkę papieru do maszyny. Blond czupryna gestapowca jest ścięta na krótko. Wciąż jest muskularny, jak kiedyś. Odrzuca teczkę na bok, podnosi na mnie bładniebieskie oczy i uśmiecha się.

– Zawsze cię podziwiałem, Wando – mówi po niemiecku. – Byłaś najbardziej inteligentną dziewczyną w naszej szkole.

Jeszcze przez chwilę się uśmiecha, po czym wstaje i podchodzi do mnie.

– Uwielbiałaś poznawać nowe języki i dobrze ci to szło. Ile ich znasz? Niemiecki, rosyjski, angielski, no i jidysz, prawda?

Nachyla się i dotyka moich ust dłonią.

– Ależ się w tobie zadurzyłem, blondyneczko o oszałamiająco pięknych oczach. Wciąż pamiętam nasz pierwszy pocałunek...

Milknie i przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Wyobrażałem sobie, że wezmę cię za żonę, lecz ty któregoś dnia mnie wystawiłaś – ciągnie cichym, ale pełnym napięcia głosem.

Przełykam nerwowo ślinę i zaciskam usta, by powstrzymać się przed napluciem mu w twarz. Chciałabym być teraz gdzieś indziej, daleko od tej chytrej kreatury, która kiedyś pozowała na słodkiego chłopaka, a teraz będzie mnie torturować, gdy stanie się jasne, że nie zamierzam współpracować.

Z drugiego pokoju dochodzą dźwięki uderzeń i krzyków. Ogarnia mnie strach.

Alfred robi krok w tył.

– Chcę cię ocalić, Wando.

Macha ręką w stronę drugiego pokoju.

– Chcę cię uchronić przed takim cierpieniem. Jeśli ten człowiek nie zacznie śpiewać, zdepczą mu genitalia, wybiją zęby i wyrwą gałki oczne.

Z pokoju obok dobiega dźwięk krótkich pytań i cichych odpowiedzi, a potem trzask bicza i płacz mężczyzny. Chwytam boki krzesła, z trudem łapiąc oddech. Alfred rozsiada się za biurkiem z poważną miną.

– Pozwól mi cię uratować, Wando. Podaj mi adres, pod który miałaś dostarczyć broń, nazwiska i miejsca spotkań, no i przede wszystkim powiedz, gdzie jest twój brat. Jeśli to zrobisz, obiecuję, że puszcze cię wolno.

Biorę głęboki wdech i patrzę mu w oczy, nawet nie mrugając.

– Co się z tobą stało, Alfredzie? Co stało się z chłopcem o gołębicim sercu, który marzył kiedyś o budowaniu mostów? Chłopcem, któremu marzyły się ład i pokój? Tego dnia, kiedy zwyzywałeś biednego Samuela, wybrałeś bycie potworem. Tego dnia zniszczyłeś wyobrażenie, jakie miałam o tobie.

Patrzę na niego błagalnie.

– Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz postąpić właściwie.

Robi złośliwą minę.

– Z ciebie zawsze był naiwny ptaszek, Wando, i jak widzę, to się nic a nic nie zmieniło.

Czuję, jak wszystkie nerwy się we mnie skręcają.

– Podaj mi tych kilka szczegółów, a będziesz wolna.

Jego oczy błyszczą gniewem. Słyszę chlup wody w drugim pokoju. Już nikt tam nie jęczy ani nie krzyczy z bólu. Bity pewnie zemdłał. Łzy napływają mi do oczu. Unikam spojrzenia Alfreda.

Odwraca się do sekretarki i mówi pozbawionym emocji głosem:

– Helga, zaprowadź ją do pokoju obok. Najwyraźniej potrzeba jej zachęty.

Kobieta uśmiecha się z satysfakcją, po czym wstaje.

PIĘTNASTY

Finn

Rano następnego dnia, po spotkaniu z Veichtem o dziesiątej, wracam do swojego biura (troje drzwi dalej), ciesząc się z chwili samotnej zadumy. No, nie do końca samotnej – Manfred Lange, żołnierz, którego spotkałem w Kampinosie na początku tej misji, siedzi po mojej prawej stronie. Intensywnie stuka na maszynie. Zrobiłem z niego przybocznego i sekretarza, oczywiście za aprobatą Veichta. Przyszły teść Stefana przyznał, że jego zięciowi należy się dodatkowa ochrona przed polskimi bandytami, skoro Gerda postanowiła związać z nim swą przyszłość. Nie stałoby się to, gdybym nie spotkał Manfreda drugi raz. Wyznaczono go do patrolowania ulic na Mokotowie, w mojej dzielnicy. Gdy mnie zobaczył, oczy mu się zwęziły i rozejrzał się dookoła. Wezwałem go na stronę.

– Pamiętam cię – wyszeptalem, dziobiąc go palcem w pierś. – Spotkałem cię pod przykrywką w Kampinosie.

Spojrzałem na niego znacząco, jakbym miał mu coś do zarzucenia. Zmiękł zaskoczony i przełknął nerwowo ślinę. Czuję, że bije się z myślami. Wciąż wskazywałem na niego palcem.

– Słabo się wtedy spisałeś. Potrzebujesz szkolenia. Zgłoś się jutro, z samego rana, do mojego biura przy Szucha. *Hauptsturmführer* SS Stefan Keller. Drugie piętro.

W jego spojrzeniu nie było już najmniejszych wątpliwości. Zasalutował i odwrócił się. Zanim zdążył odejść, dodałem:

– Żeby było jasne. Okoliczności, w których mnie spotkałeś, muszą pozostać tajemnicą. Ja nie ufam nikomu i tobie polecam to samo.

W jego przypadku poszedłem za głosem instynktu, bo wydawało mi się, że nie dołączył do nazistów z przyczyn ideologicznych. Liczyłem, że któregoś dnia będę mógł obdarzyć go zaufaniem. Oczywiście zawsze istniało ryzyko, że zignoruje moje polecenia i pójdzie pomówić o sprawie z niewłaściwymi osobami. Ale Manfred zdał ten egzamin – następnego dnia był w moim biurze. Podałem go jeszcze kilkunastu podobnym próbom, dając mu jak najwięcej szans, by zdradził zaufanie; z każdej wyszedł obronną ręką.

Od tamtego czasu ten szesnastolatek z twarzą porytą trądzikiem stał się moim wiernym towarzyszem, a ja poprzysiągłem sobie, że będę go chronił. Okazuje się, że jego ojciec był w Wehrmachcie i zginął na froncie, a matka nie przeżyła straty. Postawiony pod ścianą, pod koniec czterdziestego trzeciego zgłosił się na ochotnika do hitlerowskiej armii, ale nie czuł się dobrze w mundurze, czemu dał wyraz podczas naszego pierwszego spotkania. Widać to było w jego oczach, ale zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później jego sumienie ucichnie, a on sam zacznie po prostu wykonywać rozkazy. Na razie jednak Manfred wciąż miał się między tym, w co wierzył sam, a tym, w co kazano mu wierzyć. Uznałem, że moją rolą jest mu pomóc.

Odgrywałem przed nim Stefana, póki nie poznałem lepiej jego łagodnej, artystycznej natury. Marzy mu się kariera w muzyce – uwielbia grać na wiolonczeli. Kiedy nabrał do mnie większego zaufania, ujawniłem przed nim swoją misję. Okazuje się, że chłopak idealnie mnie w niej uzupełnia i wykazuje się wielką ochotą do działania. Po polsku nie mówi, ale mimo to sprawdza się jako mój posłaniec w kontaktach z podziemiem. Spadł nam jak z nieba, bo Jacek nie wejdzie już tak łatwo tam, gdzie wpuszczą umundurowanego Manfreda. Nie przeczę, że złamałem wszystkie zasady szpiegowskie, rekrutując tego chłopca. Nie powinienem dopuszczać go tak blisko, ale od samego początku jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że jemu mogę ufać bardziej niż komukolwiek innemu. Póki co głos ma rację.

Stefan zostawił w biurze paskudny bałagan. Trudno mi było uwierzyć, że mógł skutecznie działać w takich warunkach. Żeby się nie zdradzić, zostawiłem wszystko tak, jak było. Lepiej było cierpieć w nieładzie, niż wystawiać się na podejrzenia.

– Masz odpowiedź? – pytam cicho.

Manfred kiwa głową i wydobywa z kieszeni zmiętą kartkę. Rozwijam ją i czytam: „Zgoda”. Lubię tę Witkową prostotę. Czyli jesteśmy dogadani. Mój plan jest tak szaleńczy, że na samą myśl skacze mi adrenalina. Muszę się uspokoić.

– Elkstein, kierownik Arbeitsamtu, został zamordowany przy ulicy Skaryszewskiej wraz z dwiema osobami polskiego pochodzenia – zaczynam dyktować Manfredowi kolejny raport. Robota trwa godzinę. Po wszystkim patrzę na zegarek. Kwadrans po jedenastej.

– Manfredzie, *Obersturmbannführer* Veicht spodziewa się tego raportu dziś po południu. Wprowadź zmiany, o które prosiłem.

– Tak jest.

Rozlega się pospieszne pukanie do drzwi. Cały sztywnieję.

– Proszę wejść – mówię.

Do pomieszczenia zagląda atrakcyjna blondynka około dwudziestki.

– *Guten Tag*. Czekoladkę? – pyta po niemiecku z silnym akcentem. Ma na sobie czarny kostium z napisem „E. Wedel” na lewej piersi. Witek powiedział mi, że nazywa się Kasia

i pracuje w firmie o tej nazwie – oraz że należy do podziemia. Nawet Niemcom niełatwo dziś o czekoladę, więc dostała zgodę na sprzedaż wewnątrz budynku. Zglądając w zakamarki siedziby Gestapo, zbiera dla podziemia cenne informacje: na przykład numery pomieszczeń, w których rezydują poszczególni oficerowie Gestapo (w tym także mój brat), i ich adresy zamieszkania.

– Tak, proszę wejść. Co może nam pani dziś polecić? – pytam, patrząc z uśmiechem na brązowe pudełko w jej rękach.

– Helga z pokoju 109 lubi cukierki w czekoladzie – mówi, a jej ładna buzia przybiera poważny wyraz. – Inni są zbyt zajęci więźniem.

A zatem Wanda jest w pokoju 109. Czyli przesłuchuje ją ten bydlak Kraus. To utrudnia sprawę, bo z niego jest grubszy sukinsyn. Ale podkocha się w Gerdzie, a to coś, co mogę wykorzystać. Zwracam się do Manfreda, którego policzki robią się pąsowe, gdy patrzy na Kasię, i polecam mu, by wybrał łakocie, sam zaś chwytam słuchawkę i dzwonię do Gerdy, by umówić się z nią w Café Anna o trzynastą. Po wyjściu Kasi wskazuję Manfredowi krzesło, na którym leży tobołek – ubrania, które Zuzanna zawinęła w papier pakowy, jak zwykle się robić w warszawskich pralniach.

– Przyniesiesz mi to za piętnaście minut do pokoju 109. Powiesz, że zapomniałem zabrać pranie – mówię, wpatrując się intensywnie w oczy Manfreda.

– Tak jest – odpowiada. Jego twarz powoli przybiera normalny odcień. – To biuro Krausa, prawda?

– Owszem – mówię i klepię go po ramieniu. – Będzie dobrze. Trzeba się trzymać planu. Wszystko w porządku?

– Tak jest – odpowiada skrzywiony. – Po prostu nienawidzę tego człowieka.

Znajduję Krausa w dobrym humorze. Siedzi za biurkiem, pali papierosa i flirtuje z sekretarką o imieniu Helga. Zajadają się czekoladkami od Kasi. Drzwi do pokoju przesłuchań są szeroko otwarte, więc zanim docieram do biurka, dostrzegam profil Wandy usadzonej okrakiem na krześle. Na jej twarzy jest krew. Stoi przy niej duży mężczyzna z biczem z bawolej skóry i o coś pyta. Wymuszam na sobie uśmiech.

– O, zazdroścę. Widzę, że wy tu świetnie się bawicie, a ja muszę się nudzić u siebie.

Relacje między Krausem a moim bratem były bardzo koleżeńskie, bo sporo czasu spędzili na wspólnych popijawach. Kraus patrzy na mnie i uśmiecha się zza chmury papierosowego dymu.

– Popatrz, kogo nam tu wichry przygnały – mówi jowialnie i unosi pytająco brew. – Myślałem, że o mnie zapomniałeś. Zacząłem nawet podejrzewać, że już mnie nie lubisz, przyjacielu.

Czemu tak mówi? Może jest zawiedziony, że nie chodzę z nim hulać i dupczyć, jak zwykł robić Stefan.

– Daj spokój, wiesz, że za tobą przepadam – odpowiadam, ściskając jego dłoń. – Po prostu byłem zajęty. *Fräulein* Veicht lubi mieć mnie przy sobie.

Puszczam do niego oko. Wybucho śmiechem.

– Ja cię nie winię, sam bym nie odmówił naszej pięknej *Fräulein*. Co u niej słyhać?

– Wszystko dobrze, dziękuję. Widzę się z nią na obiedzie o trzynastej w Café Anna. Obiecałem, że cię przyprowadzę, żebyście mogli pomówić. Przyjdziesz?

Słyszę strzał bicia i skamlenie Wandy i serce roztrzaskuje mi się na kawałeczki. Oczy Krausa się rozjaśniają.

– O tak, jak najbardziej! Wszyscy potrzebujemy trochę oddechu.

Macha ręką w stronę pokoju przesłuchań.

– Znow trafiła nam się uparta suka. Kiedyś umawiałem się z tą zdzirą, więc spróbowałem z niej wydobyć informacje na miękko, ale straszny z niej uparciuch. No nic, jeśli bicz nie podziała, wybijemy jej zęby.

– Spokojnie, Alfredzie. Z nimi jest łatwo. Chyba po prostu brak wam wyczucia.

Uśmiecham się złośliwie. Kolejne chłaśnięcie. Kolejny jęk. Serce boli, ale umysł dalej jest jasny i skoncentrowany. Krausowi kwaśnieje mina.

– Ja ją znam, Stefan. Prędzej umrze, niż się wygada. Więc tak się to musi skończyć.

– I co nam to da? Jak umrze, nie przekaże nam już żadnych informacji, które moglibyśmy wykorzystać.

Macham ręką w kierunku pokoju przesłuchań.

– Do tej roboty potrzebujesz kogoś lepszego.

Kraus wskazuje głową drugi pokój.

– Rolf jest w te klocki najlepszy.

– Założę się, że wyciągnę z niej odpowiedź na każde pytanie.

Kraus się uśmiecha.

– No, muszę przyznać, że ty też byłeś kiedyś niezły. Czemu przestałeś nam pomagać?

– Już ci mówiłem, za mało czasu. Ale co racja, to racja: biczem bym sobie pomachał.

Wymuszam na sobie złośliwy śmiech.

– Dobra, zróbmy tak: dasz mi się pobawić, a tymczasem ty zabawisz Gerdę. Powiesz jej, że niedługo dojadę. Zmuszę tę twoją kurwę do gadania, ale ty dziś stawiasz.

Rozlega się pukanie do drzwi. Manfred uprzejmie informuje mnie o praniu i podaje paczuszkę. Ignoruję go i patrzę na Krausa.

– Zgoda?

– Zgoda. Potrzebna ci moja sekretarka?

– Nie. Niech sobie zrobi przerwę na obiad. Tego gnojka też odeślij – mówię, wskazując gestem pokój przesłuchań. – Mnie wystarczy ten.

Pokazuję na Manfreda, który stanął z wyprężoną piersią i poważną miną. Wrażenie psuje tylko trądzik, który chyba przed chwilą rozdrapał.

Krausowi spieszno do Gerdy. Odsyła sekretarkę i rzeźnika na przerwę.

– Jak skończysz się bawić, wsadź ją do tramwaju. Pobawię się z nią, jak wrócę.

Tramwaj. Piwniczne cele z drewnianymi ławkami, na których więźniowie czekają na przesłuchania. Obrzydliwość.

Gdy wszyscy są już daleko, wkraczamy z Manfredem do pokoju przesłuchań. Została nam godzina do powrotu sekretarki Krausa. Wanda leży bez ruchu na podłodze. Jej blada twarz jest cała we krwi. Poobijane ręce wskazują, że próbowała się chronić przed ciosami. Narasta we mnie gniew. Jednocześnie doskonale wiem, że dopiero z nią zaczęli, więc ucierpiały tylko głowa i ręce.

Czuję, jak buzuje we mnie adrenalina, ale jeszcze nigdy nie myślałem tak trzeźwo. Moją uwagę przykuwa wiadro z wodą, którą wylewa się na więźniów, by ich ocucić; wylewam trochę na twarz Wandy. Gdy otwiera oczy, wysyłam Manfreda do biura Krausa, by zatrzymał ewentualnych interesantów. Pomagam Wandzie usiąść. Głowa ucieka jej do tyłu z bólu, gdy dotyka drżącą ręką twarzy. Zauważa mnie i nagle ogarnia ją przerażenie.

– Nie! Nie! Ja nic nie wiem!

Zamyka mocno oczy, czekając na kolejny cios.

– Wando, posłuchaj! – mówię i czekam, aż otworzy z powrotem oczy. – Chcę cię stąd zabrać, ale musisz mi w tym pomóc. Dasz radę?

– Nie... nie rozumiem.

– Anna mnie wysłała – kłamię bez wahania. Nie wątpię, że lepszego sposobu, by mi zaufała (a przynajmniej chciała ze mną współpracować), po prostu nie ma.

– Anna cię wysłała? – pyta Wanda.

– Tak. Ubiorę cię w czyste ubrania i wyjdziemy stąd razem. Musisz zebrać w sobie dość sił, by pójść ze mną.

Nie czekam na odpowiedź. Zanurzam chustkę w wiadrze i ścieram skrzepłą krew z jej twarzy i karku. Gdy jęczy z bólu, zachęcam ją, by krzyczała; w tym budynku będzie to uznane za dowód dobrze wykonywanej roboty. Robi, jak jej każę. Ubieram ją w elegancką czarną suknię z długimi rękawami, pończochy, czarne pantofle, czarne skórzane rękawiczki i szeroki kapelusz z woalką osłaniającą twarz i kark. Gdy kończymy, wciąż zostaje nam dwadzieścia minut do powrotu Helgi, chyba że postanowi przyjść wcześniej. Zwijam stare ubrania Wandy razem z moją brudną chustką, owijam w papier pakowy i wylewam wodę zmieszaną z krwią na podłogę.

Manfreda wysyłam na spacer po okolicznych korytarzach. Jest sam środek pory obiadowej, ale i tak trzeba zadbać, byśmy spotkali jak najmniej osób. Wraca dziesięć minut później.

– Teraz jest pusto.

– Moja piękna, przyciśnij twarz do mojego ramienia. Będę cię podpierał. Nie powstrzymuj płaczu. Musisz pozostać w tej pozycji, dopóki nie dojdziemy do auta. I broń Boże nie podnoś głowy.

Każę Manfredowi zabrać pakunek z rzeczami Wandy i chwycić ją z drugiej strony. Idziemy labiryntem opustoszałych korytarzy. Gdy jesteśmy już przy głównym wejściu, zatrzymuje nas strażnik.

– *Hauptsturmführer* Keller, czy potrzebujecie pomocy? – pyta, przyglądając się badawczo Wandzie wciśniętej między mnie i Manfreda.

– Nie, wszystko pod kontrolą. Odwiedziła mnie żona przyjaciela zabitego przez polskich bandytów i właśnie przechodzi załamanie nerwowe.

Strażnik patrzy podejrzliwie.

– Jestem tu od rana i nie przypominam sobie tej pani. *Meine Frau*, czy mogłaby pani pokazać mi twarz?

Podnoszę na niego głos.

– Czy chcecie przez to powiedzieć, że bimbacie sobie, zamiast pilnować? Skoro przegapiliście tę damę, niewątpliwie zdolni jesteście przegapić jeszcze niejedno. *Obersturmbannführer* Veicht powinien was chyba oddelegować do mniej wymagających zadań!

Na jego twarzy z początku odmalowuje się zdziwienie, ale po chwili zaczyna się wahać.

– Przepraszam, rzeczywiście musiałem odejść na minutkę lub dwie. Proszę wybaczyć ten błąd.

Salutuje.

– Dobrze. Na przyszłość proszę wykonywać zadania, które wam zlecono.

– Tak jest.

Gdy jesteśmy na zewnątrz, Manfred rusza po mój samochód. Wanda słabnie, więc korzystam z faktu, że mogę przez chwilę stać z nią w jednym miejscu i podpierać jej zwiotczałe ciało. Chwilę później odjeżdżamy w stronę Mokotowa.

Zostawiamy Wandę pod opieką Zuzanny, po czym jedziemy do kawiarni. Na miejscu mówię Annie, że Kraus nie może wyjść z lokalu do rana, bo zacznie sprawdzać, co z Wandą. Kraus to przebiegła szuja, lubi mieć pewność, że wszystko jest pod kontrolą. Anna ma mu dosypać środek nasenny do drinka i zaprowadzić na górę, żeby tam przespał resztę dnia i noc. Gdy wszystko jest już ustalone, idę do Krausa, biorę go za ramię i mówię mu, że nie dałem rady się powstrzymać i dziewczyna zmarła.

– Manfred zawiózł jej zwłoki do grobu zbiorowego. Nie masz się o co martwić, przyjacielu, zadbałem o to, by wszystko było w papierach.

– Mówiłem ci, że to uparta suka. Ale szkoda, że się nie powstrzymałeś i nie zostawiłeś jej dla nas.

– Masz rację, ale co się zabawiłem, to moje. Ja stawiam.

Godzinę później Kraus przyjmuje zaproszenie Anny i idzie na górę. Odwożę Gerdę do domu, wracam do biura i spisuję oficjalny raport o „śmierci” Wandy. Przez cały ten czas grałem rolę własnego brata, człowieka, który lubował się w torturowaniu niewinnych. Przeraza mnie bezbrzeżne okrucieństwo Stefana. Jak to możliwe, że ktoś, z kim dzielę geny, jest takim potworem?

Kilka dni później problem Krausa znika. Jego szczęście się wyczerpało i nadział się na kulę wystrzeloną przez nieznanego sprawcę przed jego willą na Żoliborzu. Zasłużył na gorszą śmierć.

SZESNASTY

Wanda

Dwa tygodnie później

Willa Finna na Mokotowie

Pierwszy tydzień spędziłam w łóżku, pozwalając, by moje ciało doszło do siebie. Dużo mniej spokoju było w moich myślach, głównie w związku z tym, co wydarzyło się przy Szucha. Przez dłuższy czas nie mogłam uwierzyć, że mnie uratowano. Wciąż doskwierało mi poczucie, że Gestapo zaraz przyjedzie i mnie zgarnie. Czy to możliwe, że ten, który zabił tatę, przyszedł mi na ratunek? Gdy próbuję o tym myśleć, natychmiast czuję się wyczerpana. Ostatecznie uznałam, że niezależnie od tego, ile ryzykował, ratując mnie z tego piekła przy Szucha, nic nie wymaże z mej pamięci tamtej nocy, gdy zabił mojego ojca. Nie wolno mi wybaczyć. Najważniejsze pytanie brzmi, czemu mi pomógł.

Gdy zauważyłam, że każdego dnia wychodzi wcześniej i wraca bardzo późno, zaczęłam się krzątać po jego domu. Stoję teraz przy piecyku ozdobionym białymi kafłami i mieszam zupę ogórkową w dużym żelaznym garnku. Zrobiła ją pani Zuzanna Kowalska, zanim wyszła po sprawunki. Nagrzana od piecyka kuchnię wypełnia teraz woń kiszeniaków.

Pani Kowalska, mała, przysadzista kobieta po siedemdziesiątce, z posiwiałą głową i okrągłą, pomarszczoną twarzą, przekazała mi informację od pana domu, że dla Gestapo jestem już martwa. Odradził mi powrót do domu ze względu na fakt, że jest on pod obserwacją z powodu mojego brata. Gestapo podejrzewa, że z nim współpracowałam.

Lubię spędzać czas z panią Kowalską, która bezustannie trajkocze, i z jej wnuczętami, które od dwóch miesięcy mieszkają z nią w tym domu. Syn i synowa, oboje w konspiracji, zostali aresztowani i osadzeni na Pawiaku. Zmarli po torturach przy Szucha. Trójka ich dzieci ocalała, bo w momencie aresztowania były na tajnych kompletach. Jestem zszokowana, że pan domu toleruje ich obecność tutaj. Pani Kowalska mówi, że nawet przynosi dla nich jedzenie i pieniądze. Od razu staje mi przed oczami wspomnienie z kawiarni u Anny, jego szczerść. Ale to nie może być prawda. Prędzej dostrzegłam, jak głęboko wniknęłam w struktury podziemne, i uznałam, że żadne tortury nie sprawią, że przemówię, a teraz chce spróbować innej

taktyki. Udał, że mnie ratuje, żebym mu zaufała, i tym sposobem chce wydostać ze mnie informacje. Jeśli moje domysły są słuszne, Gestapo doskonale wie, gdzie teraz jestem.

Wzdrygam się, bo czuję, że ktoś nagle stanął za mną w drzwiach kuchni. To nie może być pani Kowalska, bo jest na zakupach. A więc to on.

– Dzień dobry – mówi jakby z innej planety.

Wymuszam na sobie uśmiech i patrzę mu w oczy.

– Dzień dobry. Czy chciałby pan coś zjeść? Żadna ze mnie kucharka, ale coś prostego mogę panu przygotować.

– Wystarczy czarna kawa i może kromka tego przepysznego chleba z trocinami – mówi z żartobliwym uśmiechem.

Ta próba przełamania lodów sprawia, że czuję się jeszcze bardziej niezręcznie. Nie wiem już, co mówić czy robić. Człowiek, który zabił ojca, uratował moje życie, i nie zrobił tego z poczucia winy. Tego jestem pewna.

– Jest też biały chleb, który pan przyniósł ostatnio – mówię, by przerwać tę ciszę.

– Zachowaj go dla dzieci – mówi, badawczo przyglądając mi się swymi wesołymi oczami.

Podaję mu kawę i kromkę chleba i właśnie mam wyjść z kuchni, gdy on chwyta mnie za ramię.

– Czy mogłabyś dotrzymać mi towarzystwa? Nie lubię jeść sam.

Waham się, ale siadam po drugiej stronie stołu. Przesuwam na bok wazonik ze słonecznikami z ogródka pani Kowalskiej.

– Nie podziękowałam panu jeszcze za ocalenie mi życia – mówię, patrząc mu w oczy.

Upija łyk kawy.

– Cieszę się, że mój plan się powiódł.

Jego szare oczy rozjaśniają się. Wydaje się zmęczony. Ma cienie pod oczami, ale nadal wygląda imponująco w szarym mundurze, ze starannie zaczesanymi ciemnoblonde włosami. Czuję przyjemny zapach jego kremu do golenia, a w powietrzu unosi się jeszcze cień woni jego wody kolońskiej.

Już dosyć; trzeba to przerwać. Nie mogę w nim widzieć człowieka. To hitlerowiec. Może i uratował moje życie, ale zabił tatę – jego i jeszcze wielu innych. Kto wie, jakie są jego zamiary? Powinam zmykać, gdy tylko nadarzy się okazja.

– Czy wszystko w porządku? – pyta, patrząc na mnie uważnie.

Nie mogę się już dłużej hamować.

– Mam odpowiedzieć uczciwie czy uprzejmie?

– Uczciwie – mówi cicho.

– Wciąż zastanawia mnie, jaki jest prawdziwy cel mojej tu obecności. Czy zamierza pan zabawić się moim kosztem?

Marszczy brwi.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Wie pan, co chcę przez to powiedzieć – odpowiadam. Mimo starań mój głos jest zabarwiony goryczą.

– Nie, nie wiem. Proszę mi powiedzieć – mówi znudzonym tonem.

– Mordercom rzadko zdarza się z dnia na dzień zmienić w miłosiernych samarytan...

O Boże, czemu to powiedziałam? Dałam mu tylko powód, żeby mnie zabił. Podnosi rękę do karku i go rozmasowuje.

– Z tego, że noszę ten mundur, nie wynika, że jestem mordercą.

Naprawdę tak uważa? Mam już dość tych jego gier!

– Czyżby zapomniał pan o tamtej nocy, gdy przyszedł pan do mojego domu i zabił mi ojca?

W uszach mi szumi. Straciłam nad sobą kontrolę. On patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Nigdy nie byłem w twoim domu.

W jego głosie nie ma gniewu, tylko pewność.

– Czy ma pan jeszcze mój obraz ze słonecznikami, który ukradł pan tamtej nocy?

Wstaję i próbuję odejść, ale on natychmiast podnosi się i przyciska mnie do ściany.

– Nie wątpię, że dla ciebie wszyscy niemieccy żołnierze wyglądają tak samo.

– Nigdy nie zapomnę twarzy mężczyzny, który odebrał mi tatę.

Wzbiera w nim nagle wściekłość. Aż podskakuję ze strachu, lecz on jeszcze mocniej wciska mnie w ścianę.

– Przysięgam ci, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią twojego ojca. Nawet nie wiesz, jak bardzo ci współczuję.

Odsuwa się. Widzę, że próbuje nad sobą zapanować. Znów mogę odetchnąć. Nikt nie wie lepiej, jak wytrącić mnie z równowagi. Moje serce tak szaleje, że cała oblewam się potem.

– Nawet twoja przyjaciółka Anna prosiła cię, żebyś mi zaufała – mówi, patrząc na mnie miękko. Jego słowa sprawiają, że budzę się z letargu wywołanego jego spojrzeniem.

– Jak to możliwe, że Anna ufa komuś takiemu jak ty?

Wzdycha i kręci głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma już do mnie siły.

– Nie do końca wiem, o co ci chodzi, ale może nie wiesz, że mam brata bliźniaka – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – Jesteśmy jak dwie krople wody. On teraz siedzi w areszcie w Londynie, a ja zająłem jego miejsce. Przysięgam, że nie zabiłem twojego ojca i nigdy nie byłem w twoim domu.

Wzdycha.

– To, co ci właśnie powiedziałem, musi pozostać między nami. Osoby, które o tym wiedzą, można policzyć na palcach jednej ręki. Nazywam się Finn, nie Stefan, i naprawdę współczuję

ci z powodu śmierci ojca.

Gdy odchodzi, przez dłuższy czas stoję jak wryta. Moje ramiona pulsują tam, gdzie ich dotykał. Słyszę pomruk silnika jego samochodu, a potem nastaje cisza. Nie ma go. Czy to była prawda czy kolejna gra? Gdy do nas przyszedł, przedstawił się jako Stefan. Czy to możliwe, że jest ich dwóch, a nie jeden? Czy naprawdę poprzysięgłam zemstę na niewinnym, niesłusznie obwiniając go za morderstwo taty? Już sama nie wiem, co myśleć.

– Zapowiada się gorący dzień – mówi pani Kowalska, wchodząc do kuchni z wiklinowym koszykiem pełnym sprawunków. – Minęłam po drodze Stefana. Pierwszy raz od miesiący spał dłużej niż ja. Żal mi go.

Pani Kowalska wzdycha, a ja mam chęć wykrzyknąć jej w twarz, że współczuje Niemcowi. A może ona jest jedną z tych osób, które znają prawdziwą tożsamość tego człowieka?

– Od jak dawna mieszka w pani domu?

– Od stycznia czterdziestego trzeciego. Czemu pytasz?

– Z ciekawości – odpowiadam, pomagając jej rozpakować koszyk. – Zdaje się mieć dobre serce, choć mundur podpowiada co innego.

– Bo ma. I zapewniam cię, że ten mundur skrwawił tylko raz: gdy cię tu przyprowadził.

Kiwam głową, nie chcąc wdawać się w kłótnie. Może pani Kowalska faktycznie ma rację, może jest tak, jak mówi?

– Obiecałam Tosi, że poczytam jej dziś książkę.

– Wspaniale, skarbie – mówi z promiennym uśmiechem. – Możesz już iść po dzieci. Będziemy jedli o pierwszej.

Tosia ma dwanaście lat, Basia – siedem, a Alek – pięć. Każdego dnia, od dziesiątej do czternastej, rezydują w dużym salonie na parterze. Potem można ich spotkać na piętrze, w sypialni w głębi korytarza. Gdy są w salonie, zasłony w oknach są zawsze ściśle zasłonięte, a my uważnie nasłuchujemy odgłosów na zewnątrz. Raz na jakiś czas zdarzają się nieproszeni goście szukający Stefana – zwykle jego narzeczona lub jej ojciec. Jeśli odwiedzają go w domu, to raczej późnym popołudniem, ale nigdy nie wiadomo, kto się napatoczy. Gestapo lubi zaskakiwać.

Gdy dzieci są na dole, Tosię zwykle można zastać na sofie z książką w rękach. Ostatnio wciągnęła się w *Anię z Zielonego Wzgórza* Lucy Maud Montgomery i codziennie czeka, bym jej poczytała. Książkę znalazłam w jednym z pokoiów na piętrze i zachęciłam tę nieśmiałą, cichą dziewczynkę, by czytała ze mną. To angielskie wydanie, więc tłumaczę jej na bieżąco na polski. Córka pani Kowalskiej, Beata, jest po czterdziestce i mieszka w Kanadzie ze swymi dwiema córkami; od wybuchu wojny nie były ani razu w Warszawie. Pani Kowalska wciąż opowiada o tych wnuczkach, bardzo ich jej brakuje. Książkę zostawiła jedna z nich.

Panią Kowalską cieszy myśl, że kuzynki czerpią radość z tej samej powieści, choć nie mogą tego robić razem.

Jest tu więcej rzeczy, które zostały po wakacjach trzydziestego dziewiątego, ostatnich, jakie tu spędziły. Między innymi ubrania Beaty, z których z wdzięcznością korzystam. Jestem podobnego wzrostu i budowy, więc wyglądają jak szyte na miarę. Jedyne, co mi nie pasuje, to fakt, że Beata wyraźnie gustuje w jasnych kolorach, a ja wciąż przeżywam żal po tacie. Z drugiej strony, akurat mój ojciec by to zrozumiał.

Moja przygoda z Gestapo mocno mną wstrząsnęła. Bardzo mi zależy, by nie pokazać tego dzieciom. Od samego początku mierzę się z pytaniem, jak do nich podejść. Oddzielono je od rodziców, więc nie wiedzą o ich śmierci. Tosia jednak ma w oczach smutek, który mnie samą wpędza w melancholię. Może coś podejrzewać.

Basia pomaga pani Kowalskiej gotować. Wielbi babcię tak bardzo, że nie chce jej odstępować na krok. Alek najczęściej bawi się drewnianym pociągiem na dywanie. Potrafi godzinami objeżdżać nowe trasy, udając odgłosy ciuchci.

Właśnie zabieram się za czytanie Tosi, ale gdy jestem w połowie pierwszej strony, rozlega się nagle pukanie do drzwi.

– To na pewno pani przyjaciółka Anna – mówi z kuchni pani Kowalska, po czym rusza w naszą stronę, wycierając ręce w fartuch. – Stefan mówił mi, żebym przekazała, że odwiedzi panią dziś rano, ale zupełnie o tym zapomniałam.

Na myśl o Annie serce skacze mi z radości.

– Pójdę z dziećmi na górę, a nuż to nie ona – mówię.

Pani Kowalska skwapliwie kiwa głową.

W kilka chwil docieramy na górę i zaczajamy się w sypialni dzieci, czekając na wezwanie pani Kowalskiej. Tymczasem ja zastanawiam się, czy Anna nie ma przypadkiem romansu ze Stefanem... Albo z Finnem? Już sama nie wiem, jak o nim myśleć. Może są zakochani? Jeśli to Finn, wszystko w porządku – ale jeśli to Stefan i historia o Finnie to bajeczka, to zupełnie zmienia postać rzeczy. Może Anna dostała rozkaz wejścia z nim w związek w celu zdobycia informacji. Tak czy siak, bez jego udziału nie byłoby mnie tutaj.

– Wando, możesz już zejść – słyszę łagodny głos Anny.

– Chciałam przyjść wcześniej, ale Keller prosił mnie, bym na wszelki wypadek wstrzymała się przez parę tygodni – mówi Anna kwadrans później, rzucając okiem w stronę kuchni, gdzie dzieci pomagają pani Kowalskiej robić pasztet z zająca. Siedzimy przy stole, popijając namiastkę kawy. Anna nachyla się nad blatem i kładzie dłoń na mojej. – Martwiłam się o ciebie, ale widzę, że Keller dobrze się tobą zajął.

– Tak, ale czemu? – pytam, patrząc w jej bladoniebieskie oczy. – Jaki ma w tym cel?

Zabiera dłoń i odchyła głowę.

– Nie masz się o co martwić. Nie mogę ci wszystkiego zdradzić, tak jest bezpieczniej, ale zapewniam cię, że on ma dobre intencje. Możesz mu ufać tak, jak ufasz mi.

Pocieram brodę. Może rzeczywiście mówił prawdę, a tatę zabił jego brat. Tyle że wciąż trudno mi w to uwierzyć.

– Czy ty... Znaczy, czy on...

Twarz i uszy mi czerwienieją.

– Czy ty masz z nim romans?

Z jej karminowych ust, czerwonych jak jej szykowny kostium, dobywa się perlisty śmiech.

– Ależ skąd! On nawet nie jest w moim typie. Jedno, co mogę ci zdradzić, to że razem walczymy z Hitlerem. Ten człowiek ma kluczowe znaczenie w planach podziemia.

Puszcza do mnie oko.

– Poza tym dla mnie na świecie istnieje tylko jeden mężczyzna – mówi i wzdycha. – A tego znasz akurat bardzo dobrze.

Schodzi ze mnie ciśnienie. Czy chodzi jej o mojego brata? Wyczułam już jakiś czas temu, że Mateusz ma do niej słabość. Kiedy go o to spytałam, stwierdził, że nie jest jej wart, bo jej potrzeba prawdziwego artysty, który będzie ją umiał zrozumieć, a nie jakiegoś tam doktora. Tak więc była między nimi tylko przyjaźń.

– Kimże jest ten szczęściarz? – pytam.

Oczy jej się śmieją.

– Najśmielszy i najczulszy człowiek na całym świecie. I tak się składa, że jest twoim bratem. Tym, o którego zamartwiam się każdego dnia.

– Jest cały, Anno – mówię i uśmiecham się do niej szeroko. – Kryje się po lasach z grupą partyzantów, niedaleko naszego rodzinnego majątku.

Anna gwałtownie wypuszcza powietrze.

– Od jak dawna o tym wiesz?

– Spotkałam go, wracając z Topilca. To on mi dał pistolety. Witek kazał mu zniknąć po śmierci tamtego oficera.

– Nie wierzę, że Witek tak to przed nami ukrył – mówi z irytacją. – Pewnie musiał, dla naszego bezpieczeństwa.

– Pytał o ciebie.

Anna uśmiecha się ciepło.

– Jak się miewa?

Relacjonuję jej swoje spotkanie z Mateuszem, po czym stwierdzam:

– Chciałabym wrócić do swoich zadań kurierskich. Witek na pewno ma pełne ręce roboty, zwłaszcza teraz, gdy zbliża się powstanie.

– Właściwie to jest jeden z powodów mojej wizyty. Witek chciałby oczywiście, żebyś odpoczęła dłużej, a to jest w tej chwili najbezpieczniejsze miejsce dla ciebie.

Czuję narastające podniecenie.

– Ale?...

Anna sięga do notatnika i wydobywa grubą kopertę.

– Potrzebuje kogoś, kto by mu to przetłumaczył najszybciej, jak się da.

Wzdycha.

– Sama bym to zrobiła, ale ostatnio mam na głowie tyle spraw, a twój niemiecki jest perfekcyjny.

Trudno byłoby jej zrobić mi większą przyjemność. O niczym innym nie marzę, tylko by zacząć znowu działać.

– Oczywiście z radością się tym zajmę. Zacznę jeszcze dziś.

– Znakomicie. W środku są zalecenia dla ciebie, bo Witek chciałby, żebyś napisała też dla niego kilka listów po niemiecku.

Dwie godziny później, długo po wizycie Anny, siadamy razem przy stole. Pani Kowalska odmawia krótką modlitwę i zabieramy się do ogórkowej. Tosia siada przy Alku i przypomina mu o jedzeniu, gdy chłopiec zaczyna się bawić małym drewnianym pociągiem, który ze sobą przyniósł. Za oknem rozlega się nagle dźwięk silnika. Czuję natychmiastowy przypływ adrenaliny; zrywam się z miejsca i doskakuję do okna.

– To tylko Finn – mówię, patrząc w twarz pani Kowalskiej i czekając na jej reakcję.

– Dzięki Bogu, to tylko Stefan – mówi po krótkim namyśle, zerkając w moją stronę po drodze do kuchni, skąd przynosi kolejny talerz.

– Akurat zdążyłeś, żeby spróbować tej wybornej zupy, co to Wanda uwarzyła – zwraca się do Finna z uśmiechem, gdy po chwili ten pojawia się w pokoju.

– Nie mogę się doczekać – odpowiada Finn, patrząc na dzieci.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu dwójka z nich ruszyła do niego biegiem.

– Wujku, zobacz, mam pociąg – cieszy się mały Alek.

Finn unosi go w powietrze i okręca go dookoła, udając samolot. Chłopiec piszczy z radości.

– Teraz moja kolej, wujku! – mówi Basia, ciągnąc go za rękaw.

Finn odstawia Alka i podnosi dziewczynkę.

Tosia nie rusza się z krzesła, ale patrzy na Finna z uśmiechem tak szerokim, że sięga prawie od ucha do ucha. Żadne z nich nigdy nie reagowało na mnie w ten sposób. Ma do nich rękę.

Gdy udaje nam się wreszcie wrócić na miejsca, dzieci mają buzie poczerwieniałe ze szczęścia.

– Ta zupa wygląda niezwykle kusząco – mówi Finn, zerkając na mnie.

Czuję, jak moje policzki oblewają się pąsem.

– Dziękuję – odpowiadam, odwracając wzrok. Wszystko, co z nim związane, jest dla mnie tak nowe. Po rozmowie z Anną wiem już, że nie jest potworem; w przeciwnym razie nie chciałaby mieć z nim nic wspólnego. Ale jak to możliwe, że dwóch identycznych ludzi tak się między sobą różni: jeden jest hitlerowskim bandytą, a drugi wspiera podziemie?

– Sama bym lepszej nie zrobiła – zachwala pani Kowalska.

– Wujku, pomogłam babci zrobić pasztet z zająca – rzuca Basia.

Finn uśmiecha się do niej.

– Jesteś moją ulubioną kucharką, księżniczko – mówi, po czym zwraca się do Tosi. – A co ty porabiałaś?

– Cały dzień siedziała na kanapie – wtrąca Basia z zasmuconą miną. – Chyba czytała.

– Nie pakuj nosa w nie swoje sprawy! – warczy na siostrę Tosia.

– A co takiego czytasz? – pyta Finn.

– *Anię z Zielonego Wzgórza* – odpowiada Tosia z ekscytacją. – Książka jest angielska, ale panna Wanda czyta mi ją po polsku.

– Czy to ta o małej rudowłosej dziewczynce?

– Tak! – piszczy Tosia.

Finn spogląda na mnie i nachyla się nad stołem.

– Czy mam przez to rozumieć, że dobrze mówisz po angielsku?

– Myślę, że znośnie – odpowiadam z uśmiechem, czując, jak coś się we mnie rozluźnia.

Przed wyjściem z domu Finn przysięga dzieciakom, że wróci najszybciej, jak to możliwe, by zdążyć się z nimi pobawić, zanim pójdą spać. Nie znajduję słów, by opisać, jak bardzo te maluchy go uwielbiają. Z drugiej strony, kiedy przypomnę sobie, jaki potrafi być wrażliwy i czuły – o czym przekonuję się coraz częściej, od naszego spotkania w kawiarni Anny – trudno się dziwić, że tak łatwo mu było znaleźć drogę do serc tej gromadki. Jednak patrząc w jego twarz, wciąż widzę przeklętego bydlaka, który tamtej nocy wtargnął do naszego domu i odebrał mi ojca, i czuję, jak nieopisany ból ściska mi serce.

Kolejny raz wracam myślami do tamtych tragicznych wydarzeń. Czy przedstawił się jako Stefan Keller, gdy tata otworzył mu drzwi? Finn i Stefan: czy naprawdę obaj istnieją? A może Stefan wykiwał Annę? Może mnie też oszukał? Zadaję sobie to pytanie raz po raz, jednak prawda jest taka, że bardzo chcę mu wierzyć, bo dzięki temu odzyskałabym też wiarę w człowieka. Chcę wierzyć, że Finn jest dobry i że w tamtej chwili, gdy dotknął mnie w Łazienkach, moje serce słusznie zabiło mocniej.

Gdy Finn wraca tego wieczora, Basia wybiega mu na spotkanie i prosi, by pobawił się z nami w chowanego. Gdy wszyscy się zgadzają, dziewczynka ogłasza, że ona pierwsza szuka,

i zaczyna odliczać. Pani Kowalska nalegała, byśmy bawili się na piętrze, zatem próbuję się ukryć w pokoju gościnnym, za łóżkiem. Wiem, że miejsce nie jest zbyt oryginalne, ale w tym domu naprawdę nie ma wielu dobrych kryjówek.

Kucam za ramą małego łóżka i natychmiast dociera do mnie, że jest tam Finn. Najwyraźniej miał ten sam pomysł. Robi mi się gorąco na twarzy, bo może to wyglądać, jakbym go śledziła.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że to miejsce jest zajęte – mówię i posyłam mu wymuszony uśmiech, próbując się wydostać z za łóżka.

Finn chwyta mnie za rękę.

– Proszę, zostań, starczy miejsca dla nas dwojga.

Jego głos brzmi tak miło... ale to jego spojrzenie mnie przekonuje. Widzę w nim szczerą prośbę.

– Dziękuję – mówię, starając się nie zwracać uwagi na przyjemność, jakiej dostarcza mi jego dotyk, iskierki podniecenia pod skórą. Dlaczego bliskość tego mężczyzny tak na mnie działa?

Gdy odsuwa swoją dłoń, czuję zawód. To wszystko jest tak pogmatwane. Gdzie ja mam głowę? Nadal nie mam pewności, czy mówi prawdę i rzeczywiście nie miał nic wspólnego ze śmiercią taty.

Finn uśmiecha się nerwowo.

– Wiem, że to, co powiem, sprawi, że uznasz mnie za wariata... – zaczyna i odwraca wzrok. – Odkąd cię zobaczyłem, czuję, że znalazłem coś, czego mi zawsze brakowało.

Uśmiecha się do mnie, jakby chciał pokryć zażenowanie.

– Trudno to wyjaśnić, sam tego nie rozumiem, ale właśnie tak się czuję.

Moje serce chyba pęknie z nadmiaru emocji. Nie spodziewałam się usłyszeć od niego czegoś takiego. Zaskakuje mnie jego otwartość. Chciałabym nie musieć zadawać mu tego pytania, nie psuć tej pięknej chwili między nami dwojgiem, ale coś nie pozwala mi odpuścić.

– Kiedy to było: w kawiarni czy u mnie w domu?

– Pierwszy raz widziałem cię, gdy szłaś ulicą, trzymając za rękę małego chłopca. Nie widziałas mnie.

Nasze spojrzenia się spotykają. Napięcie sprawia, że znów robi mi się gorąco.

– Drugi raz był w kawiarni, ale masz wszelkie prawo uważać inaczej.

– Sama nie wiem, w co mam wierzyć – szepczę, nie mogąc przestać na niego patrzeć.

Finn odchrząkuje.

– Widziałem to w twoich oczach, gdy pracowałaś nad szkicem w Łazienkach. Za każdym razem, gdy patrzyłaś na mnie, widziałem niepewność, ale też ogromną żądzę zemsty. Nie było to jednak takie samo spojrzenie jak wtedy w kawiarni, kiedy przysiadłem się do ciebie i Anny.

Głaszczcie moje ramię i delikatnie unosi mi brodę, zmuszając mnie do spojrzenia mu prosto w oczy.

– Wtedy w parku toczyłaś ze sobą walkę, nie mogąc dojść do ładu z sercem, które mówiło ci, że nie mogę być tym, który zniszczył twoją rodzinę, skoro twój umysł wiedział, że to byłem ja. Wówczas nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale teraz, gdy wiem, co zrobił mój brat, wszystko rozumiem.

– Czy to ty zniszczyłeś moją rodzinę? – pytam, choć podjęłam już decyzję, że mu uwierzę.

– Znasz odpowiedź. Znałaś ją i wtedy, ale nie zdawałaś sobie z tego sprawy. To dlatego narysowałaś Stefana zamiast mnie.

Ma rację. Patrzyłam na niego, ale rysowałam tamtego, prawdziwego zabójcę mego ojca.

– Masz sporo do wyjaśnienia – mówię i daję mu żartobliwego kuksańca.

Nie uśmiecha się.

– Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie – odpowiada.

– Mam was! – krzyczy radośnie Basia, przywracając nas do rzeczywistości. – Aleście sobie znaleźli głupią kryjówkę...

SIEDEMNASTY

Finn

Wymawiam się Gerdzie, udając, że boli mnie głowa. Jest już prawie dziewiąta, gdy wchodzę do pogrążonej w ciszy willi. Zuzanna siedzi przy małym stole kuchennym i obiera cebulę.

– Pomóc ci, Zuzanno? – pytam, z trudem hamując uśmiech. Gdy pierwszy raz ją spotkałem, poprosiła mnie, bym mówił do niej po imieniu; twierdzi, że dzięki temu czuje się młodsza. Zuzanna patrzy na mnie zażawionymi oczyma.

– O tak, przyda się jeszcze jedna para rąk.

Chwytam mały nożyk i siadam naprzeciw niej.

– Czyli jutro będzie cebulowa?

– Dostałam trochę boczku i chcę go przesmażyć z cebulą.

Na samą myśl o boczku zaczynam się ślinić. Dziwne, że w domu panuje taka cisza.

– Jak udało ci się wszystkich tak szybko uśpić?

– Nie daj się oszukać – mówi i parska śmiechem. – Te psotniki nie zmrużą powiek, dopóki Wanda nie opowie im przynajmniej trzech bajek. Biedactwo!

– Opowiada im bajki? – pytam, kończąc obierać ostatnią cebulę.

Zuzanna już zabrała się do krojenia; idę jej śladem.

– Tak, i chyba nawet ma do tego cierpliwość.

– Naprawdę?

Cebula w końcu ze mną wygrała. Przez moment mam zamglony wzrok.

– Jest taka miła dla Tosi – mówi Zuzanna. – Boli mnie serce, gdy patrzę na tę małą. Bardzo się cieszę, że Wanda znalazła sposób, by ją rozweselić.

– Tosia domyśla się, co stało się z jej matką. Widzę to w jej oczach.

Pokroiłem na razie tylko jedną cebulę; Zuzanna w tym czasie rozprawiła się z sześcioma. Idę przepłukać oczy przy małym zlewie.

– Przeklęta cebula.

Zuzanna szczerze się śmieje.

– No, ale dziękuję za pomoc, synku. Zrobić ci kolację?

– Jadłem z Gerdą – mówię i całuję ją w czoło. Przypomina mi moją własną babcię, która zmarła pięć lat temu. Dziadek długo nie mógł się potem pozbierać.

Zuzanna przewraca oczami.

– Uważaj z tą żmiją.

Wzdycham.

– Tak, wiem. Może niedługo w końcu wyjedzie do Berlina. Na razie muszę ją mieć pod kontrolą.

– Modłę się, żeby ci nie zabrakło sił ani sprytu. Widzę, jak patrzysz na Wandę.

Wyglądam przez okno, czując, jak policzki mi czerwienieją.

– Ma do ciebie słabość, chłopaku. I powiem ci, że pąsowieje, ilekroć się do niej odezwiesz czy na nią spojrzysz.

Krzywię się.

– Szkoda, że nie widziałaś, jak na mnie patrzyła, gdy myślała, że jestem Stefanem.

– To dobrze, że jej powiedziałaś.

– Jakoś tak jej ufam, bardziej niż sobie samemu.

– Żal mi was, młodych. Miłość i wojna nie idą w parze – mówi, patrząc na mnie wymownie. – Byłeś kiedyś zakochany?

– Nie, i kto wie, czy kiedykolwiek będę.

– Mój świętej pamięci mążnek mawiał, że trudno o głępszą sprawę niż walka z własnymi uczuciami. Zwłaszcza gdy jutro jest takie niepewne – dodaje łagodniej.

Ostatnie słowa Zuzanny wciąż krążą mi po głowie, gdy biorę prysznic i przebieram się w czystą białą koszulkę i czarne spodnie. Tak, jutro jest niepewne. Co by było, gdyby los dał mi szansę poznać Wandę w zwykłych czasach? Spotykałem się z wieloma kobietami, ale żadna nie działała na mnie tak jak ta, odkąd pierwszy raz na nią spojrzałem.

Idę korytarzem do ostatnich drzwi na prawo – sypialni dzieci. Jest cicho, więc pewnie wszystkie śpią, ale nie zaszkodzi się upewnić.

Wewnątrz widzę całą trójkę posapującą pod kołdrą na szerokim łóżku. Wanda siedzi obok w fotelu bujanym. Nie śpi, ale patrzy na nich jak zaczarowana. Jednak w jej oczach widać jeszcze trochę bólu. Siniaki na twarzy i rękach są już ledwo widoczne. Ma na sobie żółtą koszulkę z krótkim rękawem, która podkreśla jej szafirowe oczy i złotorude włosy zebrane w kok. Dociera do mnie, że pierwszy raz widzę ją w jasnych kolorach. Ma tak delikatną urodę, choć przecież wiem, jak bardzo jest silna. Dłonie same się rwą, by dotykać tej twarzy.

Podnosi na mnie wzrok. W jej oczach widzę smutek. Ucieka na palcach z pokoju, nawet na mnie nie patrząc, choć przechodzi tuż obok. Wyłączam światło i idę za nią ogarnięty dziwną, przemożną potrzebą doświadczenia jej ciepła i miłości. Narasta we mnie nieznana dotąd tęsknota, która coraz bardziej mnie boli.

– Dobranoc – mówi łagodnie, spoglądając mi w oczy. Nie ma więcej niż metr pięćdziesiąt, ale w tej chwili ma w swych rękach pełnię władzy nade mną, choć nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Odwraca się.

– Czekał – wyduszam z siebie w końcu. – Może się ze mną napijesz?

Mój głos brzmi tak żałośnie. Skąd u mnie ta trema? Nigdy wcześniej nie miałem problemu z zaproszeniem kobiety na randkę. Wanda odwraca się znów do mnie z nieśmiałym uśmiechem.

– Dobrze, pod warunkiem że to nie będzie wódka.

Uśmiecham się.

– Lubisz czerwone wino?

Robi znaczącą minę.

– Aha, pani Kowalska wspominała coś o domowym winie do spróbowania.

– Właśnie. Czyli jesteśmy umówieni? – mówię, siląc się na neutralny ton. Któregoś dnia dam jej spróbować najlepszego wina na świecie. Któregoś dnia cały mój świat będzie jej światem. Rozganiem szybko te idiotyczne myśli.

– Moja sypialnia ma balkon z widokiem na ogród. Może tam usiądziemy?

– Dobrze.

– Świetnie. No to idę po słynny trunek.

Wpatrujemy się w rozgwieżdżone niebo, popijając domowe wino Zuzanny – moim zdaniem o wiele za słodkie, ale Wandzie najwyraźniej posmakowało. Siedzimy w ciszy, ale nie ma w niej nic krępującego; jest dobrze. Zauważyłem już, że cechą, która wyróżnia Wandę, jest oczywisty brak inklinacji do mówienia dla samego mówienia. Jeśli o czymś rozmawia, od razu przechodzi do rzeczy.

– Myślałam, że to historia w stylu doktora Jekylla i pana Hyde’a.

Krztuszę się winem. Wanda klepie mnie po plecach.

– Mam nadzieję, że teraz jestem już na stałe Jekylllem.

– Jesteś pewny? – pyta, podnosząc na mnie czarujące oczy.

Mam chęć powiedzieć jej coś o sobie, choć byłoby bezpieczniej, gdyby nic nie wiedziała.

– Mieszkaliśmy z rodzicami i Stefanem w Niemczech, póki nie skończyliśmy piętnastu lat.

– Byliście z bratem blisko jako dzieci?

– Zawsze mi się tak wydawało, ale gdy dziś o tym myślę, pamiętam tylko kłótnie. Jego skłonności do przemocy nie brałem na poważnie, dopóki nie zobaczyłem, jak próbuje zabić mamę nożem kuchennym. Mieliśmy wtedy dziesięć lat. Z początku myślałem, że to jakiś wygłup, ale przeraziłem się nie na żarty, widząc złość w jego oczach. Chodziło o to, że mama odmówiła mu zakupu nowej zabawki. Ciągle szukała dla niego lekarzy, ale żaden nie

sprawił, by Stefan przestał wpadać w tarapaty. Gdy miał piętnaście lat, prawie udało mu się ją zabić.

Przerywam na chwilę.

– Kiedy myślę o bracie, przypomina mi się zawsze letni dzień, gdy mieliśmy czternaście lat i pojechaliśmy w odwiedziny do cioci Helgi. Mieszkała kilkadziesiąt kilometrów od Berlina. Miała kociaka, którego absolutnie uwielbiała. Raz wysłała mnie, bym przyprowadził Stefana na kolację. Znalazłem go w pobliskim lesie. Patrzył, jak kociak wije się w płomieniach. Nigdy nie zapomnę satysfakcji na jego twarzy. Przyszedłem za późno, by uratować zwierzę. Tamtego dnia straciłem poczucie więzi z bratem. Przestałem szukać w nim dobra, bo go tam nie było. Rok później przeprowadziłem się z mamą do Ameryki i od tamtej pory go nie widziałem, dopóki nie przyjechałem tutaj. Ale tym razem nie chodzi o jakiegoś kociaka, tylko o setki pomordowanych ludzi. Bezwzględny sukinsyn.

– Bardzo ci współczuję – mówi Wanda łzawym tonem.

– To sprawa między mną a moim bratem.

Nasze spojrzenia spotykają się. Czuję jej ból, a nienawiść, którą żywi do mojego brata, udziela się i mnie.

– A co z tobą? – pytam z ciężkim sercem. – Zrozumiem, jeśli nie chcesz mówić o tym, co stało się z twoim ojcem.

– Nie – przerywa i bierze głęboki wdech. – Chcę ci o tym opowiedzieć.

Gdy opisuje tamten wieczór, mam gułę w gardle.

– Tak mi przykro – szepczę po wszystkim.

Wanda zasłania twarz rękami. Chcę schować ją w mych ramionach i ukoić czułym słowem, ale siedzę dalej bez ruchu. Ostatnim, czego jej teraz trzeba, jest mój dotyk. Nienawidzę brata jeszcze mocniej, gdy patrzę na nią tak bezradny.

Wanda wyprostowuje się i ociera łzy.

– Wybacz, proszę. To musi być trudne i dla ciebie, wiedzieć, że twój własny brat...

Wyciąga dłoń i dotyka mojego ramienia. Przechodzi mnie miły dreszcz.

– Nie przeprasza za niego. Nie jesteś nim. Nie przestaje mnie zadziwiać, jak bardzo się różnicie. Z tego, co mówisz, wynika, że twoja matka to dobra kobieta.

– Tak jest. To ojciec wniósł do naszej rodziny zło. Zachodziłem w głowę, jak mogła pokochać kogoś takiego. Nawet w moich najwcześniejszych wspomnieniach jest daleko, zajęty budowaniem partii nazistowskiej. Mało pamiętam miłych wspólnych chwil.

Moją uwagę na moment skupia spadająca gwiazda. Czyżby ktoś opuścił ten padół? Rozganiam te myśli i kontynuuję.

– Moja matka uważa, że kiedyś był inny. Na początku ich znajomości matka była całym jego światem. Zmienił się, gdy mieliśmy jakieś siedem lat i zaangażował się we współpracę

z Hitlerem. Skończyły się wspólne wakacje. Ciągłe był poza domem, zaniedbywał nas, a gdy wracał, upijał się i wyładowywał frustracje na matce. Kiedy zdarzało mu się popić, mama następnego dnia nierzadko chodziła ze śliwą pod okiem. Znienawidziłem go i poprzysiągłem sobie, że któregoś dnia go zabiję.

Milczy, ale gdy chwytam jej rękę i całuję, podnosi moją dłoń do policzka i przytula ją. Ten gest znaczy dla mnie więcej niż wszystkie skarby świata.

– Był psychopata. Wiecznie o wszystko obwiniał matkę. Brat i ja wysłuchiwalismy jego tyrad o naszej przyszłości, o tym, że jesteśmy wybrańcami, o nienawiści, jaką darzył Polaków i Żydów. Naszą polską nianię traktował z pogardą. Może to dlatego mój brat stał się taki zły.

Wzdycham.

– Ale dość już o mojej rodzinie.

W ciągu kolejnych kilku tygodni staje się moim i Wandy zwyczajem, że spotykamy się na balkonie, gdy wszyscy już śpią. Ja dowiaduję się wiele o niej, a ona o mnie. Odkrywam jej ulubiony kolor, książkę i piosenkę, ale wciąż nie wiem, czy czuje do mnie to co ja do niej. Zachowuje się, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi, tymczasem ja desperacko powstrzymuję pokusę pieszczona jej ciała. Chciałbym, by mogła słyszeć, jak wariacko bije moje serce, gdy jesteśmy blisko.

Pewnej nocy nie zjawia się na balkonie. Czekam prawie godzinę, zanim przychodzi mi do głowy, że może się mną znudziła. Oblewam się gorącym, idąc w stronę jej drzwi. Pukam, ale nie ma odpowiedzi. Po chwili Wanda wychodzi z sypialni dzieci. Wydaje się zaskoczona.

– Przepraszam, że nie przyszłam do ciebie. Tosia nie potrafiła zasnąć. Nie chciałam jej zostawiać samej.

Czuję olbrzymią ulgę.

– Rozumiem. Idź spać, wyglądasz na zmęczoną.

Zamiast odejść, dotyka dłońią mojej napiętej szczęki.

– Czuję, że jesteś nieswój.

W żyłach czuję pożądanie, wypełniające każdy zakątek mego ciała. O Boże, jak ja jej pragnę! Przyciągam ją do siebie i zasłaniam jej usta swoimi. W odpowiedzi ona kładzie dłoń na mych włosach. Nasz pocałunek robi się coraz bardziej namiętny. Jej usta mają smak słonego powietrza w rzeński poranek. Wkładam dłoń pod jej koszulę i sunę po gładkiej skórze. Czuję absolut; ona jest moim absolutem.

Gdy na chwilę odsuwam usta, Wanda się cofa. Ma czerwone policzki.

– Dobranoc, Finn.

– Dobranoc, piękna.

Gdy wchodzi do pokoju, nie znajduję sił, by odejść, więc tkwię tam wgapiony w jej drzwi. W nozdrzach wciąż czuję słodką woń jej ciała, na dłoniach gładkość jej skóry. Albo ze mną

gra, albo mnie nie chce. Na razie.

OSIEMNASTY

Wanda

Budzą mnie ptasie trele. Wstaję uśmiechnięta, bo od razu przypomina mi się pocałunek Finna. Jego dotyk był bardzo przyjemny. Pół nocy nie spałam, myśląc o nim, o tym, jak na mnie patrzył, jakby nie chciał mnie wypuścić z rąk. Wiem, że jest wcześniej, chyba nie ma jeszcze szóstej, ale nie mogę się doczekać spotkania z nim. Ma zwyczaj pić kawę z samego rana. Myję twarz w umywalce i wkładam błękitną sukienkę z krótkim rękawkiem. Dobrze piętnaście minut schodzi mi na upinaniu włosów. Nie przywykłam do tego – zwykle rano spędzam przed lustrem nie więcej niż minutę.

Nie może tak być. Przecież nie chcę zachwycać go wyglądem. Jesteśmy tylko przyjaciółmi i tak powinno pozostać. Jeszcze niedawno miałam go za zabójcę taty. Teraz wiem, że to jego brat, a nie on – i właśnie stroję się, by zrobić na nim wrażenie. Rozpinam włosy i rozrzucam je luźno. Nie ma znaczenia, jak wyglądam. Są ważniejsze sprawy.

Kuchnię wypełnia aromat erzacu kawy. Finn siedzi przy stole ze spuszczoną głową.

– Dzień dobry – mówię i uśmiecham się. W głębi duszy cieszę się jak dziecko, że go widzę.

Podnosi głowę zaskoczony, bez uśmiechu.

– Dzień dobry – odpowiada łagodnym, niemal smutnym tonem.

– Czy wszystko w porządku? – pytam szczerze zatroskana. – Jesteś niezdrów?

– Nie, nie – mówi i posyła mi łagodny uśmiech, rozwiewając wątpliwości. – Po prostu czeka mnie ciężki dzień i staram się go jak najlepiej zaplanować.

– Nie będę ci zatem przeszkadzała. Porozmawiamy później.

Robię krok w tył i odwracam się, ale on chwyta moją rękę.

– Zostań, proszę. Całą noc planowałem, więc mogę sobie zrobić przerwę i spędzić chwilę z tobą.

W jego głosie i oczach wyczuwam prośbę.

Kolejne pół godziny upływa nam na niespiesznej rozmowie. Gdy Finn podnosi się, by odejść, nasze oczy się spotykają. Tęsknota wypisana w jego spojrzeniu sprawia, że czuję

w środku narastające ciepło. Niczego więcej nie pragnę, niżby mnie znów pocałował, dotknął moich ust, ale on odwraca się i odchodzi.

Przez resztę dnia skupiam się na dzieciach i jakoś udaje mi się o nim nie myśleć. Jednak gdy nie wraca na kolację, a potem także na noc, zaczynam się martwić na tyle, że trudno mi zasnąć.

– Finn nie wrócił na noc – mówię rano do pani Kowalskiej, gdy ta wchodzi do kuchni z wiklinowym koszykiem.

– Zauważyłam.

Pomagam jej odstawić na miejsce bochenek razowca, dwie małe porcje buraczanej marmolady i słoninę. Na tym kończyłyby się nasz wikt na najbliższy tydzień, gdyby nie wpływy Finna i spryt pani Kowalskiej. Jestem zdziwiona, że przyniosła tyle sprawunków. Ilość jedzenia, do jakiej mamy prawo na podstawie kartek, jest doprawdy żałosna. Pani Kowalska głośno wzdycha.

– Pewnie spędził całą noc z tamtą diabolicą – mówi z dezaprobatą.

Upuszczam pusty koszyk na podłogę. Ona myśli, że Finn spędził tę noc z Gerdą; ale to przecież absurd. I wtedy dociera do mnie, co się stało. Nie wpuściłam go do swego łóżka, więc poprzestał na Gerdzie.

– Wszystko w porządku, kochanie? – pyta pani Kowalska z troską w głosie. – Pobladaś.

– Dokucza mi dziś migrena – kłamię, by pokryć wstyd wywołany jej słowami.

– Odpocznij sobie. Powiem dzieciom, żeby za bardzo nie dokazywały.

Muszę się pozbierać.

– Wszystko w porządku. Obiecałam Tosi, że poczytam jej książkę.

Kładę jej rękę na ramieniu.

– Pani cudowne wnuczeta są najlepszym lekarstwem na każdą troskę.

Dzień mija prędko. Spędzam czas na zabawie z dziećmi, a potem zamiatam i myję podłogę, bo nie wiem, jak rozładować swój gniew. Jestem żałosna – co mnie obchodzi, co Finn robi w wolnym czasie? To jego sprawa, nie moja. Irytuje mnie ten ból, który czuję. Powtarzam sobie, że tylko tracę czas, bo powinnam teraz wrócić do Witka i konspiracji. Czuję się już całkiem nieźle, nie ma powodu, bym dalej tu tkwiła. Dla Finna to przecież bez znaczenia. Pewnie nawet nie zauważyłyby mojej nieobecności. Muszę odejść, zanim zacznę się przywiązywać do człowieka, który o mnie nie dba. A przynajmniej nie dba tak, jak to sobie wyobrażałam. Ostatecznie nawet gdyby mu na mnie zależało, i tak zostawiłabym go, by walczyć o naszą wolność.

Te przemyślenia zajmują mnie całkowicie do momentu, gdy zjawia się on, akurat w porze kolacji. Pani Kowalska serwuje ziemniaki ze zsiadłym mlekiem, ulubione danie Finna.

– Dziękuję za tę wspaniałą kolację, drogie panie – mówi, uśmiechając się do pani Kowalskiej i zerkając na mnie.

Gdy przyszedł, przywitałam go chłodno, po czym przestałam poświęcać mu uwagę.

– To ja zrobiłam! – woła dumna z siebie Basia. – Długo nie zajęło, bo mleko już było trochę zsiadłe.

– Ależ z ciebie kucharka, słoneczko. Smakuje znakomicie i jest odświeżające.

Zjada kolejną łyżkę, a we mnie coś pęka. Już wiem, że to, co zrobię, będzie bezdennie głupie, ale nie obchodzi mnie to. Wyrywam mu talerz, wylewam zawartość na starannie ufryzowaną głowę i śmieję się w głos.

– Tak jest jeszcze bardziej odświeżająco!

Nie rusza się, a że całą twarz ma w mleku, nie widzę, jaki przybrała wyraz. Czuję się teraz znacznie lepiej i wcale nie żałuję tego, co zrobiłam.

– Wando! – z trudem wydusza z siebie pani Kowalska. – Co się z tobą dzieje?!

Dzieci siedzą bez ruchu z szeroko otwartymi buziami. Nic nie mówię. Wstaję, wychodzę, zamykam się w sypialni i padam twarzą na łóżko. Zadowolenie ze śmiałego gestu szybko przechodzi, a jego miejsce zajmuje ogromny wstyd. Zaczynam wyć.

Czemu zachowałam się tak impulsywnie, jak głupi dzieciak? Czym zawinił ten człowiek, który uratował mi życie i zawsze był dla mnie miły? Potraktowałam go jak wroga. Muszę przeprosić, lecz wpierw muszę zebrać siły. Boję się teraz spojrzeć mu w oczy i, co gorsza, boję się, że zapyta, czemu tak się zachowałam. Będę musiała zmyślać. Nie mogę powiedzieć mu prawdy, bo pomyśli, że jestem zazdrosna, i będzie się nade mną litował.

Mija kilka bolesnych godzin, nim rozlega się ostrożne pukanie do moich drzwi. Staję na równe nogi. Ktoś znów puka, ale nie czuję się na siłach, by odpowiedzieć.

– Wando, proszę, otwórz.

Na dźwięk jego głosu zakrywam twarz dłońmi. Nie odpowiadam; może pomyśli, że zasnąłam, i sobie pójdzie. Ale on nigdzie nie idzie.

– Jeśli nie otworzysz w ciągu dwóch minut, wyważę te drzwi. Myślę, że Zuzannie się to nie spodoba.

Nie wątpię, że jest gotów to zrobić, więc po cichu podchodzę do drzwi. Gdy je otwieram, nie patrzę mu w oczy, lecz spoglądam na białą koszulkę okrywającą jego szeroką pierś. Nozdrza drażni zapach rumiankowego mydła. Jak on ładnie pachnie.

– Przepraszam, że to zrobiłam – mówię, nie podnosząc oczu. – To było dziecinne.

– Wpuść mnie, proszę – odpowiada łagodnym, ale pewnym głosem. – Musimy porozmawiać.

Puszczam klamkę i zapraszam go do środka. Pokój jest malutki, więc łóżko zajmuje prawie całą jego powierzchnię. Siadam na jego brzegu, a on na drugim.

– Przepraszam, że przegapiłem nasze wczorajsze spotkanie na balkonie. Witek prosił, bym dołączył do jednego zebrania, a ono przeciągnęło się tak długo, że zostałem u niego na noc.

Bierze mnie za rękę.

– Przy okazji przesyła ci uściski i przekazuje, byś została u mnie jeszcze, zanim wrócisz do akcji.

Czuję nagłą i niespodziewaną ulgę.

– Nie musisz mi się tłumaczyć – mówię.

On pewnie myśli, że jestem zazdrosna. Co za wstyd – tym bardziej że to prawda.

– To nie dlatego wylałam na ciebie zsiadłe mleko. Po prostu nagle wydało mi się, że jesteś Stefanem.

To kłamstwo, ale nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć. Zapada długa cisza, która kłuje mnie w samo serce. Gdy wreszcie zbieram w sobie odwagę, by na niego spojrzeć, w jego twarzy widzę smutek i rezygnację.

– Nic nie poradzę na to, że jesteśmy podobni – szepcze.

Coś we mnie pęka.

– Przepraszam cię. To było kłamstwo. Wcale mi go nie przypominasz. Myślałam, że spędziłeś tę noc u Gerdy i...

Kłęką przede mną i bierze mnie za obie ręce.

– Nigdy bym tego nie zrobił. Tylko z tobą chcę być.

Jego śmiałość sprawia, że cała się czerwienię.

– Nie możemy... – szepczę.

– Mogę teraz wyjść, a jutro zaczniemy od nowa. Chyba że chcesz tego tak bardzo jak ja.

Posyła mi swój najbardziej czarujący uśmiech. Cała mięknie.

– Zostań – mówię sama tym zdziwiona.

– Co powiedziałaś?

Uśmiecha się, czekając, aż powtórzę.

– Czyli mam sobie pójść?

Śmieję się i daję mu kuksańca w pierś.

– Powiedziałam, że chcę, żebyś został.

– No to powiedz jeszcze, że zawsze będziesz mi ufała – mówi, patrząc na mnie poważnie. – Moje serce jest przy tobie bezbronne.

Dotyka palcami mojego policzka.

– Nigdy nie przestanę ci ufać – mówię i czuję, jak po policzkach spływają mi łzy.

DZIEWIĘTNASTY

Gerda

31 lipca 1944

Droga *Mutti*,

minęły niemal cztery miesiące od mojego ostatniego listu do Ciebie, lecz nie otrzymałam do tej pory żadnej odpowiedzi. Jednakże trwa wojna, zatem mój list zapewne przepadł gdzieś po drodze. Gdybym Cię nie znała, pomyślałabym może, że się na mnie gniewasz, ale wiem, że tak być nie może, gdyż znam ogrom Twej miłości do mnie. Nie wspomnę nawet o tym, że uratowałam Cię od związków z tymi pasożytami. Nadal nie rozumiem, czemu pozwoliłaś im skryć się w Twoim domu. Musieli Cię chyba jakoś ogłupić, że pozwoliłaś sobie na takie przestępstwo. Tak, *Mutti*, gdyby przyłapano Cię na ukrywaniu osób niepożądanych w Warszawie, czekałby Cię wyrok śmierci. Papa powiedział mi, że pobyt w Ravensbrück Cię naprostuje i będziesz mogła do nas wrócić. Wierzę mu, ale martwi mnie sama myśl o tym, że jesteś od nas tak daleko. Tęsknię za Tobą niezmiernie i nie ma dnia, bym o Tobie nie myślała.

Papa kazał mi się pakować, ponieważ za pięć dni wyjeżdżam do Berlina. Uważa, że Warszawa nie jest dla mnie bezpiecznym miejscem, a może być jeszcze gorzej, bo polscy bandyci ponoć planują coś dużego. Cóż, coś mi mówi, że on może mieć rację. Sam widok brudnych ulic tego miasta napawa mnie obrzydzeniem. Jest też coś w spojrzeniach tych dzikusów, czego wcześniej nie dostrzegałam. Jakby mniej się już obawiali Führera lub na coś czekali. Papa ostatniej nocy znów się upił i ciągle powtarzał, że Sowieci do nas idą. To oczywiście rojenia pijaka, ale cieszę się na wyjazd z tej dziury.

Och, *Mutti*, nie uwierzysz, jak potrzaskane jest moje serce. Stefan mnie zdradził.

Wczoraj postanowiłam zrobić mu niespodziankę, więc zaszłam do jego biura, by go zabrać na obiad, ale sekretarka poinformowała mnie, że wyszedł. Nie powiedział, gdzie idzie, zatem poszłam do jego willi. Przy ulicy stał jego czarny mercedes. Wciąż mam klucz, który dał mi dawno temu, więc uznałam, że go tam zaskoczę. Otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do środka. Stefan siedział na kanapie z portrecistką mojej znajomej i małą blondwłosą dziewczynką. Czytał im coś w obcym języku – to chyba był angielski – i tłumaczył na polski. Nie miałam pojęcia, że mówi w którymkolwiek z tych języków. Gospościa Stefana drzemała sobie na fotelu bujanym, a na dywanie obok niej dwójka innych

dzieciaków bawiła się drewnianymi zabawkami. Jednak tym, co mnie najbardziej oburzyło, był sposób, w jaki Stefan patrzył na tę wstrętną portrecistkę.

Gdy zwróciła się do niego *per* Finn, zrozumiałam, że miałam rację. Widzisz, *Mutti*, gdy się poznaliśmy, Stefan zdradził mi, że ma brata bliźniaka imieniem Finn. Cztery miesiące temu zauważyłam, że Stefan zmienił zachowanie. Jego spojrzenie jest mniej surowe, a on sam okazuje mi dużo ciepła, podczas gdy Stefan zawsze był oschły. Podejrzywałam już wtedy, że Finn wszedł w buty Stefana – i zaczęłam czuć do niego coś, czego nigdy nie czułam do jego brata, więc nie interweniowałam, mimo że to oczywiste, iż Finn sprzyja naszym wrogom. Własne szczęście jest dla mnie ważniejsze niż wojna. Papa nigdy by tego nie zrozumiał. Nie to co Ty. Ty jesteś jedyną osobą, której ufam, *Mutti*.

Wysłałam, zanim mnie zauważyli. Muszę się jej pozbyć. Nie mówiłam o niej papie, bo sama wiem, co robić. Papa by go zabił, a ja nie wyobrażam sobie życia bez niego. Finn jest mój – po prostu jeszcze o tym nie wie.

Tyle na teraz, bo muszę wrócić do pakowania bagaży. Chciałabym dowiedzieć się, co u Ciebie, *Mutti*, proszę więc, napisz do mnie, gdy otrzymasz ten list. Pisz na nasz adres w Berlinie.

Kocham Cię i tęsknię, nawet nie wiesz, jak bardzo, moja *Mutti*,

Twoja Gerda

Składałam list i całuję go. Bardzo, bardzo chciałam, by matka odpisała.

Tamtego dnia dowiedziałam się, że *Mutti* pomaga naszym żydowskim sąsiadom, Ruth i Irze, ukrywając ich w piwnicy. Z miejsca poszłam do siedziby Gestapo, bo papy nie było w domu. *Mutti* złamała zasady i należało ją sprowadzić na właściwe tory. Jeszcze tego samego dnia gestapowcy zawitali do nas, a ja wskazałam im, gdzie przebywali Żydzi. Nigdy nie zapomnę twardego, zimnego spojrzenia matki. „Nie tak cię wychowałam, Gerdo”, powiedziała ciężkim tonem. Serce mnie zabolowało i zapragnęłam powstrzymać panów z Gestapo, ale to byłoby wbrew prawu. „Papa chce, byśmy byli wierni Führerowi, a ty go zdradziłaś”, krzyknęłam wtedy. „Nie dałaś mi wyboru – to dla naszego wspólnego dobra. Proszę, wybac mi, *Mutti*, ja cię kocham”. *Mutti* stała jak wryta, patrząc na mnie z drżącą brodą i zaciśniętymi ustami. Nie powiedziała już nic więcej. To był bolesny widok, gdy ją zabierali. Dręczyło mnie to bezsilne rozczarowanie, które widziałam w oczach matki.

Nie chciałam wydać *Mutti*, bo naprawdę ją kochałam – wiedziałam jednak, że postępuję właściwie. Uznałam, że pewnie jest zwyczajnie obrażona, ale teraz już chyba zdaje sobie sprawę, że uratowałam ją przed upadkiem na samo dno. Gdybym pozwoliła mojej matce ukrywać tych dwoje, skłoniłoby ją to do przygarnięcia jeszcze większej liczby tych podludzi, a wtedy wszyscy bylibyśmy w wielkiej biedzie. Ocaliłam reputację naszej rodziny i za to zasługuję na najwyższą wdzięczność.

Wstaję i przechodzę do biura papy, tam musi być jakaś koperta. Jedna leży na biurku, a pod nią – otwarty telegram. Podnoszę go ostrożnie, rozganiając mroczki, które zawsze mam przed oczami, gdy czuję, że wydarzy się coś okropnego. Wydaje mi się, jakby ten arkusik ważył tonę. Czytam środkową część na głos, cicho i w napięciu. „Ze smutkiem zawiadamiamy o śmierci pańskiej żony, Anity Veicht, wskutek komplikacji potyfusowych dwudziestego ósmego dnia marca 1944. Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia”.

Przesuwam palcem po tych bolesnych słowach i dłuższą chwilę siedzę bez ruchu, patrząc na nie. Wszystko we mnie obumarło. Nie próbuję nawet zatrzymać tych przeklętych łez; niech płyną. Nie płakałam, odkąd byłam małą dziewczynką, ale wtedy zawsze była przy mnie *Mutti*. Teraz już jej nie ma. Czuję się samotna jak nigdy dotąd. Przez cały ten czas byłam przekonana, że matka któregoś dnia wróci, ale teraz wszystko się zmieniło. Zasłaniam twarz dłońmi i przez chwilę, dłuższą niż wieczność, szlocham.

Przypominam sobie miłe chwile spędzone z *Mutti*. Miałam idealne dzieciństwo, bo ona zawsze była przy mnie. Jednak gdy podrosłam, znienawidziłam matkę za to, że chciała ze mnie zrobić miłosierną samarytankę.

Kiedy miałam osiem lat, w naszej okolicy zamieszkała para Polaków z córką w moim wieku. Miała na imię Hania. Jej rodzina wynajmowała mieszkanie w przyziemiu od *Herr Bahna*, właściciela piekarni. Zdradziłam matce, że przykro mi ze względu na Hanię, bo chodziła w tanich ubraniach i trudno jej było nawiązać relacje z innymi dziećmi. *Mutti* zaproponowała, bym spróbowała być dla niej miła i porozmawiała z nią. Zabrałam się więc za robienie dla niej miłych rzeczy. Za zgodą matki podarowałam Hani czerwony płaszczyk, ten od cici Marthe. Nie poprzestałam na tym, lecz zaczęłam codziennie przynosić przysmaki, którymi mogliśmy się dzielić. Dziewczynka wydawała się wdzięczna i zostałyśmy przyjaciółkami, spędzając wspólnie czas podczas przerw w szkole.

I nagle, któregoś dnia, gdy przyszłam do szkoły później niż zwykle, dowiedziałam się, że Hania zaprzyjaźniła się z inną dziewczynką, która uczyła się lepiej ode mnie. Trudno mi było znieść, że Hania przestała na mnie zwracać uwagę. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie oddam serca obcemu, bo obcy potrafią być zdradliwi. Wiedziałam, że nie mogę nikomu ufać. Nawet własna matka źle mi doradziła.

Z drugiej strony, trzeba pamiętać, że ojciec rzadko bywał w domu. Niemniej jego światopogląd bardziej mi odpowiadał. Mawiał na przykład, że Niemcy są rasą panów. To samo mówiono nam przecież w szkole. Czytaliśmy też i omawialiśmy *Mein Kampf*. Ta książka odegrała kluczową rolę w kształtowaniu mojego charakteru i zrozumienia świata. To dzięki niej dojrzałam do bycia prawdziwą Niemką.

– Nie jestem sama – szepczę. – Mam jeszcze Finna. Muszę tylko pozbyć się tej polskiej kurwy...

A przecież mam doskonały sposób na osiągnięcie tego celu.

DWUDZIESTY

Wanda

1 sierpnia 1944

Na ladzie kuchennej stoi mała miska pełna jagód. Pani Kowalska zdobyła je wczoraj na czarnym rynku. Basia była niezmiernie podekscytowana, że będzie dziś robić pierogi, jednak cała czwórka musiała wyjechać stąd z samego rana. Może powinnam je przygotować sama? Dzięki temu przynajmniej będę miała co robić, a Finn zje je na obiad.

Ostatniej nocy nie był sobą. Gdy leżeliśmy razem w jego łóżku, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że obejmuje mnie tak, jakbyśmy mieli się więcej nie zobaczyć.

– Coś się stało? – spytałam.

Pogłaskał moje ramię. Jego dotyk podziałał na mnie uspokajająco.

– Jutro się zacznie.

– Co się zacznie? – spytałam, choć dobrze wiedziałam, o czym mówił.

– Wiem od Witka. Powstanie. Rozpęta się piekło.

Umilkł i przez chwilę trwała niczym niezmacona cisza.

– Hitler nie dopuści do odwrotu z miasta, dopóki nie zostanie ono zrównane z ziemią. Stalinowi też to pasuje. Trzeba być bardzo naiwnym, by sądzić inaczej.

– Myślisz, że to głupie, że się za to zabieramy?

Finn pokręcił głową.

– Nie. Sam zrobiłbym to samo. Pięć lat terroru i ze mnie zrobiłoby bojownika. I chyba po to tu przyjechałem. Próbuję po prostu myśleć realistycznie – dodał łagodniej.

– Mylisz się. Jeśli nie pomogą nam Sowieci, pomogą alianci.

W ciemności, która nas otaczała, nie mogłam dojrzeć jego twarzy, ale czułam, że się ze mną nie zgadza. Może wie więcej ode mnie, przecież przyjechał z Ameryki.

– Poleciałem Zuzannie, żeby wstała wcześniej rano i spakowała siebie i dzieci. Zawiozę ich na wieś, żeby to przeczekali. Dogadałem się z Ignacym, jednym znajomym, że się nimi zajmie.

– Na wieś, ale dokąd?

– Do Lasek – powiedział i pocałował mnie w kark.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech, spodziewając się, co zaraz powie.

– Powinnaś do nich dołączyć.

Jego oddech rozgrzało moje ucho.

– Zostanę z tobą.

Staralam się mówić spokojnie, ale za nic nie dałabym się przekonać do wyjazdu.

– Nie mogę znieść myśli, że cię stracę.

– Tu jest moje miejsce. Nie będę o tym dyskutowała.

Pocałowałam jego dłoń. Westchnął.

– W takim razie obiecuj, że będziesz tu jutro, gdy wrócę.

– Obiecuję.

To jedno mogłam mu obiecać, ale nic więcej. Zależało mi na tym, by wziąć udział w powstaniu. Są rzeczy ważniejsze od miłości. Nawet Finn by mnie nie powstrzymał. Jednak ta sprawa musiała poczekać. Był wykończony i chciałam, by udało mu się choć trochę przespać.

Teraz, gdy zdecydowałam o samodzielnym robieniu pierogów, by nie myśleć o niczym innym, mieszam mąkę, sól, jajka i wodę, aż powstaje gładkie ciasto, po czym rozwałkowuję je na stole. Minie godzina, zanim Finn zajędzie na obiad. Niepokoję się, czy rano wszystko poszło dobrze. Czy udało mu się wywieźć panią Kowalską i dzieci poza miasto? Jeśli nie, pewnie już bym o tym wiedziała.

Poranek był przygnębiający. Pani Kowalska wstała o piątej, żeby wszystkich spakować. Wciąż powtarzała, że przenosi się ze względu na dzieci, że gdyby nie to, zostałyby tutaj, nawet gdyby miała z tego powodu zginąć. Basia i Alek wydawali się podekscytowani wizją przejażdżki autem Finna. Tosia trzymała mnie długo w mocnym uścisku.

– Będę tęsknić – powiedziała zapłakana.

– Ja też będę za tobą tęsknić, skarbie. Zobaczymy się niedługo.

Myślałam, że serce mi pęknie. Ujęła mnie ta dziewczynka – może dlatego, że tak mi przypominała mnie samą, zagubioną duszyczkę.

Przepędzam wspomnienia, chwytam blaszany kubek i wycinam kółka z ciasta. Przywykłam już do poczucia dojmującego smutku, który mnie ogarnia. Powtarzam sobie, że dzieci będą tam bezpieczniejsze. Kto wie, co się tu wydarzy?

Na każdym krążku kładę łyżkę jagód z cukrem, po czym składam ciasto i uciskam palcami brzegi. Wrzucam pierogi do gotującej wody na jakieś dziesięć minut, po czym wyławiam je i kładę na talerzu. Jeszcze pół godziny do przyjazdu Finna.

– Ależ tu cuchnie!

Szorstki kobiecy głos kompletnie mnie zaskakuje. Odwracam się. W drzwiach stoi Gerda z pistoletem w ręce i krwistoczerwonymi wargami skrzywionymi w fałszywym uśmiechu.

Patrzy na mnie z dezaprobatą.

– Jak ty tu weszłaś?

Jej widok napawa mnie strachem, ale tak łatwo się nie poddam. Gerda wydaje z siebie krótki, pogardliwy śmiech.

– Stefan dał mi klucz. Swoją drogą, wypadaloby zapytać, co ty sobie myślisz, zabawiając się z moim narzeczonym.

Jestem tak zaskoczona, że nie odpowiadam. Mam olbrzymią ochotę poinformować ją, że krwawy Stefan jest w więzieniu, a Finn jest cały mój, ale dobrze wiem, że to zły pomysł. Jej spojrzenie onieśmiela mnie jeszcze bardziej, gdy pochyla głowę i marszczy brwi. Ona naprawdę uważa, że jestem obrzydliwa.

– Dobrze wiem, co tu porabiacie, więc przejdę od razu do rzeczy, ty mała kurewko.

– Nie masz prawa tak mnie nazywać – mówię wzburzona. Ściska mnie w żołądku.

– Gestapo postąpi z tobą jeszcze gorzej. Czy tego chcesz? Czy chcesz, by spotkało to także Finna?

W jej oczach błyszczy nienawiść.

– Nie rozumiem – mówię, czując ból w sercu.

– Jeśli nie znikniesz stąd w ciągu najbliższego kwadransa, powiadomię Gestapo, że Finn zajął miejsce Stefana. Może o tym nie wiesz, ale mój ojciec jest grubą rybą w Gestapo. On uwierzy mi na słowo, a to skończy się dla Finna fatalnie. Jeśli naprawdę zależy ci na tym człowieku, idź stąd i więcej nie wracaj.

W jej tonie słyszę groźbę. Kręci mi się w głowie. Skąd ona wie o Finnie?

– Co się stanie, gdy odejdę? – mówię przez ściśnięte gardło.

– Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Ja zatrzymam te sprawy dla siebie, Stefan – to znaczy Finn – wyjedzie ze mną do Berlina, tam się pobierzemy i będziemy żyć ze sobą aż do śmierci. Kocham go ponad wszystko, ale jeśli go nie dostanę, będzie musiał umrzeć – dodaje łagodniejszym tonem.

Nie wątpię, że zamierza wcielić ten plan w życie. Finn opowiedział mi o tym, jak wydała własną matkę. Oddycham głęboko, choć spazmatycznie, i zbieram swoje rzeczy. Muszę stąd zmykać, zanim Gerda wezwie Gestapo. Nie mogę ryzykować życia Finna.

– Muszę zabrać z góry kilka swoich rzeczy – mówię, licząc, że uda mi się zostawić dla Finna jakąś wiadomość.

– Nie ma takiej potrzeby. Pójdiesz tak, jak stoisz – odpowiada Gerda twardym tonem. – Ale najpierw napiszesz do niego list.

Wskazuje pistoletem długopis i kartkę leżące na stole, te same, których zamierzałam użyć do napisania listu do mamy i Kubusia.

DWUDZIESTY PIERWSZY

Finn

Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Wandę i przekażę jej, że dzieci wraz z Zuzanną są bezpieczne. Z trudem powstrzymuję się, by nie wybiec od razu z biura. Muszę ją odwieść od udziału w powstaniu i zabrać do Lasek. Nie mogę jej stracić. Tyle że to straszny uparciuch i możliwe, że nie dam rady jej powstrzymać. Co gorsza, jeśli to zrobię, nigdy mi tego nie wybaczy. Jestem rozdarty: chcę ją ochronić, ale też ją rozumiem. Tak naprawdę nic jej nie zatrzyma, tak jak mnie nic by nie zatrzymało, gdybym był na jej miejscu. Kocham ją najbardziej na całym świecie. Ta świadomość rozdziera mi serce.

W domu unosi się miły zapach, ciepły i słodki. Jednak gdy wkraczam do salonu, staję jak wryty. Nie ma tu Wandy. Skręca mnie w żołądku. Gerda siedzi na sofie zdobnej w kwiatowy wzór i piłuje paznokcie. Spogląda na mnie i uśmiecha się jednym z tych swoich złowieszczych uśmieszków.

– Witaj, kochanie – mówi z pogardą w głosie. – Cieszysz się, że mnie widzisz?

Mam już serdecznie dość tych gierek, ale muszę uważać. Wanda pewnie się ukrywa, może nawet słyszy tę rozmowę. Na pewno jest cała i moją rolą jest zadbać, by tak pozostało.

– Ależ oczywiście. Cóż za niespodzianka!

Podchodzę do niej i całuję ją w policzek.

– Wiedziałam, że się ucieszysz – mówi i klepie dłonią w siedzisko obok siebie.

Rozumiem aluzję i siadam, gdzie każe.

– Przyszłam, bo zaszły pewne komplikacje. Przypominasz sobie może portrecistkę *Fräulein von Otenhoff*?

Kręgosłup mi sztywnieje.

– Nie za bardzo. O co chodzi?

Zauważam błysk irytacji w jej oczach.

– Cóż, odwiedziła mnie dziś rano w domu. Pytała o papę, ale że był w pracy, zapewniłam, że przekażę jej wiadomość.

Jej głos dźga mnie prosto w serce jak nóż. Zbieram wszystkie siły, by powstrzymać się od rękoczynów. Siedzę cicho. Jej twarz staje się surowa.

– Powiedziała mi, że tylko udajesz Stefana, a tak naprawdę jesteś jego bratem. Czy to prawda?

Czuję ból w dłoniach. To paznokcie. Sam nie wiem, kiedy zacisnąłem ręce.

– To kłamstwo – mówię przez ściśnięte zęby.

– Nawet przez moment w to nie wątpiłam. Powiedziałam więc tej kobiecie, by się wynosiła i nie powtarzała więcej takich łgarstw, bo Gestapo się nią zajmie.

Wypuszcza z ust krótki, złośliwy śmiech.

– Uciekła z podkulonym ogonem. Na pewno już jej nie zobaczymy.

Dotyka mojego policzka.

– Nie martw się, kochanie. Nie zamierzam powtarzać tych bzdur papie. Przecież ci ufam. Ta kobieta po prostu zazdrościła mi twojej miłości. Widziałam, jak na ciebie patrzyła w Seegarten, gdy rysowała twój portret.

Muszę tańczyć tak, jak ona mi zagra, żeby utrzymać Veichta jak najdalej od nas.

– Dziękuję za twoje zaufanie, kochana – mówię z wymuszonym uśmiechem. Jestem spalony i muszę przerwać swoją misję.

– Przychodzę także z wiadomością od papy – mówi Gerda z pogardliwym wyrazem twarzy. – Chce, bym się tu wprowadziła, dopóki nie wyjadę do Berlina. Mówi, że polscy bandyci coś knują, a w twojej willi będę bezpieczniejsza niż u nas. Czy to ci odpowiada, kochanie?

Mam przemożną chęć wrzasnąć, że nie, wcale mi to nie odpowiada. Zamiast tego uśmiecham się spokojnie.

– Oczywiście, najdroższa. Kiedy się wprowadzasz?

– Jutro rano – mówi z triumfalnym spojrzeniem. – Dziś muszę się spakować. A, papa mówi też, że nie powinnam teraz jechać do Berlina sama. Nalega, żebyś do mnie dołączył.

Ogarnia mnie wściekłość.

– Mnie nic na ten temat nie wspominał.

Co się tutaj dzieje? Gdzie jest Wanda? Czy wszystko z nią w porządku? Nie ma mowy, by sprzedała mnie Gerdzie. Musiał to zrobić ktoś inny. Pierwszą osobą, która przychodzi mi do głowy, jest Manfred. Może wcale nie jest taki niewinny, na jakiego wygląda.

– Prosiłam go, by pozwolił mi przekazać tę wiadomość. Ale ty się wcale nie cieszysz? – mówi, kładąc dłoń na mojej. – Co się dzieje, kochanie?

– Ależ oczywiście, że się cieszę, że będę mógł ci towarzyszyć. Po prostu dziś od rana dokuczają mi bóle głowy.

Ta misja jest skończona. Muszę odnaleźć Wandę i uciec.

DWUDZIESTY DRUGI

Wanda

– **M**uszę tam wrócić dziś w nocy – mówię do Anny. Siedzimy przy stoliku w jej kawiarni. Na ścianie przede mną wisi mój obraz przedstawiający herbaciane róże. Myślę, że Niemcy zdają sobie sprawę, iż coś się kroi. Czy spodziewają się powstania? Jak inaczej wytłumaczyć, że zwykle tak ludna i pełna życia kawiarnia dziś świeci pustkami?

– Tej nocy nie możesz – mówi Anna, zaciąga się papierosem, i patrzy mi uważnie w oczy. – Witek mówi, że powstanie zacznie się o piątej.

– Muszę iść. Gerda dopilnuje, by przeczytał ten liścik ode mnie.

Czuję suchość w ustach. Przygryzam wargę, powstrzymując się przed powiedzeniem na głos tego, co właśnie pomyślałam. Gdy to w końcu mówię, mój głos drży.

– On uwierzy, że go nie kocham.

Anna chwyta mnie za ramię.

– Uspokój się, Wanda. Finn nie jest idiotą. Zna Gerdę i nie da się nabrać na jej sztuczki. Musisz mu zaufać.

Puszcza mnie i opada na krzesło. Znów zaciąga się papierosem i wydycha kłąb dymu. W jej oczach widzę zniecierpliwienie, ale i współczucie.

Wiem, że ma rację. Muszę ufać temu, którego pokochałam. Czemu więc aż tak się martwię? Bo nie ufam Gerdzie. Spodziewam się po niej najgorszego. Bo boję się, że go stracę. Bo wiem, że życie rzadko bywa czarno-białe. Nie wątpię w Finna, ale w to, że da sobie radę z nieprzewidywalnym światem, w którym żyje. Wątpię w okrutnych ludzi, którzy tam zamieszkują. Nie umiem zapanować nad swoimi nerwami.

– Spróbuję tej nocy do niego dotrzeć – mówię zdeterminowana.

– To zbyt niebezpieczne – odpowiada trzeźwo Anna. – Za godzinę się zacznie. To będzie koszmar, Wando. Nie dasz rady przedostać się stąd na Mokotów, a Finn na pewno nie zgodziłby się, byś ryzykowała własnym życiem w tak bezmyślny sposób. Poza tym, kto wie, może Gerda nadal tam będzie. Ta zdradziecka suka jest dziś w najwyższym stopniu gotowości. Zrobi wszystko, żebyś trzymała się z daleka. Zachodzę w głowę, skąd dowiedziała się

o Finnie. Trzeba go stamtąd wydostać. Plan zakłada, że z początkiem powstania ma się znaleźć w ukryciu. Jego misja w roli Stefana już się prawie skończyła.

– To co ja mam robić? – pytam. Kręci mi się w głowie.

– Prześpisz się tu, a jutro rano spróbujesz się przebić na Mokotów. Zamykam dziś kawiarnię, żeby pomóc w powstaniu, ale pójdę jutro z tobą, bo chcę mieć pewność, że dotrzesz tam w jednym kawałku.

Wciska papierosa w popielniczkę.

– O której on zwykle wychodzi rano do pracy?

– Za kwadrans ósma.

Czuję się otepiała i ciężka, gdy myślę, że go dziś nie zobaczę, ale wiem, że Anna ma rację. Nie stać mnie już na bezmyślność.

– Będziemy tam o szóstej – mówi Anna zdecydowanie.

– Gdy zobaczę się z Finnem, wrócę z tobą do powstania – mówię. – Mam przeszkolenie medyczne, więc się przydam. Pracowałyśmy na to tak długo, tak długo czekałyśmy...

– Tak podejrzewałam. Myślę, że tak trzeba zrobić.

Ogląda się za siebie. Jej oczy zatrzymują się na drzwiach wejściowych, w których stoi oficer w mundurze i do niej macha. Wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat.

– Musisz mi pomóc i go zabawić, odwrócić jego uwagę – szepcze Anna, patrząc na oficera i uśmiechając się do niego. – W kuchni i na zapleczu szykują się chłopcy, a to groźna sztuka. Może na nas sprowadzić całe Gestapo, jeśli coś mu się nie spodoba.

Kiwam głową, czując, jak ogarnia mnie strach.

– Co mam robić?

– Zaproponuj, że narysujesz jego portret. To go zatrzyma, a chłopakom da dość czasu. Zawsze przychodzi tu sam i chce, żebym była dla niego na wyłączność. Gdy zostawiam go samego, czasem daje nura do kuchni, niby że mnie szuka. Może coś podejrzewać. To niepokojąca kreatura. A nie powinien wiedzieć absolutnie nic o tym, co tu robimy.

Zostawia mnie przy stoliku i podchodzi do oficera. Siadają trochę dalej ode mnie. Anna mnie przyzywa.

– Panie *Obersturmbannführer*, to moja wielce utalentowana portrecistka – mówi, wskazując mnie gestem. – Rysuje tylko naszych najlepszych gości.

Puszcza do mnie oko.

– Zostawiam pana w jak najlepszych rękach.

Oficer przygląda mi się badawczo małymi, chytrymi oczkami.

– Czy faktycznie zapracowałem na taki honor? – pyta; jego cienkie usta krzywią się ironicznie.

– Nie może być inaczej – odpowiada Anna ze śmiechem. Śmiać się do takiego potwora... –
Proszę mi na chwilę wybaczyć, muszę się przygotować do występu.

Gdy wychodzi, oficer odzywa się do mnie z niekłamany zadowoleniem.

– Proszę dołączyć do mnie i wypijmy razem, zanim zajmujemy się tą jakże nudną pracą.

Uśmiecha się znacząco i od razu wiem, że ten człowiek zwykł dostawać to, czego chce. Zachowuje się przyjaźnie, ale nie potrafię się przy nim rozluźnić. Może alkohol faktycznie pomoże mi przetrwać tę próbę. Oficer napełnia kieliszki, ale zatrzymuje rękę w pół drogi do ust.

– Za co chciałaby pani wypić, *Fräulein*?

Odchrząkuję. Czuję, jak wewnątrz mojego ciała coś drży.

– Za przewagi Trzeciej Rzeszy, oczywiście.

Chwyta moją dłoń i ją całuje. Jego spojrzenie spoczywa na moich ustach. Wygląda na zadowolonego. Podnosi w górę kieliszek i wznosi toast za Hitlera. Idę jego śladem, powstrzymując się przed splunięciem mu w twarz. Alkohol drażni moje gardło. Kaszlę. Oficer uśmiecha się współczująco.

– Lubię mądre kobiety. Pani niemiecki jest perfekcyjny.

Wydobywa papierosa i go zapala. Wypuszcza kłąb dymu.

– Tak perfekcyjny jak pani aryjskie rysy.

– Mój dziadek był Niemcem – kłamię, myśląc tylko o tym, jak bardzo chciałabym, by Anna tu wróciła, bym mogła normalnie odetchnąć.

DWUDZIESTY TRZECI

Finn

Po wyjściu Gerdy pędzę na piętro, licząc, że znajdę tam ukrywającą się Wandę, ale nie ma po niej śladu. Nie wątpię w jej niewinność. To niemożliwe, że ta słodka dziewczyna, ta Wanda, która dla podziemia zniosła nawet tortury, nie wydając kontaktów, mogłaby mnie zdradzić. Gerda kłamie. Ta diablica po prostu postarała się, by Wanda zniknęła z mojego życia. Muszę ją znaleźć i upewnić się, że wszystko z nią w porządku. Oby nie okazało się, że Gerda wyrządziła jej jakąś krzywdę. Muszę skontaktować się z Anną, ale najpierw poszukam w domu jakiejś wiadomości od Wandy.

Szybko natrafiam na złożoną wpół kartkę wciśniętą pod poduszkę. Serce bije mi jak szalone, gdy ją otwieram i widzę pismo Wandy. „Nigdy cię nie kochałam. To było niewłaściwe. Zostawiam cię. Wanda”. Na czoło występują mi krople potu. Nie wierzę, że kobieta, którą kocham ponad wszystko, mogła coś takiego napisać. To musi być kolejna zagrywka Gerdy. Muszę ją znaleźć i wiem, że najpierw powinienem pójść do Café Anna.

Po wejściu do kawiarni wpadam w gęstą chmurę dymu tytoniowego i słodkich zapachów z kuchni, które sprawiają, że burczy mi w brzuchu. W drodze do kuchni słyszę takty *Don Giovanniego* Mozarta, więc zatrzymuję się na chwilę, by spojrzeć na pianistę, ale gdy już to robię, zmieniam się w słup soli. Naprzeciwko mnie, przy jednym stoliku, siedzą Wanda i Veicht. On całuje ją w rękę, ona się do niego uśmiecha, a potem wznoszą toast za Trzecią Rzeszę. Moje serce przestaje bić.

Natychmiast odwracam się i wychodzę, żeby mnie nie zauważyli. Sprzedała mnie Gerdzie, a teraz także Veichtowi. Muszę zniknąć. Jak mogła mi to zrobić? Ale teraz wszystko jest jasne. Skąd Gerda wiedziałaby, że zastąpiłem Stefana, jeśli nie od Wandy? Na pewno nie od Manfreda – gdyby on chciał mnie zdradzić, poszedłby prosto do Veichta. Wandzie straszno było zbliżać się do Szucha po tym, co tam przeszła, więc zamiast tego wydeptała ścieżkę do Gerdy, a potem zgadała się tu z Veichtem.

Dlaczego to zrobiła? Pewnie zaślepiła ją żądza zemsty na Stefanie. Usidliła mnie, sprawiła, że się w niej zakochałem, żeby potem mnie zranić. Gdy zobaczyła, co do niej czuję, zdradziła mnie. A wszystko to w odwecie za to, że Stefan zabił jej ojca. Uwierzyłem, gdy powiedziała

mi, bym nie przeproszał za okrucieństwa Stefana, bo jesteśmy dwiema różnymi osobami. Zapewniała, że nie obwinia mnie za jego uczynki. Ale wszystko to były tylko zagrywki w większej grze, której celem była moja śmierć. Pewnie oczekiwała, że Gerda jej uwierzy i ruszy pędem do Veichta, a gdy tak się nie stało, sama się z nim skontaktowała. Może myśli, że już mnie zabito. Tak po prawdzie, nie miałbym wielkich pretensji, gdyby tak było.

Żyję, lecz moje serce umarło. Jestem jak pusta butelka, którą ktoś cisnął do morza, nie utrzymam już w sobie ani miłości, ani zaufania. Nie, jestem bardziej jak pień drzewa – wcześniej tętniący życiem, a teraz pozbawiony korony. Jestem wrakiem człowieka, który już nigdy nie pozwoli, by ktokolwiek go zranił.

Wracam do willi, wciąż tonąc w smutku, który mnie wypełnia. Wiem, że powinienem zabrać kilka najpotrzebniejszych rzeczy i uciec, zanim przyjdzie po mnie Veicht ze swoimi zbirami. Zatrzymuję się przy drzwiach do sypialni Wandy i stoję chwilę bez ruchu. W końcu wchodzę do środka. Jej zapach jest wszędzie. Wydaje się, jakby miała zaraz tu wrócić. Kładę się na jej łóżku i chowam twarz w jej pościeli. Chyba łatwiej byłoby wiedzieć, że nie żyje, niż spędzić resztę życia ze świadomością, że mnie zdradziła. Była dla mnie wszystkim. Gładkość materiału sprawia, że łzy napływają mi do oczu. Wiem, że już nie zobaczę mojej pięknej Wandy, dziewczyny, która skradła moje serce i mi go nie zwróci. W przyszłości będę wspominał tylko prawdziwą Wandę, tę, która nigdy mnie nie kochała. Wszystko, co było, starannie wykalkulowała, wszystko było ułudą. Wanda z moich snów nie istnieje – ona nigdy nie istniała.

Nie mam siły wstać z łóżka, dalej wdycham jej zapach. A jednak nie mogę tracić więcej czasu. Skoro Wanda mnie zdradziła, muszę zakończyć swoją misję. Gerda zna prawdę. Jest młoda i naiwna, wierzy, że pojedzie z nią do Berlina. To powstrzymuje ją przed wydaniem mnie Veichtowi. Jest też nieprzewidywalna. No, ale przecież teraz Veicht i tak mnie dopadnie. Pewnie Wanda dalej siedzi z nim w kawiarni i opowiada o mojej misji.

Staczam się z jej łóżka. Nie chcę już jej więcej widzieć ani nawet o niej myśleć. Dla mnie umarła. Postanawiam odnaleźć Manfreda na kwaterze, którą dzieli z paroma żołnierzami. Żegniam się z nim na podwórzu, ale błaga mnie, bym wziął go ze sobą. Tak bardzo chce dołączyć do powstania. W końcu się zgadzam.

Na ulicach już się zaczęło. Megafony dudnią, że Polacy mają zostać w domach i że każda napaść na żołnierzy niemieckich będzie surowo karana. Tłum nie wydaje się tym przejęty. Grupki młodzieży biegają w różnych kierunkach, niektórzy z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. Z ich twarzy bije wiara, coś, czego w tym narodzie od dawna brakowało. To chyba początek powstania.

Moje podejrzenie potwierdza się, gdy słyszę pierwsze wystrzały około piątej. Witka nie ma w mieszkaniu, ale dostałem od niego jakiś czas temu zapasowy klucz, więc wchodzimy

i przebieramy się w cywilne ciuchy. Nie znajdujemy tam ubrań w naszych rozmiarach, muszą nam wystarczyć te, które tam są. Gdy wychodzimy z powrotem na ulicę, w końcu wpadamy na Witka.

DWUDZIESTY CZWARTY

Wanda

Od piątej po południu na ulicach narasta kanonada. W nocy nie mogę zasnąć, więc nasłuchuję tych wszystkich odgłosów, wpatrując się w ciemność mieszkania Anny. Czekaliśmy na ten moment od tak dawna. Po pięciu długich latach terroru w naszych sercach znów kiełkuje nadzieja.

Mimo niewyspania wstaję pełna energii dzięki adrenalinie. Plan jest prosty: znaleźć Finna, wyjaśnić mu, co się stało, przestrzec przed knowaniami Gerdy i dołączyć do walki. Reszta w rękach Boga.

W drodze na Mokotów towarzyszą nam powstańcy i kurierzy z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. Kanonada trwa w najlepsze. Ludzie wznoszą barykady z tego, co popadnie. Niektórzy chwytają drewniane deski, inni meble, a jeszcze inni wrywają bruk z ulic za pomocą dziwacznych metalowych narzędzi. Przemymy naprzód, trzymając się ścian domów i ostrożnie wyglądając zza rogów. Ulice zasnuwają dymy wybuchów. W końcu udaje nam się przedostać na ulicę, przy której mieszka Finn.

– Czekaj! – szepcze Anna i chwyta mnie za rękę. – Zatrzymajmy się i popatrzmy parę minut, żeby upewnić się, że jest bezpiecznie.

Przystajemy za drewnianą budką po drugiej stronie ulicy. Wkrótce do willi podjeżdża czarny mercedes i zatrzymuje się na wysokości furtki. Chwilę potem ze środka wyłania się Gerda. Furtka otwiera się szeroko. Pojawia się w niej Finn w mundurze. Wypełnia mnie nagle ogromna tęsknota, ale gdy Gerda podbiega do niego i zarzuca mu ramiona na szyję, serce mi pęka. Całują się krótko, choć dla mnie trwa to wieczność, podczas gdy kilku uzbrojonych żołnierzy wypakowuje z samochodu walizy i kufry. Bagaż Gerdy. Wprowadza się do Finna.

Czuję rękę Anny na plecach.

– Nie wolno ci zapominać, że on ma do wykonania własną misję. Musi tańczyć, jak mu zagrają. Musi udawać, żeby jego prawdziwa tożsamość pozostała tajemnicą dla Gestapo.

Czuję, jak po policzkach płyną mi łzy. Nie odwracam się.

– Masz rację – szepczę w odpowiedzi, bardziej do siebie niż do niej. – Po prostu ratuje misję.

W środku czuję jednak dojmującą, bolesną pustkę, która ciągle się rozszerza. W końcu zostaje tylko ona.

– Chodźmy stąd – mówię.

DWUDZIESTY PIĄTY

Finn

2 sierpnia 1944

Rano wracam do willi Zuzanny, upewniwszy się najpierw, czy nie jest pod obserwacją Gestapo. Zabieram kilka najpotrzebniejszych szpargałów, o których wczoraj zapomniałem, bo przestałem logicznie myśleć. Właśnie wychodzę, gdy przed furtką pojawia się samochód Gerdy, jakby tam na mnie czekał. Już za późno, by uciekać, więc przyklejam do twarzy uśmiech, udając, że cieszy mnie jej widok. Ku mojemu całkowitemu zdziwieniu podbiega do mnie i całuje w usta. Gdy widzę, że kierowca wyładowuje z samochodu jej kufry, wiem już, że znalazła sposób, by powstrzymać Veichta. Gerda zawsze dostaje to, czego chce, i tym razem jest tak samo: namówiła go, by mnie oszczędził, żeby mogła mieć swój wymarzony ślub. Tyle że to nie ma żadnego sensu. Czyż ona nie kochała Stefana? A teraz, gdy już wie, że nim nie jestem, czemu tak jej zależy, żeby zatrzymać mnie przy sobie? W tym momencie nic mnie już nie zdziwi. Sama myśl, że tak bardzo jej na mnie zależy, przyprawia mnie o dreszcz. Może gdyby Stefan bardziej ją szanował i mniej czasu spędzał w burdelach, wydałaby mnie zaraz po odkryciu mojej prawdziwej tożsamości. Zło, które zwykł czynić mój brat, choć raz się czemuś przysłużyło.

– O której wrócisz, najdroższy? – pyta.

– A o której mam wrócić? – mówię, składając usta w przytulny uśmiech.

Gerda promienieje.

– Jak najwcześniej!

Żegnamy się, po czym umykam prosto do centrum, do Manfreda i powstańców. Witek dołączył nas do batalionu „Zośka”. Jego nazwa upamiętnia jednego z dowódców podziemia, który nosił właśnie taki pseudonim.

Euforia po odniesieniu pierwszych sukcesów jest wspaniała. Nasza drużyna wyzwoliła żydowskich więźniów z KL Warschau, z obozu nazywanego „Gęsiówką”. Wyciągnęliśmy stamtąd ponad trzy setki ludzi, a większość z nich dołączyła do naszej walki. Choć sam z początku podchodziłem do niej sceptycznie, teraz to rozumiem. Po tylu latach terroru nadszedł dla Polaków czas nadziei. Wierzą, że nawet jeśli Sowieci z jakiegoś powodu zawiodą,

pomoże im w tej walce reszta świata. W głębi ducha czuję, że to się nie wydarzy, ale bardzo chcę wierzyć razem z tymi, którzy mnie tu otaczają.

Od samego początku największym problemem jest to, że Polacy w gruncie rzeczy nie mają broni. Nawet alianckie rzuty nie mogą temu zaradzić. Niemniej nasza walka trwa, tak jak trwa nasza wiara w wyzwolenie.

Któregoś dnia Witek pomaga mi przesłać zaszyfrowaną wiadomość do Londynu. Natychmiast dostaję odpowiedź, by czekać w Kampinosie piątego października. Walki trwają aż do początku miesiąca. Polacy kapitulują drugiego października. Pomoc nie przyszła ani od Sowietów, ani od reszty świata. Według moich rachunków życie straciło kilkaset tysięcy mieszkańców Warszawy. Wśród nich był Witek.

Widziałem, jak zginął. To była śmierć szybka i bolesna. I pechowa. Przechodził przez barykadę, gdy snajper ze szczytu jednego z wyższych budynków trafił go prosto w serce. Patrzyłem na to bezradnie z drugiej strony ulicy. Kiedy do niego dotarłem, już nie żył.

Witek był dla mnie więcej niż przyjacielem. Obdarzyłem go zaufaniem, jakiego nie okazałem nikomu innemu. Przede wszystkim jednak niezmiernie go szanowałem. Poświęcił tak wiele dla ojczyzny, w końcu także własne życie. Nie zapomnę go do śmierci.

Manfred i ja musimy jakoś dotrzeć do wskazanego miejsca w Kampinosie. To, że zostawiliśmy mundury w mieszkaniu Witka, okazuje się dla nas ratunkiem. Gdy tam docieramy, nie posiadamy się z radości, bo budynek jest nienaruszony. Wkładamy mundury i wchodzimy między niemieckich żołnierzy. Nikt nie odważa się odezwać nieproszony do kapitana, w pobliżu nie ma też nikogo wyższego rangą. Ciągle jednak lękam się, że natrafię na znajomą twarz.

Po kapitulacji ze spalonego miasta wychodzą tłumy cywilów. Idą do obozu tymczasowego w Pruszkowie, na zachód od miasta. Hitler zgodził się traktować powstańców godnie, honorując konwencję genewską, ale kto by mu wierzył? Krew się we mnie gotuje, gdy pomyślę o tym, jak diaboliczni są nasi wrogowie. Martwię się, jaki los może czekać tych odważnych, niewinnych ludzi.

Choć stoję ramię w ramię z Niemcami, trudno mi patrzeć na partyzantów wychodzących z miasta. Boli mnie, że jestem po drugiej stronie. Ciągle ściska mnie w piersi. Wojna jest prawie skończona, a jednak ci ludzie wciąż idą w nieznaną. Z drugiej strony, mogą się uważać za szczęściarzy: zbyt wielu już zapłaciło najwyższą cenę.

Nieco później posilamy się zupą wydawaną przez niemiecką garkuchnię na podwórzu jednej z kamienic, otoczonym szkieletami i zgliszczami budynków. Szczęśliwie nikt nie zwraca na nas uwagi. Najwyraźniej wszyscy mają nas za swoich. Siedzimy na uboczu, pod wierzbą.

– Manfred, potrzebny nam samochód – szepczę. – Masz jakiś pomysł, skąd go wytrzasnąć?

Kilka ostatnich dni było dla mnie wyjątkowo ciężkich, ale muszę się skupić.

– Mówiłeś coś o tym, że twój tata był mechanikiem i że często mu pomagałeś?

Manfred kiwa głową.

– Przy Długiej widziałem sznur aut, niedaleko kawiarni. Może powinniśmy się tam przejść.

– Zróbmy to teraz, skoro inni są zajęci jedzeniem.

Wstaję i strzepuję okruchy z munduru.

– Czas przejść się ulicami i upewnić, czy nie ukrywają się tam jeszcze jakieś polskie świny – mówię na głos, żeby inni mnie słyszeli. Kiwam na Manfreda, by szedł za mną.

Manfred salutuje.

– Tak jest, panie kapitanie.

Przydałoby się wiadro wody, by zmyć z twarzy cały ten kurz. Nie mogę się doczekać wyjazdu z tego obumarłego miasta. Mam już dość swądu płonących budynków. Wypełnia moje płuca i dusi. Krótkie opady niewiele tu pomagają. Warszawa stoi w ogniu podsycanym krwią Polaków i przyjdzie taki czas, że ci, którzy go wzniecili, usmażą się w ogniu piekielnym. Jestem tego pewny.

– Panie kapitanie, proszę spojrzeć, tam stoi trójkołowiec – szepcze Manfred, chwytając mnie za rękę.

– Dasz radę go uruchomić bez kluczyka? – pytam bez nadziei.

– Jeśli odpala na kopa – mówi, śmiejąc się jak osioł.

Irytuje mnie to.

– Pytam na serio, Manfredzie.

– Niech się pan nie martwi, panie kapitanie. Proszę tu zostać i patrzeć, czy ktoś nie idzie, a ją tę ślicznotkę rozruszam.

Uśmiecha się szeroko, pokazując pełen garnitur zębów. Wcale mnie to nie pociesza, ale kiwam głową i chłopak rusza do akcji. Kilka minut później, zgodnie z zapowiedzią, podjeżdża do mnie na motocyklu, wciąż się uśmiechając.

– Proszę wsiadać, panie kapitanie.

Kręcę głową, ale wchodzę do budki.

– Wiesz, gdzie jechać?

– Nie do końca.

– Jedź na północny wschód do Miodowej, potem do Wisły – mówię.

Pamiętam drogę, którą wiozł mnie Ignacy, i to, że szedłem ulicą Mickiewicza, a potem do Café Anna. Teraz, gdy miasto jest zniszczone, będzie znacznie trudniej znaleźć drogę.

– Jeśli nas zatrzymają, ja rozmawiam – dodaję.

Przez dłuższy czas nie napotykamy żywej duszy, ale gdy skręcamy na zachód, w stronę Lasek, od razu nadziewamy się na patrol.

– Mamy rozkazy nie przepuszczać nikogo w tym kierunku – mówi nam żołnierz Wehrmachtu z karabinem w ręku. Nie wygląda na młodzieniaszka i wydaje się bardzo czujny i poważny.

Odnoszę wrażenie, że nie uda mi się go przekonać, by nas przepuścił.

– Wujek Werner! – krzyczy nagle Manfred ze śmiechem, kompletnie mnie zaskakując. – A co ty tu robisz?

Z początku mężczyzna patrzy niepewnie, ale wkrótce na jego twarzy zaczyna się malować radość.

– Manfred. No proszę! – mówi, patrząc na niego przyjacielsko bładoniebieskimi oczami. – Nie słyszałem o tobie, odkąd odeszła twoja *Mutti*.

To ostatnie słowo wypowiada ściszym głosem.

– Twoja ciotka i ja bardzo się o ciebie martwiliśmy. Do diabła, nawet żeśmy cię szukali. A teraz jesteś tu!

Manfred wzdycha.

– No wiesz, nie zostało mi już nic oprócz wstąpienia do armii.

Odchrząkuję, wiedząc, że taka rozmowa może potrwać całkiem długo. Może uda się przekonać tego człowieka, by nas przepuścił, zanim zainteresuje się nami kolejny żołnierz i jeszcze bardziej skomplikuje nam życie. Manfred wzrusza ramionami.

– Dobrze cię widzieć, wujku, ale obowiązki wzywają.

Gestem wskazuje na mnie.

– Muszę bezpiecznie dowieźć kapitana do wsi Laski. To sprawa najwyższej wagi.

Pochyla się i kontynuuje szeptem.

– To gestapowiec pod przykrywką, ale dla dobra misji nikt nie może o tym wiedzieć.

Wujek Manfreda wyprostowuje się i salutuje mi.

– Oczywiście. Ruszajcie – mówi, po czym spogląda na Manfreda dużo ciepłej. – Nie chowaj głowy w piasek, gdy już będziesz w domu. Twoja ciotka bardzo się ucieszy, jak cię zobaczy.

Jedziemy dalej, a ja czuję, jak zeszło ze mnie całe napięcie. Co za fuks! Klepię Manfreda w ramię. Ze wszystkich Niemców w Warszawie trafił nam się akurat jego krewniak. Przedziwny zbieg okoliczności, ale nie narzekam. Nie wątpię, że mogliśmy trafić dużo gorzej. Nawet nie musieliśmy się legitymować, że już nie wspomnę o okazywaniu obowiązkowej przepustki na wyjazd z Warszawy, której oczywiście nie mamy.

Kusi mnie, by podjechać do Lasek i odwiedzić Ignacego, zobaczyć, jak się mają Zuzanna i dzieciaki. To byłoby jednak zbyt niebezpieczne. Ostatnie, czego mi trzeba, to ściąganie uwagi

na starego przyjaciela.

Jest już ciemno, gdy docieramy we wskazane miejsce. Zostawiamy motor w kępie wierzb i odnajdujemy strefę zrzutu, gdzie wylądowałem w kwietniu. Przysiadam kawałek dalej przy jodle i rozkoszuję się leśną ciszą. Powietrze jest rześkie i pełne zapachu igieł. Co za kontrast wobec atmosfery, która panuje obecnie w Warszawie. Po wielu tygodniach powstańczych zmaganiań kompletnie zapomniałem, że na świecie istnieją takie oazy spokoju. Moje złamane serce chłonie go łapczywie. Czy dam radę wrócić do normalności po tym, co przeszedłem w powstaniu, gdzie nieustannie towarzyszyła mi śmierć? Widziałem tylu młodych ludzi padających jak muchy. Nigdy już nie będę taki sam.

– Kapitanie – szepcze Manfred, ziewając. – Czy mogę się chwilkę zdrzemnąć?

– Jasne, chłopcze, obudzę cię, gdy coś usłyszę.

Dociera do mnie nagle, jak bardzo jestem wyczerpany, ale nie mogę sobie pozwolić na sen. Ktoś musi trzymać wartę. Nawet nie wiemy, czy przylecą jutro. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby przylecieli dziś, a może nawet już tu byli. W czasie wojny prawie żaden plan nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością.

Mam ochotę rozpalić ognisko. Zimno jest takie, że cały się trzęsę. Nie mogę – jesteśmy zbyt blisko celu, by teraz nas pochwycono. Polscy partyzanci też są dla nas groźni, bo nie mamy żadnych dowodów, że jesteśmy po ich stronie. Musimy się kryć, póki nie przybędą po nas Anglicy. Nawet nie chcę myśleć, co się stanie, jeśli się nie zjawią. Przecież wiadomość z Londynu przyszła już dość dawno temu.

Noc się dłuży i w którymś momencie moje myśli odpływają ku Wandzie. Nie myślę o jej zdradzie; wspominam to niebiańskie uczucie, gdy pierwszy raz się kochaliśmy. Była tak słodka i tak wrażliwa na każdy mój dotyk. Przysięgłem sobie wtedy, że nigdy nie pójdę do łóżka z inną. Przysięgłem sobie, że zrobię wszystko, by ocalić nas oboje, i że nigdy jej nie zostawię. Ależ się myliłem.

Teraz, gdy poznałem jej drugie oblicze, moje serce zmieniło się w kamień. Wciąż tak trudno mi w to uwierzyć, ale gdy zobaczyłem, jak wznosi toast z Veichtem, cały mój świat runął. Z początku nie potrafiłem się nawet na nią wściec. Za bardzo mnie to zabolalo. Gniew przyszedł z czasem. Teraz, w ciemności lasu, dopadło mnie inne uczucie: nostalgia. Nienawiść miesza się z tą niechcianą tęsknotą, która rozsiewa ból po całej mojej duszy, w każdym zakątku mego ciała. Kobieta, którą kochałem tak, że nie da się tego opisać, wybrała zemstę za okrutne zbrodnie mego brata.

Gdy nadchodzi ranek, decyduję się na przebieżkę po lesie, wciąż nasłuchując. Chłód październikowej nocy wytrząsł ze mnie całe ciepło. Ruch znacznie pomaga. Gdy wracam, Manfred właśnie się przeciąga.

– Może się trochę rozruszasz? Tu jest bardzo spokojnie.

Manfred się uśmiecha.

– Szkoda, że nie mamy jedzenia.

Kiwam głową.

– Musimy się kryć do zmroku, żeby nikt nas nie zauważył.

Mam jeszcze trochę wody w manierce, więc mu ją podaję. Manfred pije łąpczywie.

– Spróbujmy poszukać grzybów. Pewnie rosną tu te same co i w Niemczech, nie?

– Umiem rozpoznać te jadalne – mówi, patrząc na mnie z entuzjazmem.

W ciągu tych dwóch dni znajdujemy w pobliskiej brzezince kilka borowików. W smaku są dość orzechowe, nawet trochę przypominają mięso. Rozkoszuję się każdym promieniem słońca na łące między drzewami. Myśl o tym, że czeka nas kolejna chłodna noc, skłania mnie do przedłużenia spaceru, nim znów skryję się w cieniu lasu.

Ta noc szybko okazuje się jednak inna od poprzedniej. Gdy tylko się ściemnia, z wysoka dobiega mnie znajome pomrukiwanie, które wytrąca mnie z zamyślenia. Czuję, jak buzuje we mnie adrenalina. Potrząsam Manfredem.

– Wstawaj, chłopcze, słyszę samolot!

Hałas narasta.

– Musimy biec na łąkę i rozpalić ogień, bo nas przegapią.

Biegniemy do rozstawionego wcześniej ogniska z suszu i małych gałązek. Doskakuję do niego i rozpalam ogień. Machamy, ile się da, ale dopiero gdy samolot zniża lot, wiem, że nas widzą. Wdrapujemy się na pokład, pilot podrywa maszynę i lecimy do Londynu.

DWUDZIESTY SZÓSTY

Wanda

Październik 1944

Rozdzielono nas z Anną na samym początku powstania. Ją ściągnięto na Stare Miasto, a ja zostałam pielęgniarką w szpitalu na Mokotowskiej – tata ćwiczył ze mną pierwszą pomoc w każdej wakacje i w końcu się to przydało. Jak wielu innych wierzyłam, że walki potrwać najwyżej kilka dni. Alianci przybędą nam przecież z pomocą. Jakże się myliliśmy. Minęło już półtora miesiąca i jesteśmy o wiele bliżej całkowitej klęski niż zwycięstwa i wyzwolenia.

Przemierzając się wśród ruin, ciągle czuję obecność Finna. Myśl o nim dodaje mi sił. Staram się wymazać z pamięci widok jego pocałunku z Gerdą – wciąż kłuje mnie w serce. Powtarzam sobie w kółko, że takie były jego wytyczne, że miał się upewnić, iż Gerda będzie po jego stronie. Nie wątpię, że przejrzał jej grę i zignorował liścik, który kazała mi napisać. Znajdzie mnie, gdy skończy się ta okropna wojna. Trzeba tylko przeżyć.

W przepełnionym szpitalu nie ma czasu na nudę. Krążę od jednej do drugiej sali palona wstydem, ilekroć przełożona odeśle mnie na odpoczynek. Do tego stopnia przywykłam już do zapachu karbolu i spirytusu, że nie potrafię sobie wyobrazić życia bez nich. Są jednak rzeczy, do których nigdy nie przywyknę. Jedną z nich są przeraźliwe jęki pacjentów, kruszące ducha dźwięki, które towarzyszą nam w dzień i w nocy. Staramy się pomagać wszystkim, ale większość rannych dociera do nas w tak fatalnym stanie, że zostaje nam tylko potrzymać ich za rękę, by ulżyć nieco w drodze na drugą stronę.

– Wando, doktor Wrycki woła cię do zabiegu – rzuca ruda pielęgniarka, wbiegając do pokoju. – Będzie operował chłopca, którego właśnie przynieśli.

– Ale ja tu nie skończyłam.

– Skończę za ciebie – mówi i wyjmuję mi z ręki miskę z zupą.

– Dzięki, Moniu – odpowiadam i wybiegam, szukając Wryckiego.

Gdy dostrzegam ciemne dołki pod wyłupiastymi oczami lekarza, dociera do mnie, jak bardzo jestem wykończona. Jak my wszyscy jesteśmy wykończeni. Łysy lekarz wskazuje mi pacjenta na stole.

– Chłopak trafił do nas nieprzytomny, z wysoką gorączką z zainfekowanej rany. Tkwi tam pewnie jeszcze kawałek pocisku. Spróbujmy go połatać!

Spoglądam na pacjenta i czuję ukłucie w sercu. To Jacek, rudy riksarz. W świetle padającym z okien wydaje się bardzo kruchy.

– Przeżyje?

– Nie wiem – odpowiada znużony lekarz. – Jest młody, więc może da radę.

Asystuję Wryckiemu, gdy wyciąga odłamki pocisku z rany Jacka i ją zaszywa.

W kolejnych dniach Jacka wciąż trzyma gorączka, a gdy otwiera oczy, nie reaguje na żadne bodźce. W końcu, gdy zatrzymuję się któregoś dnia przy jego łóżku, widzę, że rozbudził się i rozgląda dookoła. Patrzy na mnie jakby zagubiony, po czym wpada w panikę. Chwytam go za ramię.

– Jesteś bezpieczny, Jacku. Jesteś w szpitalu.

– Panna Wanda? – szepcze. – W szpitalu? Co się stało?

Dotykam jego czoła.

– Gorączka przeszła. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiecham się do niego.

– W twojej ranie zostały odłamki pocisku i wdała się infekcja. Potrzebna była operacja. Jak się teraz czujesz?

– W gruncie rzeczy dobrze, tylko pić mi się chce – mówi przez zaschnięte usta.

Podbiegam do kuchni ze szklanką, by napełnić ją wodą z wiadra, i stawiam na tacy obok miski krupniku. Patrzę zadowolona, jak Jacek duszkiem wychyla pół szklanki.

– Zwolnij! Jak się będziesz spieszył, to znowu się pochorujesz.

Chwytam miskę i karmię go łyżką.

– Dobrze ci idzie, Jacek. Zróbmy przerwę. Za jakiś czas wrócę, to dokończysz zupę.

Układa się z powrotem na legowisku i wzdycha.

– Dziękuję, panno Wando. Jestem szczęściarzem, że tu trafiłem.

– Na zdrowie – odpowiadam, otulając go kocem. – Teraz się prześpij.

Zbieram się do odejścia, gdy łapie moją rękę.

– Muszę przesłać wiadomość do moich. Pewnie się o mnie martwią.

Troska w jego oczach chwyta mnie za serce.

– Oczywiście. Wymyślę coś, obiecuję...

Nagle z zewnątrz dobiegają nas odgłosy silników. Moja dłoń mocno ściska metalową ramę łóżka Jacka. Chwilę później do pokoju wpada grupa niemieckich żołnierzy z bronią w ręku. Za nimi wparowuje gruby mężczyzna w mundurze SS. Przechadza się przez chwilę, po czym stwierdza:

– Co za chlew!

Odwraca się do żołnierzy.

– Wystrzelać wszystkich.

Zastygam w bezruchu. Oficer SS właśnie opuszcza pokój, gdy Helmut, ranny niemiecki żołnierz, podnosi się z legowiska.

– Jestem oficerem i domagam się, by cofnął pan ten rozkaz – mówi po niemiecku. – Uratowano mi tu życie. Nie zgadzam się, by skazał pan wszystkich na śmierć.

Grubawy oficer odwraca się i przygląda młodemu Niemcowi z zabandażowaną głową.

– Oczywiście – odpowiada, uśmiechając się półgębkiem. – Cóż za miła niespodzianka, spotkać w takim miejscu rodaka. Przychyliam się, rzecz jasna, do pańskiej prośby.

Oddycham z ulgą.

– Każdy, kto może chodzić, ma zejść na podwórze – mówi głośno przed odejściem. – Musimy was stąd ewakuować.

Helmut wstaje i patrzy na mnie.

– Będzie dobrze, daję słowo – mówi z uśmiechem. – Dziękuję za opiekę.

Odchodzi. Tymczasem żołnierze zaczynają wypychać ze szpitala zdezorientowanych pacjentów. Ranny Niemiec może i nas ocalił, ale czuję, że na tym się nie skończy. Chwytam Jacka za rękę.

– Chodź, Jacek, musimy stąd wyjść.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie dam rady iść. Jestem za słaby.

– Pomogę ci.

Żołnierze przepuszczają nas. Idziemy na podwórze.

– Co powiedział tamten Niemiec? – pyta Jacek.

– Ocalił nas – szepcze, czując, jak ogarnia mnie narastająca panika.

Na dworze jest ciemno, z niskich chmur siąpi deszcz. W piersi czuję pustkę. Na podwórzu ludzie stoją z opuszczonymi ramionami, przygarbieni. Nikt nie wierzy, że Niemcy nas oszczędzą.

Nagle z budynku dobiega nas odgłos wystrzałów. Idzie falą, z przerwami, jakby żołnierze przechodzili z pokoju do pokoju i strzelali do każdego, kto tam został. Serce mi krwawi. Ludzie płaczą i modlą się. Chwytam mocniej rękę Jacka, nie wiedząc, co robić i gdzie schować oczy. Ogarnia mnie poczucie winy, że zostawiłam tam przykutych do łóżek pacjentów. Nie widzę nigdzie Moniki ani doktora Wryckiego. Czyżby zostali w środku?

– To niemożliwe – szepcze Jacek i zaczyna szlochać.

– Teraz nasza kolej – mówi ktoś w tłumie.

Dookoła nas stoją zbrojni w pistolety maszynowe żołnierze, więc nikt nie rwie się do ucieczki. To pewna śmierć. Próbuje wszystkich uspokoić.

– Helmut, Niemiec ze szpitala, prosił, żeby nas oszczędzili. Chyba dlatego kazali nam tu wyjść.

Gdy kończę mówić, czuję, jak ulatują ze mnie wszystkie siły. Kogo chcę przekonać? Siebie czy ich?

Okazuje się jednak, że mam rację. Żołnierze prowadzą nas na ulicę i wpychają w tłum ludzi wychodzących z Warszawy. Powstanie się skończyło, to jasne. I to my przegraliśmy.

– Pomogę ci – słyszę zza pleców głos Moniki. Sanitariuszka chwyta drugą rękę Jacka.

– Dzięki – mówię, ciesząc się, że ją widzę. – Gdzie doktor Wrycki?

Zatrzymuje się. W jej oczach widzę taki porażający smutek, że zaczynam się niepokoić.

– Został z innymi.

Czuję, jakby ktoś mnie zdzielił obuchem.

– Bydlaki – mówię szeptem i ocieram łzę spływającą mi po policzku.

Nigdy nie zapomnę tego deszczowego dnia. Miasto ogarnęła żałobna cisza, która przenika wprost do mojego serca. Ścisza mnie w gardle, gdy mijamy szkielety budynków z dziurami zamiast okien i ulice poznaczone krzyżykami mogił. Spalone miasto dla wielu stało się cmentarzem. A wokół majaczą aroganckie oblicza Niemców nadzorujących naszą ewakuację.

Rozpoznaję w tłumie kobietę w średnim wieku z czarną chustą na głowie: kuzynka Witka. Wyjaśnia mi, że wyprowadzają nas z Warszawy, bo taki postawili warunek, gdy podpisaliśmy kapitulację. Niemcy w zamian zgodzili się traktować nas zgodnie z konwencją genewską, ale kto wie, jak to się dla nas skończy. Trudno mi zaakceptować fakt, że doszło do kapitulacji. Zbyt wielu było takich, którzy za przyszłe zwycięstwo i wolność zapłacili najwyższą cenę. A mimo to przegraliśmy.

Wykorzystujemy ogólny chaos i mieszamy się z tłumem cywilów idących do obozu w Pruszkowie. Tam zatrzymujemy się na kilka tygodni. Warunki nie są żadną miarą szpitalne, ale Jackowi potrzebny jest przede wszystkim odpoczynek. Śpimy stłoczeni w wielkiej hali. Krążą pogłoski, że zesłają nas na roboty do Niemiec. Uraz Jacka i fakt, że pozbyłam się pielęgniarskiego kitla, sprawiają, że zaliczamy się do szczęściarzy zwanych cywilami. Gdy przyszliśmy, Niemcy nas posegregowali; każdy, kogo podejrzewali o udział w powstaniu, został odstawiony na bok. Później wywieźli ich dalej. Kto wie, co się z nimi stało.

Boję się zesłania do obozu pracy w Niemczech, więc gdy dociera do mnie wieść, że niemiecki lekarz wystawia zezwolenia na opuszczenie obozu wszystkim, którzy są zbyt schorowani, by pracować, daję strażnikowi złoty pierścionek – ten, który dostałam od cioci Krysi, gdy skończyłam osiemnaście lat. Strażnik prowadzi nas do hali, w której zasiada pan doktor.

– Ja będę mówić – szepczę do Jacka, który po kilku tygodniach odpoczynku wygląda już znacznie lepiej. – Ty udawaj, że cię niemiłosiernie boli. Krzycz, jęcz, że już nie wytrzymasz.

Zwłaszcza gdy spróbuje dotykać twojej rany.

Jacek kiwa głową.

– Jasna sprawa, panno Wando. A co z panią?

Patrzy na mnie zatroskany swymi niebieskimi oczami. Prawda jest taka, że on ma sporą szansę na zwolnienie ze względu na stan zdrowia, ale w moim przypadku sytuacja jest dużo bardziej skomplikowana. Z punktu widzenia Niemców jestem w doskonałej formie, by dla nich pracować.

– Mam coś, co może mi pomóc – stwierdzam i klepię kieszeń, w której trzymam pewną fotografię. – Zobaczymy!

Gdy nadchodzi nasza kolej, unoszę brodę i nawet nie myślę o tym, ile adrenaliny krąży teraz po moim organizmie. Im mniej będę myślała i im śmieiej działała, tym większe będą nasze szanse. Gruby doktor o czerwonych policzkach nawet na nas nie patrzy. Skrobie coś na kartce.

– Tak?

Nie daję się zniechęcić jego surowym tonem i sprawę Jacka zamykam raz-dwa. Podaje mi wypełnione zwolnienie bez badania, wystarczy, że rzucił okiem na ranę.

– Za to pani, młoda damo, wygląda na najzupełniej zdrową – mówi i czka śmiechem. – Niewątpliwie pani perfekcyjny niemiecki pomoże pani znaleźć adekwatne zatrudnienie.

– Jest pan bardzo miły, panie doktorze, ale widzi pan, ten chłopiec nie ma nikogo, kto by się nim zajął i doprowadził z powrotem do zdrowia.

– A to już nie moja sprawa. Zajmuje pani czas innych pacjentów, którym jestem potrzebny. Patrzy teraz na mnie surowo.

– Proszę wyjść – dodaje z groźbą w głosie.

Unoszę brodę i wyciągam z kieszeni małą fotografię, którą nosiłam ze sobą od dawna na wypadek, gdybym wpadła w tarapaty.

– Ciekawi mnie, co nasz kochany Führer powiedziała by na to, jak mnie tu potraktowano.

Kładę przed nim zdjęcie. Widnieje na nim sam Führer; ściska moją dłoń, jakby mi czegoś gratulował.

– Pamiętam, jaki był dla mnie miły.

Twarz jasnowłosego lekarza rozjaśnia się, gdy patrzy na zdjęcie. Oczywiście szanse, że mi pomoże, są niewielkie, ale na szczęście zaraz się uśmiecha.

– Wygląda tu pani bardzo młodo – mówi, spoglądając na mnie. – Tak czy siak, jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję. Byłam zaszczycona, mogąc go spotkać. Mówił mi, że będzie o mnie pamiętał. Podpieram kłamstwo znaczącym spojrzeniem.

– Trzymam go za słowo!

– Jemu warto ufać – mówi i oddaje mi fotografię. – Proszę ją zachować. Może jeszcze ocali pani skórę.

Siada za biurkiem i wypisuje kolejne zezwolenie. Czuję się lekka jak piórko. Będę mogła wyjść z obozu! Ogarnia mnie uczucie ulgi, choć przecież lekarz wciąż może zmienić zdanie. Gdy oddaje mi papier, szczerze mu dziękuję i wychodzimy.

– Panno Wando, skąd pani ma to zdjęcie? – pyta Jacek, gdy idziemy z powrotem do naszej hali.

– Możesz być pewny, że nie jestem zdrajczynią – odpowiadam, trzymając go za ramię. – Nienawidzę Hitlera tak samo jak ty. Gdy byłam w gimnazjum, pojechałam do Niemiec na finał turnieju międzynarodowego. Tak się złożyło, że kanclerz Adolf postanowił uświetnić okoliczność i odwiedził szkołę. Zajęłam pierwsze miejsce, więc osobiście mi pogratulował. Nie miałam wtedy pojęcia, z kim mam do czynienia.

– Ale historia!

Kiwam głową.

– To Finn mi doradził, żebym trzymała to zdjęcie przy sobie, póki wojna się nie skończy, tak na wszelki wypadek.

Wzdycham na myśl o pięknej twarzy Finna. Bardzo za nim tęsknię.

– Okazuje się, że miał rację!

Gdy kładę się spać tej nocy, nie mogę się oprzeć i znów myślę o Finnie. Chciałabym go zobaczyć. Tak dużo mam mu do powiedzenia, a może już nigdy nie będę miała okazji. Postanawiam więc napisać. Nawet jeśli moje listy do niego nie dotrą, muszę je napisać dla siebie samej.

Drogi Finnie,

wpadłam dziś na pomysł, by zacząć pisać do Ciebie listy. Wiem, że nie mam jak ich wysłać, ale może któregoś dnia przeczytamy je razem. O tym właśnie marzę – że w przyszłości będziemy razem. Tak się martwię o Ciebie, kochanie. Cierpię, ponieważ nie mogłam z Tobą porozmawiać po tym, co zrobiła Gerda. Byłam tam następnego dnia rano, gdy Gerda się do Ciebie wprowadziła. Nie martw się, kochanie, nie gniewam się. Wiem, że taka była Twoja rola, że musiałeś ją grać, by przetrwać. Błagam Boga, by dał Ci przeżyć. Gdzie teraz jesteś? Podczas powstania nie było dnia, żebym o Tobie nie myślała. Liczyłam, że się pojawisz, ale tak się nie stało. Może byłeś już w drodze do Ameryki? Czy wrócisz do mnie kiedyś, gdy to szaleństwo się skończy?

Niezmiennie kochająca,

Twoja Wanda

DWUDZIESTY SIÓDMY

Wanda

*Cztery tygodnie później
Trzy kilometry od Topilca*

Drogi Finnie,

nie wiem, co się ze mną dzieje. Chyba się czymś zaraziłam. To może być tyfus albo cholera. Nie znam dobrze tych schorzeń. Tata by je rozpoznał. Całkowicie opadłam z sił, bo od razu zwracam każdy kawałek chleba i łyk wody. Bez przerwy wymiotuję. Kiedy szłam spać ostatniej nocy, dotarło do mnie, że od jakiegoś czasu nie miałam miesiączki. Wytrąciło mnie to na moment z równowagi – od razu zaczęłam się martwić, że jestem w ciąży, ale tata już dawno mnie uświadomił, że takie przerwy mogą się zdarzać, gdy żyje się w stresie lub jest się poważnie chora. To brzmi znacznie bardziej sensownie. Od tak dawna żyję przecież w stresie. Jedyne, co daje mi siłę, to świadomość, że Topilec jest już niedaleko.

Tęsknię za Tobą, ukochany. Bądź bezpieczny i wróć do mnie niedługo!

Twoja Wanda

Zrobiłabym wszystko, by móc przekazać Finnowi tę karteczkę... Gdy piszę, czuję się tak, jakbym do niego mówiła. Czuję wtedy spokój, przynajmniej gdy jestem sama.

Nie mamy już siły dalej iść, więc około północy przystajemy w brzezince. Jacek zbiera trochę drewna i rozpala ogień. Owijam się wełnianym kocem, który dostałam od napotkanych po drodze wieśniaków. Idziemy tak już od prawie dwóch tygodni, klucząc polnymi ścieżkami, by uniknąć spotkania z wojskiem. Dotarliśmy już niemal do celu. Tu nie ma okupanta, a Sowieci na pewno mają na głowie ważniejsze sprawy.

Martwię się swoim stanem, tymi ciągłymi nudnościami. Najbardziej się boję, że to tyfus lub dyzenteria, ale staram się odpędzać od siebie te myśli i skupić na dotarciu do Topilca, do rodziny. Nie czuję się samotna. Cały czas myślę o Finnie: kiedy idę, kiedy jem, kiedy odpoczywam. Zastanawiam się, czy jest już w Berlinie, jak planowała Gerda. Przede wszystkim jednak zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, odchodząc, zamiast jeszcze raz spróbować przekazać mu, co się naprawdę wydarzyło. Wtedy myślałam, że nie mam wyboru i że muszę go chronić, ale dziś nie jestem już taka pewna. Dlaczego nie próbowałam dotrzeć do niego tamtej nocy i wyjaśnić, co się stało? Dlaczego nie zakradłam się chociaż do jego

willi, by zostawić liścik napisany bez przymusu? Teraz już za późno i nie ma po co się nad sobą zneść. Gdy skończy się ta okropna wojna, Finn na pewno mnie odnajdzie.

Rano budzę się z bólem żołądka. Nie mam siły nawet podnieść głowy.

– Jacek, musisz pójść po pomoc – mówię. – Jest bardzo źle.

Przykłada dłoń do mojego czoła.

– Nie mogę tak tu pani zostawić.

– Nie ma innego wyjścia – mówię i opisuję mu drogę do rodzinnego domu.

– Dobrze – mówi z przekonaniem. – Niech się pani trzyma, wrócę niebawem.

– To tylko trzy kilometry stąd, ale proszę, bądź ostrożny – odpowiadam, gdy odchodzi.

Czuję się wyczerpana, jakbym całą noc dźwigała wielkie ciężary. Szybko zasypiam.

Gdy się budzę, nie ma śladu Jacka, ale za to czuję się już dużo lepiej. Nudności przeszły, odzyskałam też sporo sił. Wiatr zwiął ze mnie koc, więc znów się zawijam, żeby się zagrzać. Gryzę trochę zeschłego chleba, popijam wodą i postanawiam ruszyć do wsi. Może Jacek wpadł w jakieś tarapaty?

Przedzieram się przez gąszcz traw w brzezince, dopóki nie odnajduję ścieżki. Niewiele mam rzeczy ze sobą – tylko wełniany koc, trochę chleba i wodę. Jestem w tych samych ubraniach, w których zastał mnie początek powstania, i nie pamiętam, kiedy ostatnio przeglądałam się w lustrze. Staralam się regularnie myć w rzekach i jeziorach.

Droga zakręca, a ja słyszę dziwne hałasy dobiegające z gąszczu drzew. Skradam się w tamtą stronę. Mężczyzna w mundurze pochyla się nad kobietą. Ma ściągnięte spodnie. Kobieta łka i stara się od niego uwolnić. Mężczyzna przeklina ją po rosyjsku. W głowie mi tętni. Co zrobić? To duży chłop, ponad metr osiemdziesiąt, i barczysty. Znajduję suchy kij, podkradam się ostrożnie i przyciskam go do pleców mężczyzny. Staje jak wryty, ale się nie odwraca.

– Na kolana i ręce za głowę albo ubiję jak psa! – mówię po rosyjsku.

– Swołocz – odpowiada, ale robi, co każę.

Wyciągam jego pistolet z kabury, kładę palec na spuście i odciągam kurek.

– Spróbuj się ruszyć, to cię zastrzelę.

Śmierdzi od niego wódką. Dziewczyna podnosi się z ziemi i poprawia podartą sukienkę. To niebrzydka brunetka. O dziwo, niespieszno jej uciekać. Mówię mężczyźnie, by się rozebrał. Obrzuca mnie przekleństwami, ale robi, co każę, po czym wsiada na konia i odjeżdża. Z przykrością stwierdzam, że nawet ten komiczny widok nijak mnie nie rozwesela.

– Jesteś cała? – pytam dziewczynę, która jakby zastygła w miejscu i patrzy na mnie z podziwem. Ma piętnaście, może szesnaście lat.

– Chyba tak. Dziękuję.

Milknie na moment. W jej oczach pojawia się obawa.

– Proszę, nie mów nikomu.

Czerwieni się ze wstydu.

– Jasne, ale ty nie masz się czego wstydzić. To ten brutal cię zaatakował.

– Nie jesteś stąd – mówi, przyglądając mi się badawczo. – Nie masz pojęcia, co tu się działo.

W jej ustach brzmi to jakoś oskarżycielsko.

– Nie jestem stąd, ale mam tu rodzinę.

Kiwa głową. Po jej policzkach spływają łzy.

– Do tej pory miałam szczęście, ale dziś niewiele brakowało. To takie niesprawiedliwe!

Podchodzę do niej, by ją objąć.

– Masz rację – mówię.

Milczę przez chwilę, czekając, aż przetoczy się przeze mnie fala nagłego gniewu.

– Jak masz na imię?

– Justyna.

– Jesteś bardzo odważna, Justyno. Myślę, że nie powinnaś sama wychodzić z domu.

Wygląda na to, że to niebezpieczne.

– Ale nie mam innego wyjścia – odpowiada, z trudem powstrzymując płacz. – Mieszkam sama z babcią. Pozostali nie żyją.

Okazuje się, że mieszka w jednym z budynków należących do majątku cioci. Gdy docieramy do leśnej drogi, zauważam konia z wozem. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu powozi nim ciocia; Jacek siedzi obok na koźle. To taka ulga znów ich zobaczyć, móc znów przytulić ciocię. Był taki czas, że nie sądziłam, iż jeszcze się to uda.

– Widzę, że spotkałaś naszą kochaną Justynkę – mówi ciocia. – Jedźmy do domu, dziewczęta. Dla takich ślicznotek jak wy samotne spacery są ostatnio coraz bardziej niebezpieczne. Wszędzie kręcą się Sowieni.

Przygląda się Justynie, która mocno się czerwieni.

– Nie uwierzcie, ale właśnie widzieliśmy zboczeńca, który jechał konno po pijaku, kompletnie nagi! – mówi, po czym wzdycha. – Świat stanął na głowie.

Siadam przy cioci. Justyna i Jacek sadowią się na wozie.

– Powiedz, ciociu, czy wszystko u was w porządku.

Ciocia strzela lejcami. Konie dziarsko ruszają naprzód.

– Mamy się nieźle. Twoja matka i Kubuś są wciąż u nas, ale niedługo po twoim wyjeździe Mateusz też pojechał do Warszawy.

– Naprawdę? – mówię, chwytając się za gardło. – Warszawa jest w gruzach. Nie ma do czego wracać.

Ciocia kiwa głową zasmucona.

– Niedługo wróci, nie martw się – mówi cicho. – Zawsze lubił to miejsce. Planuje się tu przeprowadzić.

Może mój brat także wmieszał się w tłum uciekinierów z Warszawy? Pozwalam, by nadzieja wzięła górę nad obawą. Na pewno żyje. Musi tak być!

– Jak się miewa wujek Mirek?

– Haruje, jak zwykle, ale nie wiem, jak długo jeszcze da radę. W majątku panoszą się żołnierze sowieccy, no i krążą plotki, że zabiorą nam ziemię.

Wzdycha.

– Pożyjemy, zobaczymy.

– O nie! – mówię wstrząśnięta. – Jak to możliwe?

– Nie wiem, kochanie, ale ponoć planują wszystko skolektywizować.

– Dalej mieszkanie w domku?

– Tak, przynajmniej na razie. Twój wujek i ja, my starzy, wiele nie potrzebujemy. Gdy wróci Mateusz, to on zdecyduje, co robić.

Mówi z przekonaniem, więc nie drażę tematu, ale zaczynają mnie ogarniać wątpliwości. Przez tę okropną wojnę nic już nie będzie takie, jak było.

– Przynajmniej nie macie już na głowie Niemców – mówię.

Ciocia odwraca się do mnie.

– Nie wiem, kto gorszy: Hitler czy Stalin. Żadnemu nie ufam i tobie polecam to samo. To nie jest i jeszcze długo nie będzie wolny kraj.

– Jednak widok Niemców przyskających z majątku musiał was rozweselić. Robiliśmy, co się dało, by doznać takiej radości w Warszawie – dodaję i głęboko wzdycham.

Ciocia się uśmiecha.

– Tak, to był radosny dzień. Gdy Sowieci wypchnęli stąd Niemców, odzyskałyśmy nadzieję. Sama się jednak przekonasz, że życie z Sowietami zbyt wesołe nie jest.

– Już się o tym zdążyłam przekonać – mówię cicho. Ciocia milczy, więc w myślach zabieram się za pisanie kolejnego listu do Finna.

Drogi Finnie,

czuję się taka zagubiona. Oczywiście cieszy mnie, że dotarłam do cioci i zaraz zobaczę mamę i Kubusia. Bardzo tęskniłam za nimi, bywało też i tak, że myślałam, że już ich więcej nie zobaczę. W głowie jednak kłębią mi się czarne chmury. Polska jest stracona. Zrozumiałam to, gdy ciocia opowiedziała mi o Sowietach. Wygląda na to, że wyrwaliśmy się jednemu ciemiezcy tylko po to, by wpaść w łapy drugiego. Ciocia też tak uważa.

Dobrze, kochany, wróćmy do rzeczywistości. Ciocia coś mówi, a ja już widzę dworek. Tak się cieszę!

Kocham Cię bardziej, niż myślisz.

Twoja Wanda

DWUDZIESTY ÓSMY

Wanda

— **J**est pan pewien, panie doktorze? – pytam parę dni później siwiutkiego doktora Kalinowskiego, gdy pakuje swoje narzędzia do czarnej skórzanej torby.

– Tak.

Nie patrzy na mnie. Odwraca się i odchodzi przygarbiony, jednak przy ciężkich dębowych drzwiach zatrzymuje się i zwraca do mnie z grymasem bólu na twarzy pociętej głębokimi bruzdami zmarszczek.

– Czy to się stało przemocą?

To pytanie mnie nie dziwi.

– Nie. Kocham go, a on mnie.

Pan doktor wzdycha z wyraźną ulgą.

– Dobrze. Musiałem o to spytać. Każdego dnia w szpitalu mam coraz więcej kobiet, które zgwałcono.

Znów wzdycha.

– Proszę o siebie dbać, młoda damo!

Pierwszy raz od dawna nie wiem, jak mam się czuć. Smutna? Wesoła? I smutna, i wesoła? Chowam twarz w poduszce. Nie będzie łatwo wychować dziecko w tak niepewnych czasach, ale zależy mi, by podołać temu wyzwaniu.

Ktoś puka do drzwi. Chciałabym pobyć chwilę sama, jednak drzwi otwierają się i do pokoju wskakuje Kubuś. Podbiega do łóżka i przytula się do mnie. W sumie może wcale nie chcę być sama? Czy nie jest łatwiej radzić sobie z trudnościami, gdy ma się przy sobie najbliższych? Czas przestać uciekać. Nie jestem już zagubioną nastolatką.

– Kubusiu, daj spokój Wandzie – mówi mama łagodnie.

– Nie trzeba, mamu. Proszę, wejdz. I tak muszę z tobą pomówić.

Kiedy mówię jej, że jestem w ciąży, nie wydaje się zdziwiona.

– Tak podejrzewałam – mówi spokojnie, a w jej oczach nie ma cienia złośliwości. – Niby skąd te twoje poranne nudności...

– Kubuś! – rozbrzmiewa na zewnątrz głos Jacka.

Chłopiec staje na równe nogi i w ułamku sekundy znika za drzwiami. Mama przysiadła na brzegu łóżka.

– Zmieniłaś się, Wando – mówi. – Jesteś jakaś spokojniejsza.

Gdy wróciłam parę dni temu do domu cioci, cieszyłam się niezmiernie, że widzę mamę, ale od tamtego czasu nie miałyśmy okazji porozmawiać.

– Teraz wiem już, co się w życiu liczy – mówię, uśmiechając się do niej. – I jest taki wyjątkowy człowiek, który pomógł mi znaleźć ten spokój. To ojciec tego dziecka.

Opowiadam mamie o tym, co się ze mną działo, odkąd się ostatnio widziałyśmy. Słucha z zainteresowaniem, chwilami marszczy brwi, ale nie przerywa ani razu. Ona też się zmieniła. Dawniej wciąży by mnie pouczała. To chyba przez śmierć taty, a może to zasługa Kubusia?

– Mówisz o nim tak... – zawiesza głos, ale w tej ciszy nie ma nic krępującego. – Ty go kochasz.

Jej głos nie brzmi oskarżycielsko – po prostu stwierdza fakt. Kiwam głową.

– Przeraza mnie, że mogę go już nie zobaczyć.

Z każdym dniem narastają we mnie wątpliwości, czy jeszcze kiedyś ujrzę Finna. Najgorsze są noce, bo trudno się zasypia, gdy nie wiem, czy on jest cały, czy w ogóle żyje. Ciągłe wmawiam sobie, że przeżyje i mnie odnajdzie, ale w głębi duszy w to wątpię. Ta okrutna wojna nie ma litości dla nikogo. Finn igrał z ogniem, wchodząc w rolę swego brata. Modlę się, żeby udało mu się przekonać Gerdę, by go nie wydawała. Modlę się, by znalazł szansę na ucieczkę. Nawet jeśli miałabym go już więcej nie zobaczyć, sam fakt, że przeżył, wystarczyłby mi, by odzyskać spokój.

– A więc tatę zabił jego brat – mówi mama i wzdycha. Jej oczy wyrażają szczery ból. – Los czasem plecie się tak, że trudno pojąć, że to w ogóle możliwe.

– Mamo, proszę, postaraj się zrozumieć. Wiem, że to niełatwe. Mnie też było trudno to zaakceptować, ale gdy go bliżej poznałam, stało się to o niebo łatwiejsze. Finn nie ma nic wspólnego ze zbrodniami, które popełnił jego brat.

W jej oczach nadal widzę wątpliwość, ale jej spojrzenie jest już łagodniejsze.

– Wiem, kochanie, wiem. Tak czy owak, wszystko się ułoży, czy on do ciebie wróci czy nie. Tak być musi. Nie będziesz sama.

Podnoszę się na łóżku i kładę głowę na kolanach mamy.

– Przepraszam za to, jaka dla ciebie byłam.

– Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to iść dalej. Wiedziałam, że potrzebujesz czasu, by wszystko ci się w głowie ułożyło. Cieszę się, że udało ci się zrozumieć i mi wybaczyć, wybaczyć ojcu. Popełniliśmy błędy, ale dla nas zawsze najważniejsi byliście ty i twój brat.

Ściska mnie w gardle.

– Wiem, mamo.

– Twoja biologiczna matka była ciepłą, serdeczną kobietą i kochała cię ponad wszystko. Nie jest mi łatwo o tym mówić, ale taka jest prawda. Niewiele mogę ci o niej powiedzieć, ale wiem, gdzie mieszkają jej rodzice.

Głaszczcie mnie po głowie.

– Myślę, że powinnaś ich odwiedzić, gdy się uspokoi. Dziś rozumiem, że błędem było ukrywać cię przed nimi.

Rozmowa z mamą to balsam na moją zranioną duszę. Już nie jest między nami tak jak wcześniej. Dzięki niej zaczynam wierzyć, że wszystko się w końcu poukłada, że to dziecko jest darem, którym powinnam się cieszyć. Podoba mi się to. Mam już dość zamartwiania się o wszystko. Czas ruszyć naprzód: bądź co bądź, jestem szczęściarą, bo przeżyłam.

Jakiś czas później siadam nad kartką i piszę liścik do Finna. Nie mogę go wysłać, ale samo pisanie sprawia, że czuję, jakby był obok. To nie pierwszy taki list. Wszystkie zbieram i chowam pod materacem.

Drogi Finnie,

chcę się z Tobą podzielić szczególną nowiną: właśnie się okazało, że jestem w ciąży! To tak nierealne, że wciąż czekam, kiedy się w końcu obudzę. Czułam się ostatnio zmęczona i miewałam sensacje żołądkowe, głównie rano. Teraz wiem, że wszystko będzie dobrze, bo jestem bezpieczna w Topilcu, z rodziną. Niemców już nie ma.

Poród powinien wypaść w środku kwietnia i z całego serca życzę sobie, byśmy wtedy byli razem. Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko się skończy i do mnie wrócisz. Wierzę, że mnie odnajdziesz, kochany, prawda?

Od dawna czuję się tak, jakbyś był wciąż przy mnie. To takie dziwne! Jakbyś stał obok i we dnie, i w nocy. Jednak nadal za Tobą tęsknię.

Chciałabym, żebyś myślał o mnie jak najczęściej, mój kochany!

Twoja Wanda

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Finn

Czerwiec 1945

Londyn

Minęło już osiem miesięcy, a ja dalej czekam na powrót do domu. Brytyjczycy korzystają ze mnie, jak tylko mogą. Po przylocie do Anglii, z racji znakomitej znajomości języka niemieckiego, zostaliśmy z Manfredem pracownikami „tajnego nasłuchu”. Godzinami słuchaliśmy nagrań z pluskiew podłożonych niemieckim jeńcom w brytyjskiej niewoli. Osadzono ich w Trent Park, na północ od Londynu, w domach przerobionych na areszt. Dostawali tam wino i dobre żarcie, a to przyczyniało się do rozluźnienia atmosfery. Bardzo szybko dotarło do mnie, że jeńcy nie mieli pojęcia, iż są podsłuchiwani. To pozwoliło nam pozyskać wiele istotnych informacji, które ułatwiły nam zwycięstwo, ale ciągłe słuchanie tych drani mocno mnie znudziło.

Teraz, po śmierci Hitlera i kapitulacji Niemiec, dostałem zgodę na trzydniowy wyjazd do Nowego Jorku. Udało mi się zabrać ze sobą Manfreda: załatwiłem mu specjalną wizę, bo nadal nie ma jeszcze osiemnastu lat, a na dodatek jest sierotą. Przed wyjazdem muszę jednak zrobić jeszcze jedną rzecz. Muszę zobaczyć się z bratem. Muszę jeszcze raz spojrzeć mu w oczy, by przekonać się, czy zrozumiał swoje błędy. Muszę przekonać się, czy dostrzega już, jak wielkich zbrodni się dopuścił, czy też może wciąż czuje dumę z tego, co robił. Dam mu ostatnią szansę. Jeszcze raz spróbuję do niego dotrzeć.

Strażnik prowadzi mnie przez labirynt furt i zimnych korytarzy tworzących cementowy tunel. Ciężkie dźwięki naszych kroków odbijają się donośnym echem. Zatrzymujemy się przy żelaznych wrotach. Strażnik chwyta ciężki pęk brzęczących kluczy, otwiera drzwi i zajmuje miejsce przy ścianie. Nie zostawi nas samych.

Mój brat siedzi przy małym stoliku przymocowanym do ściany ubrany w więzienny drelich. Coś czyta. Nie reaguje, gdy wchodzę, jakby przywykł już do takich spotkań. Tym razem jednak nie odwiedza go żaden anonimowy gość, a ja wyraźnie prosiłem, by go o tym poinformowano.

Do moich nozdrzy wdziera się metaliczny zapach. Mury celi są gołe, żelazne łóżko starannie pościelone, a za oknem widnieją kraty. Słowem, które najlepiej opisuje to pomieszczenie, jest „zimne”. Podchodzę powoli do stolika i siadam naprzeciwko Stefana. Nie przerywa lektury. Nie daje po sobie nawet poznać, że mnie zauważył.

– Cześć. Co czytasz?

Zamyka gwałtownie książkę i rzuca ją na łóżko.

– Po co tu przyszedłeś? – pyta głosem zimnym jak ten pokój. – Jak to się stało, że nie opływasz jeszcze w luksusy za oceanem?

Jego twarz i oczy są jak z żelaza. Nie widać w nich żadnych emocji, dobrych czy złych – tak jakby chciał, bym nic z nich nie wyczytał. Czuję ukłucie w sercu. Koniec złudzeń. Znowu mnie odrzuca, jak czynił to wiele razy od czasów dzieciństwa. Zasłania się przede mną żelazną maską.

– Nie dla mnie luksusy. Jutro wyjeżdżam i chciałem się dowiedzieć, co u ciebie. I pożegnać się.

Wiem, że nie ma pojęcia, iż udawałem go w Warszawie; liczę, że dzięki temu nasza rozmowa będzie spokojniejsza. Stefan nie reaguje na moje słowa, dalej patrząc bez wyrazu.

– Słyszałeś o takim miejscu, które nazywają London Cage?

Pyta bezbarwnym głosem. Ot, zwykłe pytanie, co mu zależy. Ale coś mi mówi, że jednak mu zależy, że chce o tym porozmawiać.

– Słyszałem.

Chodzi o miejsce, w którym agenci brytyjskiego kontrwywiadu przesłuchiwali schwytanych nazistów. Jego istnienie jest tajemnicą, ale dowiedziałem się o nim jako pracownik brytyjskich służb wywiadowczych.

– Takie piękne miejsce przy Kensington Palace Gardens – mówi i śmieje się krótko. – Znakomite miejsce kaźni.

– Wzięli cię tam? – pytam. – Nie wygląda, żeby tortury jakoś szczególnie cię dotknęły.

Nie żal mi go, bo wiem, co robił w alei Szucha i w getcie warszawskim. To, czego się dowiedziałem, przeraziłoby moją matkę na śmierć, obiecałem więc sobie, że zatrzymam to dla siebie i zdradzę tylko rąbek prawdy.

– Mówili, żebym się wyzbył nadziei. Ale ja im nic nie powiedziałem, nic, co mogłoby wpłynąć na los Führera i Trzeciej Rzeszy.

– Führer nie żyje. Trzecia Rzesza nie istnieje.

Mówię tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale Stefan dalej patrzy na mnie bez wyrazu. Nauczył się nosić tę maskę tak dobrze, że kompletnie się ode mnie odizolował, zablokował dostęp. Jednak fakt, że wspomniał o Hitlerze, daje wgląd w to, co się w nim teraz dzieje. To wciąż ten sam Stefan.

Przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

– Wygląda na to, że nie ma to żadnego wpływu na twoje przekonania. Dalej kroczysz tą samą drogą zła.

Po dłuższym milczeniu mam już dość.

– Do licha, Stefan. Mów do mnie.

– Koniec czasu – ogłasza donośnie strażnik.

Stefan rozciąga ramiona i ziewa.

– Ma rację. Już pora obiadowa, a obiadu za nic nie przegapię. Najlepsze, co mogę powiedzieć o tym nudnym lochu, to że dają tu przyzwoite żarcie. Wcale nie obleśne.

Wstaje i sięga po coś za materac.

– Masz, napisałem do ciebie list. Odpowiada na wszystkie twoje pytania. Nie jestem takim gadułą jak ty, ale lepiej od ciebie piszę. Otwórz, gdy dojedziesz do domu, i daj sobie czas, by go przeczytać. Postaraj się przyłożyć, czytaj każde słowo. W każdym słowie tego listu zawarłem to, co teraz czuję. To absolutna prawda.

Wpatruję się w jego oczy, ale wciąż nic w nich nie widzę. Może ten list faktycznie rzuci więcej światła na stan emocjonalny mojego brata. Biorę od niego zapisaną kartkę i sunę ku drzwiom, opierając się silnej pokusie, by przytulić Stefana wbrew jego wyraźnej woli odcięcia się ode mnie. Wbrew wszystkiemu.

– Przekaż naszej *Mutter*, że tęsknię za domem – mówi.

Nie znajduję w sobie siły, by otworzyć list od Stefana. Boję się poznać całą prawdę o własnym bracie, a ten list pewnie wszystko wyjaśnia. Jak sam mówił, tu znajdę ostateczną odpowiedź, której potrzebuję, by móc normalnie żyć.

Zdrada Wandy wciąż mnie boli. Tej kobiecie oddałem swoje serce, byłem wobec niej tak otwarty. Wiele nocy spędziłem, myśląc o niej, analizując każdy jej gest, wspominając każde jej słowo. Szukając wskazówki, która powinna mi być ujawnić jej zdradzieckie zamiary. Nic nie znalazłem. Może była po prostu tak dobra jak Stefan, jeśli chodzi o skrywanie się za maską – w jej przypadku za maską pozorów. Tylko to mi pokazała: rolę. Wciąż przeżywam tę zdradę.

List od Stefana otwieram w środku nocy. Na kartce widnieją tylko cztery słowa skreślone wielkimi literami:

BĄDŹ GOTÓW NA ŚMIERĆ.

Żadnego żalu, żadnego współczucia; tylko te nienawistne słowa. Moje serce krwawi, ale nie mam już złudzeń co do własnego brata. I wiem, że tak samo nie powinienem ich mieć wobec Wandy. Chcę przestać marzyć o byciu z nią i zapomnieć o wszystkich pięknych chwilach, które razem spędziliśmy. Jeśli mam zacząć nowy rozdział swego życia, nie mogę ciągnąć za sobą dawnych cierpień. Popełniłem błąd, zakochując się w niewłaściwej kobiecie, i pozostaje mi się z tym pogodzić. Muszę wymazać ją z umysłu i z serca, raz na zawsze.

TRZYDZIESTY

Wanda

21 września 1945

Warszawa

Gdy docieramy do naszego domu na Żoliborzu, okazuje się, że jest niemal nietknięty, choć wokół pełno ruin. Z Topilca wracam z córką. Ma na imię Kalina i właśnie skończyła pięć miesięcy. Moje serce pęka ze szczęścia, gdy na nią patrzę. Ma oczy po Finnie.

Dom wymaga gruntownych porządków. Z początku nie ma też w nim prądu. Za to mama jest pełna energii, więc wszystko załatwiamy raz-dwa. Bardzo się cieszę, widząc, ile w niej radości. Nieraz łapię się na myśli, jak bardzo tata musi być z niej dumny. To Kubuś codziennie sprowadza na jej usta uśmiech. Jest dla nas jak promyk słońca.

Tydzień po powrocie idę odwiedzić panią Kowalską na Mokotowie. Znajduję ją na podwórku, nad miską z praniem, obok niej bawią się dzieci. Na mój widok podbiegają, by mnie uściskać, po czym wracają do zabawy. Tosia pokazuje mi swoją nową lekturę – to *Emilka ze Srebrnego Nowiu* Lucy Maud Montgomery. Dziewczynka chwilę przy nas zostaje, by opowiedzieć o swoim marzeniu, że kiedyś zostanie pisarką. Miło jest słuchać jej radosnej gadaniny. Nie wiem, jak starsza pani to zrobiła, ale udało jej się.

Pomagam pani Kowalskiej z praniem. Dzielnie trzemy ciuchy w misce pełnej mydła i wody, klęcząc na kolanach w mokrej trawie. Nic a nic się nie zmieniła, odkąd ją ostatnio widziałam. To wciąż ta sama, radosna i ciepła starsza pani z siwymi włosami i mądrą twarzą pełną zmarszczek. Pracujemy przez jakiś czas w ciszy, podczas gdy dźwięk tartych ubrań konkuruje ze śpiewem ptaków i podnieconymi głosami dzieci dobiegającymi z ogródka. Leniwe słońce głaszcze mnie po skórze i włosach; taki dzień z łatwością poprawia człowiekowi humor.

– Co planujecie? – pytam.

– Córka chce, byśmy się przeprowadzili do Kanady, już zaczęła to organizować. Jeśli dostaniemy wizy, to będzie szansa dla dzieci na lepsze życie.

Trudno się z tym spierać. Życie w Polsce pod rządami komunistów nie jest łatwe, szczególnie dla tych, którzy działali w podziemiu. Co rusz słyszy się o oskarżeniach o szpiegostwo, za którymi idą tortury albo śmierć. Pani Kowalska dobrze zrobi, emigrując.

– Życzę wam, by wszystko się udało – mówię.

– Mam taką nadzieję, bo młodsza już nie będę, a te dzieciaki potrzebują dużo opieki. Córka chce je adoptować.

Jej twarz ciemnieje. Podejrzewam, że pani Zuzanna wspomina zmarłego syna, ale ona zaraz zmienia temat.

– Masz kontakt z Finnem? – pyta.

Odchrząkuję.

– Nie. Nigdy się nie odezwał.

Nie jest mi łatwo to przyznać – jest trochę tak, jakbym potwierdzała, że Finn ułożył sobie życie beze mnie. Pani Kowalska przybiera ponurą minę.

– Cóż, mam nadzieję, że przeżył. Na pewno odezwie się, gdy będzie mógł. Bądź co bądź, zadanie dostał bardzo niebezpieczne.

Nie chcę jej mówić, że już straciłam nadzieję, więc podnoszę białą koszulkę i przyglądam się jej, szukając uporczywych plam. Pani Kowalska się jednak nie poddaje.

– Musisz spróbować go znaleźć. Kto wie, w jaką kabałę wciągnęła go ta piekielna kobieta? Chwyta ostatnią koszulkę, płucze w czystej wodzie i wyciska.

– Ten chłopak oddałby za ciebie życie.

Pranie rozwieszamy na sznurach rozpiętych między drzewami, po czym wchodzimy do środka zjeść obiad. Z rozkoszą zajadam naleśniki z serem, wspominając swój pobyt w tym domu – z Finnem. Buzują we mnie emocje. Powinnam go powiadomić o tym, że ma córkę; ale jak mam mu to powiedzieć? „Wiem, że już mnie nie chcesz i w sumie nie mam już teraz pewności, czy kiedykolwiek mnie chciałeś. Może byłam dla ciebie tylko wojenną narzeczoną, o której zdążyłeś zapomnieć. Tylko że sytuacja jest trochę bardziej skomplikowana, niż mógłbyś się spodziewać”. Nie, tego bym nie zrobiła. Brzmiałoby to tak, jakbym próbowała wymóc na nim współczucie.

Przy pożegnaniu obiecuję pani Kowalskiej, że następnym razem przyprowadzę Kalinę i Kubusia.

Jadę tramwajem przez Śródmieście, do Łazienek. Anna czeka na mnie w otwartym amfiteatrze na wschodnim brzegu południowego stawu, ubrana w czarny kombinezon. Siedzi na ławce przy wąskim kanałku naprzeciwko sceny strzeżonej przez kamiennego lwa. Słońce połyskuje na wodzie, potęgując znajomy zapach wilgoci oraz rozkładających się glonów.

– Tu się schowałaś! – mówię, siadając obok niej. – Przepraszam za spóźnienie.

Anna patrzy na mnie surowo.

– Czy mi się wydaje, czy jesteś zła?

Wzdycha.

– Nie, po prostu zmęczona.

– Musisz coś zrobić z tym twoim niedosypianiem.

Kąciki jej wąskich ust unoszą się w nieśmiałym uśmiechu.

– Nie o takie zmęczenie chodzi. Jestem zmęczona światem, w którym przyszło nam żyć.

Krzyżuje ramiona na piersi, wpatrując się w scenę amfiteatru.

– Cieszyłam się na powrót do grania po wojnie, ale jest gorzej, niż się spodziewałam. Ciągłe wciskają mi te okropne polityczne sztuczki. Jeśli dalej będę im odmawiała, w końcu się doigram i zajmie się mną Urząd Bezpieczeństwa.

– Lepiej, żeby się tak nie stało. Jeśli dowiedzą się, że byłaś w Armii Krajowej, mogą cię zwyczajnie zamknąć.

Obie wiemy, że to prawda. Nad takimi jak my, z przeszłością w podziemiu, bezustannie wisi groźba ujawnienia dawnych powiązań. Każdy, kto brał udział w powstaniu, musi trzymać buzię na kłódkę. Lepiej się nie wychylać. Annie jest o to trudniej ze względu na zawód. Jeśli nie będzie grała, już po niej. Nie wiem, co jej doradzić.

– Nie mogę robić tego, co mi każą. Wyjeżdżam, zanim będzie za późno.

Aż mnie zatyka.

– Wyjeżdżasz? Ale dokąd?

Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze. Mam plan.

Przez chwilę przysłuchujemy się niskiemu wizgowi, który wydają łąbędzie na jeziorze, jakby chciały poprzeć decyzję Anny.

– Kiedy?

– Tej nocy.

Rozgląda się i mówi szeptem tak cichym, że ledwo rozróżniam słowa.

– Popłynę do Anglii.

Opiera się o mnie.

– Tak cię kocham, przyjaciółko!

– Będę tęsknić, ale wiem, że tak będzie najlepiej. Pomodłę się za twój plan.

Łzy napływają mi do oczu. Anna marszczy brwi.

– Ty i dzieci powinniście popłynąć ze mną. Mam kontakty, więc nie będzie problemu z wizami.

Wpatruje się w moją twarz.

– Mówię serio, Wando. Co, jeśli któregoś dnia dowiedzą się o twojej przeszłości w podziemiu i postanowią się do ciebie dobrać?

– Staram się nie wychylać, więc nie jestem dla nich celem – odpowiadam, biorąc w ręce jej dłoń. – Ale miło mi, że o mnie pomyślałaś.

– No to przynajmniej spróbuj odszukać Finna i powiadomić go o Kalinie. Nie odrzuci przecież własnej córki, a tobie przyda się każda pomoc.

Odpowiadam przez ściśnięte gardło.

– Niepotrzebna mi jego pomoc, ale tak, powinnam poinformować go, że ma córkę. Nie chcę powtarzać błędów własnego ojca.

Każdy, kogo dziś spotykam, przekonuje mnie, żebym skontaktowała się z Finnem. Czy nie zdają sobie sprawy, że to on wybrał inną drogę? „Pomyśl o tym ze względu na Kalinę”, mówi głos w mojej głowie.

Tej nocy nie mogę przestać myśleć o tym, co Anna powiedziała mi o Finnie. Jej zdaniem Finn bezwarunkowo zaakceptuje własną córkę, ale czy uwierzy, że Kalina jest jego? Jak zareaguje na tę informację? Czy będzie próbował mi ją odebrać? A może przeprosi za to, że do mnie nie wrócił? Tak czy owak, nie mam się czym przejmować, bo po Finnie nie został nawet ślad, a ja nie mam żadnego pomysłu, jak go szukać.

Mam poważniejsze problemy, choćby wiszącą nade mną groźbę stalinowskich represji czy kiepski stan naszych rodzinnych finansów. Ciocia Krysia i wujek Mirek bardzo nas wspierają, ale czas najwyższy, bym znalazła sobie jakieś zajęcie i zyskała niezależność. Przez kolejnych kilka tygodni przeglądam oferty pracy. Rozmowy kwalifikacyjne to jeszcze bardziej przygnębiające doświadczenie. Płace, które mi proponowano, nie wystarczyłyby na pokrycie kosztów wyżywienia i rachunków czteroosobowej rodziny.

Pewnego dnia natrafiam jednak na ofertę, która sprawia, że serce mocniej mi bije. Ogłoszenie dotyczy posady tłumacza w konsulacie amerykańskim. Nie ukończyłam co prawda studiów na Uniwersytecie Warszawskim – choć planuję to zrobić jak najszybciej – ale udowodnię im, że biegle znam angielski.

Po wejściu do konsulatu wita mnie młody mężczyzna z kozią bródką. Z początku zachowuje wobec mnie rezerwę, ale rozluźnia się, gdy wspominam o swoich talentach plastycznych. Rozmowa ostatecznie schodzi na ten temat, bo okazuje się, że on też uwielbia malować. Mija miesiąc, zanim odzywają się do mnie z konsulatu, by przekazać, że zapraszają mnie do pracy. Nie mogę się przestać uśmiechać. Nareszcie los wynagrodził mi moją wytrwałość.

Praca mi się podoba, a pensja też jest niczego sobie. Spotykam wiele interesujących osób, w większości cudzoziemców. Rana zadana przez Finna pomału się goi. Muszę się pogodzić z odrzuceniem, z tym, że wybrał inną. Mam nadzieję, że nie była to Gerda. Na samą myśl o niej przechodzą mnie ciarki. Serce podpowiada mi jednak, że to niemożliwe. Finn był

zniesmaczony jej zachowaniem. To, jak traktował ją podczas wojny, świadczyło tylko o jego poświęceniu dla misji.

Jest też możliwość, że jego zadanie się nie powiodło, a Finna nie ma już wśród żywych. Przełykam nerwowo ślinę. Nie, to musi być sprawka Gerdy, że nie szukał ze mną kontaktu. Nie wierzę, że podjąłby taką decyzję tylko na podstawie tego głupiego liściku, do którego napisania mnie zmusiła. Finn nie zrobiłby czegoś podobnego. Jest zbyt inteligentny, by dać się zwieść takiej manipulacji. Ale co w takim razie się wydarzyło?

Muszę przestać nad tym rozmyślać i zaakceptować fakty. Wciąż pozostaje jednak do rozwiązania kwestia jego córki. Czy Kalina kiedykolwiek mi wybaczy, jeśli nawet nie spróbuję go znaleźć? Tyle bym dała, by mieć przy sobie tatę, by móc poznać własną biologiczną matkę. Kalina nadal może nawiązać relacje ze swoim ojcem.

TRZYDZIESTY PIERWSZY

Wanda

8 maja 1946

Warszawa

Drogi Finnie,

przede wszystkim chciałabym wyrazić radość, jaką poczułam na wieść o tym, że Ty i Twoja rodzina jesteście cali i zdrowi w Nowym Jorku. Twoja misja była przecież naprawdę niebezpieczna.

Piszę ten list, by poinformować Cię, że nasza córka Kalina przyszła na świat dwudziestego pierwszego kwietnia 1945 roku. Nie domagam się, byś potwierdził, że jesteś jej ojcem, ale myślę, że powinieneś wiedzieć, że ona istnieje. Niezależnie od tego, czy zechcesz być w jej życiu czy nie, uszanuję Twoją decyzję.

Proszę, napisz do mnie w tej sprawie.

Z szacunkiem,

Wanda Odwaga

Z przyjemnością wdycham intensywny zapach kawy, którą właśnie nalałam sobie do kubka. Niełatwo mi było napisać taki krótki, neutralny list do Finna, ale uważam, że właśnie taki powinien być. Nie znam motywacji, które skłoniły go do porzucenia myśli o szukaniu mnie po wojnie. Nie musi wiedzieć, że wciąż coś do niego czuję, że ta rana dalej krwawi. Nie potrzebuję jego litości. Jeśli postanowi, że chce być obecny w życiu Kaliny, może uda nam się jakoś ułożyć sprawy między nami i zawrzeć rozejm dla dobra naszej córki.

– Do kogo piszesz? – pyta mama, wrywając mnie z zamyślenia.

Podchodzi powoli i siada naprzeciw mnie przy stole. Składam list i wkładam go do koperty.

– Paul, wicekonsul, obiecał, że pomoże mi przesłać list do Finna. Chcę, żeby wiedział o Kalinie.

Mama odstawia kubek na stół.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Ściągam brwi, po czym rozkładam ramiona.

– Oczywiście, że nie, ale uważam, że tak trzeba.

– A co, jeśli postanowi ci ją zabrać? – pyta, nagle zatroskana. W tym pytaniu pobrzmiewa ten sam pesymizm, który kiedyś tak mnie drażnił. – Na pewno ma pieniądze i znajomości, a my dzień w dzień ciułamy na rachunki. Moim zdaniem powinnaś to przemyśleć.

Przesuwam palcem po brzegu swojego kubka.

– Wiele razy o tym myślałam, mamo, ale ten Finn, którego znam, nie postąpiłby w ten sposób. To szczerzy i czuły mężczyzna.

Wbijam spojrzenie w czerwoną kratę obrusa, dając do zrozumienia, że nie przejmuję się tym tak jak mama.

– Kochanie, ty go nie znasz. Mnie wystarczy, że nie skontaktował się z tobą od końca wojny.

Wyciąga rękę i chwyta moją dłoń.

– Po prostu się martwię, to wszystko. Zrobisz, co uznasz za stosowne. Nie chcę, byś popełniła błąd, który może ci złamać całe życie. Dla ciebie ta dziewczynka jest wszystkim. Dla nas też!

To nie podlega dyskusji. I prawdą jest również, że właściwie prawie nie znam Finna. Przecież byliśmy ze sobą tak krótko, a wojna zmienia ludzi. W każdej chwili groziła nam denuncjacja. Może to popchnęło go w moje ramiona? Nawet jeśli, to co z tego, skoro na myśl o nim moje serce dalej szaleje? Naprawdę straciłam głowę dla tego wyjątkowego człowieka i boli mnie, że nie próbował mnie później odszukać.

– Serce podpowiada mi, że bym nawiązała z nim kontakt. Poza tym nie chcę popełniać błędu taty. Chcę, by Kalina знаła swojego ojca, nawet jeśli on do mnie nie wróci.

Patrzę mamie w oczy.

– Mamo, ty powinnaś mnie rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny. Czy nie spierałaś się z tatą o to, czy należy mi powiedzieć prawdę o biologicznej matce i jej rodzicach?

Jej twarz przybiera teraz ponury wyraz.

– Jak mówiłam, ostatecznie decydujesz i ryzykujesz ty – mówi, cofając rękę. – Właśnie miałam cię spytać o twoich dziadków. Poszłaś pod adres, który ci dałam?

– Tak, ale tego domu już nie ma – odpowiadam i dopijam ostatni łyk kawy.

Mama marszczy czoło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Budynek został trafiony bombą podczas powstania i zawalił się. Czerwony Krzyż mówi, że nikt z mieszkańców nie przeżył.

Ocieram łzy.

– Zginęli schowani w piwnicy.

Mama zrywa się z krzesła i długo mnie obejmuje.

– Tak mi przykro, kochanie.

Moja biologiczna matka była ich jedynym dzieckiem, więc nie ma już innych członków rodziny, których mogłabym odnaleźć. Szukałam dalszych krewnych, ale na razie na nikogo nie natrafiłam. Mimo to jestem zdecydowana kontynuować poszukiwania, bo chciałabym dowiedzieć się choć trochę więcej o swojej rodzonej matce. Mama nie wie zbyt wiele na ten temat, co zresztą zupełnie zrozumiałe.

– W porządku, mamó.

Klepie mnie po plecach, zabiera mój pusty kubek i podchodzi do piecyka.

– Jesteś głodna? – pyta.

– Nic mi nie potrzeba. Muszę się zbierać. Nienawidzę się spóźniać do pracy.

Podnoszę się z krzesła i ruszam do drzwi. Mama łapie mnie za ramię.

– Jest jeszcze coś, o czym musimy porozmawiać – mówi.

Patrzę na zegarek.

– Czy nie mogłybyśmy tego zrobić później? Naprawdę się spieszę.

– Tak, ale chodzi o Kubusia – mówi szeptem, choć dzieciaki śpią. – Powinnaś go zaadoptować.

Czerwony Krzyż nie znalazł żadnego krewniaka chłopca.

– Zajmę się tym, mamó. On musi z nami zostać. Zadbam o to, by tak się stało.

Uśmiecham się.

CZĘŚĆ III

Gdy kochasz kogoś prawdziwie, umiesz czytać w jego myślach, jesteś gotowa wspierać go w trudnych chwilach i czerpiesz siłę z bycia z nim, zarówno w najgorszych momentach, jak i na co dzień.

WANDA ODWAGA

TRZYDZIESTY DRUGI

Finn

Trzy lata później

Manhattan, Nowy Jork

— **P**oczta do ciebie, Finn – mówi Nancy, moja białowłosa sekretarka. Jest dla mnie jak przyszywana ciocia. Uśmiecham się do niej.

– Dziękuję, Nancy.

Po tym jak mój dziadek przeszedł na emeryturę, ucieszyło mnie, że Nancy wcale nie kwapi się do porzucenia pracy. Twierdzi, że dzięki niej czuje się młodsza.

– Wszystkiego najlepszego, drogi chłopcze. Pamiętam, kiedy pierwszy raz przybyłeś do naszego kraju. Miałeś wtedy chyba ledwie czternaście czy piętnaście lat.

Przekrzywia głowę, jakby próbowała sobie przypomnieć, ile dokładnie.

– Twoi dziadkowie tak się cieszyli – ciągnie, po czym wzdycha. – Ach, jak ten czas leci!

– Może i leci, ale ty nadal wyglądasz zjawiskowo!

Wstaję i obchodzę biurko, by ją uścisnąć.

– Urok osobisty odziedziczyłeś po dziadku – mówi i delikatnie się uśmiecha. – Dzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Po wyjściu Nancy przeglądam koperty i jest – znów taki sam list z Niemiec jak te, które otrzymuję w dniu swoich urodzin co roku od końca wojny. Bez nazwiska i adresu nadawcy. Nie potrzebuję ich – choć list został wysłany anonimowo, a pismo nie jest mi znajome, wiem, że nadawcą jest mój brat.

Nie muszę nawet otwierać koperty, by wiedzieć, co w niej znajdę. Taką samą kartkę z czterema krótkimi zdaniem, które umiałbym powtórzyć zbudzony ze snu w środku nocy: „Nadchodzi dzień słodkiej zemsty. Będziesz mnie błagał o przebaczenie, ale go nie dostaniesz. Nie zasługujesz na nie. Jesteś już martwy”. I tyle. Bez podpisu, bez pozdrowień, bez daty. Tych parę złowieszczych słów zamiast „sto lat”, przypomnienie, że mój brat nigdy nie okazał skruchy za swe zbrodnie, że więzienie tylko wzmogło tętniące w nim zło. Tak naprawdę nie czuję już z nim żadnej więzi – i nie, nie boję się go. Po prostu się go brzydę. Żal, który czułem z jego powodu przez długi czas, znika zupełnie, gdy czytam te listy. Ta żałoba dobiegła

końca. Przyznaję otwarcie, że w Stefanie nie ma najmniejszego śladu dobra. Nasza matka i ja długo próbowaliśmy je w nim rozbudzić, ale zawiedliśmy.

TRZYDZIESTY TRZECI

Finn

9 lipca 1949

Montauk, Nowy Jork

O d pięciu lat czuję na przemian miłość i nienawiść do kobiety, która żyje po drugiej stronie Atlantyku – kobiety, która sprawiła, że opuściłem gardę, kobiety, która mnie zdradziła. Po wojnie nawet nie próbowałem dowiedzieć się, czy przeżyła. Czuję, że przeżyć musiała. Zamiast tego dzień w dzień toczyłem z nią bój, usiłując wymazać jej obraz z własnej pamięci. Przestałem snuć marzenia o Wandzie i zacząłem się umawiać z innymi, zupełnie do niej niepodobnymi. Mimo to poniosłem klęskę, co uświadamiałem sobie co rano, budząc się ze snu – z początku ukojony wspomnieniem jej słodczy, a potem wstrząśnięty jej zdradą. Nie miało znaczenia, kto leżał ze mną w łóżku; ona była tam zawsze, na dobre wrosnięta w me wnętrze. Wśród tłumu ludzi czułem się osamotniony ze swą nienawiścią i miłością, osamotniony w żalu. Jednego tylko byłem pewny: że nasze drogi już nigdy się nie skrzyżują.

Aż do dziś.

Podnoszę głowę, szukając kelnera z tacą kieliszków z szampanem, ale zamiast niego ukazuje mi się oszałamiająca blondynka w szafirowej sukni. Ma szarobłękitne oczy. To Wanda.

W pierwszym odruchu szczypię się przekonany, że to przywidzenie; to nie może być ona. Czas jakby zwalnia i nie dostrzegam już innych ludzi, tylko ją. Nie jest tak wychudzona jak wtedy; dziś jej ciało ma łagodne kobiece kształty. Część mnie lgnie ku niej, ale reszta rozpamiętuje dawną krzywdę. Wpatruję się w jej twarz, szukając śladu zła, ale nic takiego nie znajduję. Czuję ukłucie w samym środku serca: na myśl przychodzi mi wspomnienie tamtej chwili, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

Ciągnie mnie, by podbiec do niej i potrząsnąć nią z całej siły. Pragnę wykrzyczeć jej w twarz to jedno pytanie, które gryzie mnie, odkąd mnie zdradziła: dlaczego? Zamiast tego tkwię w miejscu nieporuszony, patrząc jak tyczkowaty, ciemnowłosy osobnik z kozią bródką szepcze jej coś do ucha, a ona się z tego śmieje. Zazdrość natychmiast zalewa moje serce.

Widok tej kobiety przywodzi na myśl wspomnienia z czasu wojny – te, które przez ostatnie cztery lata starałem się zagrzebać jak najgłębiej. I przyszedł czas, gdy dotarło do mnie, że nie jestem w stanie tego zrobić. Zaakceptowałem fakt, że wojna mnie zmieniła i nigdy nie będę już taki sam. Wszystko to jest częścią mnie. Z nią to jednak inna historia: ona jest trucizną, która powoli odbiera mi życie, sprawiając nieznośny ból. Cztery lata bezustannego cierpienia. Jakże ja jej nienawidzę.

TRZYDZIESTY CZWARTY

Wanda

Powietrze w Island Club nad jeziorem Montauk jest gęste od zapachu owoców morza i dymu papierosowego. Gadanina i śmiech mieszają się z brzękiem kieliszków. Łagodna muzyka otula zmysłowy głos wokalisty. Śpiewa o miłości, nieznajomych i czarownych wieczorach. Wszystko to jest mi zupełnie obce, ale bawię się nieźle, smakując te nowe doświadczenia.

Gdy przyjęcie na dobre się rozkręca, Paul, mój narzeczony, i jego kolega Tony ruszają do stołu do gry, zostawiając mnie w towarzystwie żony Tony'ego, Louise. Przybyłam z daleka, więc widzę ją po raz pierwszy, ale okazuje się dobrą kompanką. Mieszkają z mężem w Nowym Jorku, toteż obecny tu tłum znamienitych gości nie jest dla niej zbieraniną nieznanych twarzy. Przedstawia mnie wielu swoim znajomym, z którymi krótko gawędzimy. Czuję się jak brzydkie kaczątko wśród wspaniałych łabędzi, lecz dzielnie trzymam fason i biorę przykład z Louise.

Płonna nadzieja, że spędzę ten wieczór, tańcząc zapamiętałe z narzeczonym, zostawia po sobie gorzki posmak i sprawia, że ogarnia mnie melancholia. Poznałam Paula trzy lata temu, w konsulacie amerykańskim, gdzie zatrudniono mnie jako tłumaczkę. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale okazał mi szacunek, czułość i wytrwałość, cierpliwie dając mi do zrozumienia, co do mnie czuje. Łączy nas pasja do malarstwa, co z pewnością nas do siebie zbliżyło. Jego talent wzbudził mój podziw. Spotykaliśmy się ze sobą przez rok, zanim przyjąłam jego oświadczenia, choć lepsi z nas przyjaciele niż kochankowie.

Wojna odcisnęła na mnie swe piętno. Nie potrafię już nikomu oddać całego serca. Tyle mi odebrała, w zamian zostawiając bolesne wspomnienia i koszmary. Nic nie jest już pewne, więc ciężko pracuję, by zapewnić byt rodzinie. Moje serce nigdy się nie zagoiło po tym, jak Finn je złamał. Pragnę wierzyć, że któregoś dnia uwolnię się od przeszłości i w pełni pokocham Paula, choć w moim sercu wciąż jest dla niego za mało miejsca. Lepiej jednak być z Paulem niż z kimś zupełnie obcym. Wojna oddaliła mnie od innych ludzi tak skutecznie, że dziś lepiej się czuję, mogąc zachować emocjonalny dystans.

Mama wciąż mi powtarza, że miłość to znacznie więcej niż zauroczenie, że gdy kochasz kogoś prawdziwie, umiesz czytać w jego myślach, jesteś gotowa wspierać go w trudnych chwilach i czerpiesz siłę z bycia z nim, zarówno w najgorszych momentach, jak i na co dzień. Chciałabym, by podobne uczucie stało się kiedyś moim i Paula udziałem, głęboko w środku czuję jednak, że wciąż Kocham Finna, mimo że mnie odrzucił.

Kiedy Paul poinformował mnie, że zamierza polecieć na kilka tygodni do domu w Nowym Jorku, ucieszyłam się, bo wiem, jak trudno jest żyć z dala od rodziny. Zaprosił mnie w tę podróż, a ja się zgodziłam, choć było jasne, że moja czteroletnia córka z nami nie poleci. Paul uznał, że najlepiej będzie, jeśli mała zostanie w bezpiecznym domu mamy. Później tego żałowałam, bo już kilka dni po wylocie dopadła mnie tęsknota. Został jeszcze tydzień, a potem wsiądę do samolotu, który poniesie mnie w podróż powrotną do mojej córki.

Po tygodniu spędzonym z jego rodzicami Paul zarezerwował dla nas pokój w Montauk, na wschodnim krańcu Nowego Jorku, na najdalej wysuniętym cyplu Long Island. Zatrzymaliśmy się w Montauk Manor, uroczym hotelu, który wygląda niczym zamek na wzgórzu.

– Panowie będą jutro grali w golfa, więc jeśli masz czas, może dołączysz do mnie i innych pań w Cabana Club? – pyta Louise, popijając szampana.

Ma trochę ponad czterdzieści lat, ale trudno dostrzec różnicę wieku między nami. Jej szmaragdowa sukienka doskonale współgra z opaloną skórą, nadając jej młodzieńczej świeżości. Louise porusza się z gracją i lekkością, połyskując jak świetlik.

– Świetny pomysł.

Kiwa głową.

– Czy mogę cię spytać, jak poznałaś Paula?

– Oboje pracujemy w konsulacie w Polsce – odpowiadam.

– To ciekawe. Od dawna się spotykacie?

– Prawie od roku, ale znamy się już ponad trzy lata.

Znów kiwa głową.

– Niezbyt długo – mówi, patrząc porozumiewawczo. – Nie spiesz się do małżeństwa. Dobrze jest dać sobie czas, by się lepiej poznać, zanim powie się magiczne słowo.

Jestem zaskoczona, że nie wychwala Paula pod niebiosa. Louise przypomina mi moją drogą przyjaciółkę Annę.

– Mówisz z doświadczenia?

Louise śmieje się w głos.

– Oczywiście, że nie – odpowiada, po czym otwiera szerzej oczy, jakby nagle przyszedł jej do głowy znakomity pomysł. – Właśnie do mnie dotarło, że jest tu ktoś jeszcze, kto umie mówić po polsku.

Nie czekając na moją reakcję, bierze mnie za rękę i prowadzi przez zatłoczoną salę. Po drodze szepcze mi do ucha:

– Zauważyłam, że spoglądał dziś raz po raz w naszą stronę.

Podchodzimy do kręgu, który tworzą dwie pary najwyraźniej pogrążone w rozmowie. Louise dotyka ramienia niewysokiego, ale dobrze zbudowanego mężczyzny w smokingu, który natychmiast się do nas odwraca.

– Finn, chciałabym przedstawić ci kogoś wyjątkowego – mówi Louise.

Moje serce na chwilę przestaje bić, a ciało kompletnie sztywnieje z zaskoczenia. To ten, który postanowił do mnie nie wracać. Ten, który odrzucił własną córkę.

– Witaj, Finn – mówię z bladym uśmiechem.

Milczy, intensywnie się we mnie wpatrując. Nagle czuję, jakbyśmy byli tu tylko my dwoje. Jednocześnie w jego oczach widzę gniew i wewnętrzną walkę, jakby zmagaly się w nim ze sobą jakieś olbrzymie siły. Nie mam pojęcia, jak długo trwamy tak, wpatrzeni w siebie, ale w którymś momencie wysoka brunetka dotyka jego ramienia i odciąga go, jakby był jej własnością.

– Finn, obiecałeś mi ten taniec.

On kiwa głową z kamienną twarzą i oboje odchodzą. I tyle.

Moje policzki płoną. Nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Ten brak wrażliwości sprawia, że czuję fizyczny ból. Umieram ze wstydu, który wkrótce przeradza się w furię. Tak bardzo go nienawidzę.

Louise patrzy na mnie zdziwiona i delikatnie ściska moje ramię.

– Wszystko w porządku, kochanie? Nie miałam pojęcia, że się znacie!

Powstrzymuję gorące łzy i z trudem się uśmiecham.

– Tak, poznaliśmy się wieki temu. Tyle że wtedy nie był takim gburem.

Przewracam oczami.

– Jeśli pozwolisz, pójde przy pudrować nos, zanim wróci Paul – mówię i puszczam do niej oko.

– Oczywiście.

Mijam drzwi toalety i wymykam się na zewnątrz. Fale świeżego, słonego powietrza wypełniają moje nozdrza i rozluźniają napięcie. Znajduję sobie miejsce przy poręczy na końcu opustoszałej werandy i wpatruję się w skalisty brzeg jeziora. Louise mówiła, że woda w nim jest słona, bo jezioro jest połączone z oceanem. Słyszac muzykę dobiegającą z wnętrza klubu z jednej strony i pluskanie fal o brzeg – z drugiej, mam wrażenie, jakbym znalazła się w próżni między dwoma światami.

W oddali dostrzegam blade, migające światło – to pewnie latarnia morska prowadząca żeglarzy do bezpiecznej przystani. Tak bardzo potrzebuję takiej latarni, zwłaszcza teraz, gdy

spotkanie oko w oko z Finnem kompletnie zdruzgotało świat, który starannie budowałam wokół siebie przez ostatnie lata. Tak bardzo nienawidzę tego człowieka, który właśnie publicznie okazał mi niechęć, jakbym go skrzywdziła. Zdziwię się, jeśli Louise nie wspomni o tym Paulowi. Boję się wrócić do środka, ale nie chcę zachować się niegrzecznie, opuszczając wszystkich bez pożegnania. Wzdycham i patrzę na ciemne niebo rozświetlone gwiazdami.

– Wanda – wypowiada moje imię głębokim, chrapliwym głosem, który drażni moje nerwy.

Jest blisko. Czuję ciepło jego oddechu na swoim karku. Nie odwracam się w obawie, że stracę nad sobą kontrolę i go uderzę.

– Idź sobie, Finn – odpowiadam nieprzyjaźnie, bo właśnie tak chcę brzmieć.

Finn chwyta mnie za ramię i przyciąga do siebie. Ogarnia mnie furia, ale on trzyma mnie tak mocno, że nie mogę się ruszyć.

– Puszczaj, bydlaku!

Uśmiecha się złośliwie, patrząc na moje usta. Odchylam głowę.

– Zaraz cię...

– Czemu najpiękniejsze kobiety tak często okazują się najbardziej zdradzieckie? – szepcze szorstkim tonem.

– Jak śmiesz!

Śmieje się krótko i nieprzyjemnie.

– Prawda w oczy kole.

– Do diabła, puszczaj! Nie jesteś wart mojego czasu.

Dalej trzyma mnie mocno i przypatruje mi się.

– A, no tak. Nudzę cię, bo teraz już mnie nie oszukasz.

Uśmiecha się, ale w jego jasnoszarych oczach widzę podejrzliwość. Wypuszcza mnie z objęć.

– Co to za kozioł, z którym tu przysłaś?

Słowa, których używa, irytują mnie. Zdradziecka? Oszukać? Czas skończyć tę rozmowę i zadbać o to, byśmy już nigdy się nie zobaczyli.

– Ten przystojniak to mężczyzna, którego głęboko kocham, i mój narzeczony. Ale to nie jest twój interes.

Spogląda na mały złoty pierścionek z żółtym szafirem na mojej dłoni. Krzywi się.

– No tak, nie jesteś przecież warta diamentów.

Wymuszam śmiech i patrzę mu prosto w oczy.

– Nie obchodzą mnie diamenty, bo to, co łączy mnie z Paulem, wykracza poza czystą fizyczność.

Co z tego, że go okłamuję. Chcę, by zaboląło go tak samo, jak jego słowa zaboląły mnie.

– Ty nigdy nie umiałeś mi tego dać!

Gdy to mówię, coś we mnie pęka i nagle opadam z sił. Nie chcę się już kłócić, nawet jeśli on ma ochotę dalej mnie obrażać. Nie chcę też wracać do środka. Mam już dość udawania. Udawania przed Paulem, Louise i wszystkimi innymi, których obchodzę tyle co zeszłoroczny śnieg. Tęsknię za domem, za trudnym życiem w kraju, bo to moje życie, i tylko ono jest prawdziwe. Muszę zerwać z Paulem, bo tak naprawdę go nie kocham. I nie chcę więcej widzieć Finna ani nawet o nim myśleć.

Ruszam w kierunku mostu. Znam drogę do hotelu – dojdzie tam zajmie mi pewnie nie więcej niż godzinę. A więc pójdę tam sama. Zostawiam Finna bez słowa.

– Co ty sobie wyobrażasz? – słyszę nagle jego zdyszany głos.

Idę już od kilku minut, więc pewnie ruszył za mną biegiem.

– Nie twój interes. Wynoś się – odpowiadam, nie zwalnając kroku. Dzięki Bogu jest jeszcze wcześniej, więc dobrze widzę drogę.

– Nie możesz iść sama. To zbyt niebezpieczne.

W jego głosie słyszę złość.

– Przystań na mnie szczebrać. Jedyne, co mi tu grozi, to twoje towarzystwo – mówię, patrząc na niego z obrzydzeniem. – Twoja obecność mnie obraża.

Zwija dłonie w pięści.

– Ale z ciebie zepsuta suka.

Z trudem przełykam ślinę. To słowo wbija się w moje serce jak ostry nóż. Boli tym mocniej, że to on je wypowiedział. Łzy palą mi oczy, ale odwracam się i odchodzę, a on zostaje.

Droga do mostu zabiera mi więcej czasu, niż się spodziewałam, ale liczę na to, że gdy dojdę do polnej ścieżki, zostanie mi tylko jakieś czterdzieści minut marszu. Po Finnie nie ma śladu. Czuję się teraz dziwnie rozluźniona. Z każdą minutą robi się coraz ciemniej, więc przyspieszam kroku. Pantofle obcierają mi pięty, ściągam je, ale droga jest tak kamienista, że muszę je na powrót założyć.

Marzy mi się, że jestem w łóżku zatopiona w miękkiej pościeli. Dobrze przespana noc zawsze mi służyła, pomagała znaleźć właściwe odpowiedzi. Tego teraz potrzebuję.

Zagubiona we własnych myślach, podskakuję ze strachu, gdy od strony drzew dobiega mnie nagły hałas. To pewnie jakieś zwierzę, ale przez chwilę czułam się tak, jakby znowu była wojna. Jakbym stała w brzezince koło Topilca, czekając na partyzantów, ogarnięta strachem, że Niemcy zaraz mnie znajdą i zastrzelą. Ścisną mnie w piersi. Drętwieją mi palce stóp. Z trudem panuję nad oddechem, ale udaje mi się jeszcze przyspieszyć kroku.

– To tylko strachy – mówię pod nosem.

– Co my tu mamy? – dobiega mnie szorstki, męski głos z kępy drzew po prawej stronie.

Odkakują. Serce bije mi tak mocno, że aż boli. Nogi sztywnieją.

Wyrasta przede mną wysoki, młody mężczyzna uzbrojony w krótki nóż. Włosy ma w nieładzie, a twarz umorusaną, ale to te straszne czerwone oczy napawają mnie lękiem. Uśmiecha się nieprzyjaźnie, odsłaniając popsute zęby.

– Nie spodziewałem się, że spotkam w tych lasach taką ślicznotkę – mówi, a jego oddech cuchnie spirytusem. – Może ma pani jakąś gotóweczkę, którą zechciałaby się pani ze mną podzielić?

– Nie mam – odpowiadam przez zaciśnięte gardło. Bardzo chciałabym mieć; może zostawiłby mnie w spokoju.

Jego twarz ciemnieje. Przysuwa się bliżej.

– Otwieraj torebkę – mówi, wskazując na nią nożem.

Ściska mnie w dołku, gdy na mnie patrzy. Rozpinam klamerkę drżącymi rękami. Mężczyzna przechwytuje torebkę i zaczyna w niej szperać, wyrzucając moją szminek i inne przybory na ziemię. Dobrze zrobiłam, że nie wzięłam ze sobą żadnych dokumentów.

– Ściągnij ten naszyjnik i obrączkę – mówi wreszcie groźnie.

– Dobra, bierz je. I tak mi na nich nie zależy.

Zatyka mnie na moment, gdy uświadamiam sobie, że na niego krzyczę. Nagle zza moich pleców odzywa się głos Finna.

– Zostaw tę panią w spokoju.

Czyli jednak za mną szedł. Oddycham z ulgą.

– Nie pakuj nosa w nie swoje sprawy, koleś – mówi pijak, machając nożem w kierunku Finna.

– Bierz już tę przeklętą biżuterię i zostaw nas w spokoju – mówię do mężczyzny.

– Niczego nie weźmie – ucina Finn z surową miną. – I przeprosi za swoje zachowanie.

Mężczyzna wypuszcza z siebie krótki, ale nerwowy śmiech.

– Odczep się.

– No właśnie, odczep się – podchwytyję i odwracam się do mężczyzny. – A ty bierz tę przeklętą biżuterię i kończ ten cyrk.

Rzucam w niego błyskotkami. W tej samej chwili Finn skacze na niego. Wszystko dzieje się tak szybko, że pojmuję, co się stało, dopiero gdy Finn jedną ręką ściska szyję mężczyzny, a w drugiej trzyma jego nóż.

– I co teraz powiesz? – odzywa się Finn głosem tak niskim, że czuję go pod skórą. – Przeproś panią albo utnę ci język.

Przełykam nerwowo ślinę. Wierzę, że jest gotów to zrobić.

– Prze... przepraszam – występuje mężczyzna.

– A teraz wejdiesz w ten las i nigdy więcej nie napadniesz na żadnego przechodnia. Jasne?

Zanim mężczyzna znika wśród drzew, udaje mi się odzyskać równowagę.

– Nie potrzebowałam twojej pomocy. Radziłam sobie sama.

Patrzę na niego gniewnie.

– Co ty tutaj w ogóle robisz?

– Nie ma za co – odpowiada Finn z przesadnym sarkazmem.

– Dobrze, dziękuję, a teraz możesz sobie iść.

– Nic z tego. Teraz odprowadzę cię do hotelu.

Krzyżuje ręce na piersi.

– Jak chcesz.

Podnoszę swoje rzeczy z ziemi i wkładam z powrotem do torebki. Jestem wykończona, ale trzymam równe tempo. Chcę jak najszybciej dotrzeć do hotelu.

Idziemy, nie zamieniając nawet słowa, a gdy jesteśmy już przy drzwiach prowadzących do lobby, ocieram pot z czoła i kładę wciąż drżącą rękę na klamce. Nie zamierzam przerywać milczenia.

– Typowe – rzuca.

Odwracam się do niego.

– Nie waż się znów mnie obrażać – mówię gniewnie. – Wyświadczy mi tę przysługę i nie pokazuj się więcej.

Finn krzyżuje ramiona na piersi.

– Nic z tego, dopóki nie zapłacisz za swoją zdradę.

O co mu chodzi?

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– Wiesz dobrze, że mnie zdradziłaś – odpowiada, patrząc na mnie karcąco.

– Nic bardziej mylnego. Twoje oskarżenia są tak absurdalne jak ty sam.

– Niczego innego się po tobie nie spodziewałem. Jak możesz w ogóle patrzeć w lustro?

– To ty mnie zdradziłaś! Czekałam tak długo, aż wrócisz, gdy urodziła się twoja córka! Ale teraz rozumiem już wszystko. Byłam dla ciebie tylko zabawką! Czy tak samo okłamywałeś Gerde? Kiedy zobaczyłam, jak ją całujesz, straciłam wszelkie złudzenia. Świetnie ci idzie wykorzystywanie innych! Zupełnie mnie nie dziwi, że jedyne, co możesz zaoferować, to zimne diamenty i bezmyślny seks!

Wyrzucam to wszystko z siebie jak karabin maszynowy, po czym wpadam do pokoju, zamykając za sobą drzwi. A jednak słyszę, co mówi.

– Co ty powiedziałaś?

W jego głosie słyszę łzy.

TRZYDZIESTY PIĄTY

Finn

10 lipca 1949

Mam córkę. Ta magiczna wieść krąży po mojej głowie, nie pozwalając spać. Ale nie znam nawet jej imienia. Nic o niej nie wiem. Muszę jakoś porozumieć się z Wandą. Nie może mi odmówić rozmowy – jeśli to zrobi, postaram się zmienić jej życie w piekło. Jest na mnie zła, a ja kompletnie nie wiem dlaczego. Jak może mi zarzucać, że porzuciłem córkę, skoro do tej pory nie wiedziałem o jej istnieniu? Dlaczego ma do mnie pretensje, że do niej nie wróciłem, skoro to ona mnie zdradziła i porzuciła? Jestem na nią wściekły. Ostatnie pięć lat żyłem z kamieniem w miejscu serca, bo Wanda zdradziła mnie w imię zemsty na moim bracie.

Muszę znaleźć sposób, by porozmawiać z nią sam na sam, i doskonale wiem, kto mi w tym pomoże. Louise jest dobrą kobietą; znam ją, odkąd sprowadziliśmy się z matką do Stanów. Nie przepadam za jej mężem Tonym, który wydaje mi się raczej podejrzanym typkiem żyjącym z pieniędzy żony. Natomiast ona jest godna zaufania, a przede wszystkim nie jest plotkarą.

Wchodzę do obszernego lobby Montauk Manor z jego wysokimi drewnianymi stropami, niezliczonymi kominkami i kamienną posadzką. Pamiętam to miejsce sprzed wojny. Podobał mi się wtedy jego staroangielski styl. W salach balowych zawsze pełno było gości z najwyższych sfer.

Nie zdążam nawet podejść do recepcji, gdy słyszę śmiech Louise. Wraca z kortu tenisowego z grupą innych kobiet. Dowiaduję się od niej, że Wanda postanowiła spędzić dzień samotnie, zwiedzając latarnię morską i pobliską plażę, podczas gdy jej narzeczony gra w golfa na polu Montauk Downs. Na razie dobrze mi idzie.

Wiem, że latarnia jest nadal zamknięta dla turystów, więc schodzę w dół stromą, wąską ścieżką pod wieżą, a potem idę wzdłuż kamienistego brzegu, oddychając głęboko słonym morskim powietrzem. Moje uszy chłoną szum fal roztrzaskujących się na kamieniach, a na skórze czuję przyjemne ciepło słońca i łagodną bryzę. Z dala od wzgórza cylindryczny kształt latarni wskazuje mi właściwy kierunek. Na plaży jest pusto.

Zauważam ją w końcu. Siedzi na dużym kamieniu wpatrzona w ocean. Wygląda zjawiskowo w jasnoniebieskiej letniej sukience. Zakochałem się w niej w środku wojennej pożogi, gdy była wychudzoną dziewczynką w podartym płaszczu, więc gdy patrzę na nią teraz, w pełni kobiecego piękna, czuję się oszołomiony. Coś mi mówi, że oberwę dziś kamieniem.

Muszę to dobrze rozegrać. Chcę, żeby moja córka była częścią mojego życia. Skoro ten facet, od którego dostała pierścioneł, kręci się wokół Tony'ego, nie może być od niego lepszy. Tony przysłał się do Louise ze względu na jej pieniądze i status; narzeczonemu Wandy oczywiście chodzi o co innego. Żadna z niej przecież bogaczka. Rano zadzwoniłem do Ryana, który był moim partnerem w FBI, i poprosiłem go, by sprawdził tego szemranego gościa. Muszę się dowiedzieć, czy to nie jest jakiś groźny typek. Zwykle daję ludziom kredyt zaufania, ale w jego przypadku mam jak najgorsze przeczucia.

Podchodzę powoli do Wandy.

– Cześć.

Odwraca się gwałtownie, by na mnie spojrzeć, a z jej ręki wysuwa się słomiany kapelusz. W jednej chwili wyraz jej twarzy zmienia się z zamyślnego w gniewny. Pewnie myślała o koziej bródce.

– Zostaw mnie w spokoju – mówi i odwraca się w stronę oceanu. Jej surowy głos zlewa się z hukami i szumem wody uderzającej o kamienie.

Cały sztywnieję. Ogarnia mnie gniew. Natychmiast przechodzę do rzeczy, chcę wreszcie powiedzieć wprost, co czuję. Tyle razy Wanda robiła to samo, ale wtedy jej wierzyłem. Po prostu nie sądziłem, że może być tak podstępna.

– Czemu to zrobiłaś? Czemu mnie zdradziłaś?

Patrzy na mnie, a w jej błękitnych oczach widzę tylko zdziwienie.

– O czym ty mówisz? Ja zdradziłam cię? To ty zdradziłeś mnie!

– Złamałaś mi serce, odchodząc. W liściku napisałaś, że już mnie nie kochasz. Powiedziałaś Veichtowi i Gerdzie, kim naprawdę jestem.

Wanda wstaje i patrzy mi prosto w oczy. Spojrzenie ma zimne jak lód.

– To Gerda zmusiła mnie do napisania tego liściku. Gdy wróciłam następnego ranka, by wszystko ci wyjaśnić, zastałam was w długim, namiętym pocałunku. Widziałam, że Gerda się do ciebie wprowadziła.

Odwraca się w stronę oceanu. Po jej policzkach cieką łzy.

– Oszczędź mi tej gadki o złamanym sercu, ty bydlaku.

Odchrząkuję.

– Musiałem udawać dla dobra misji, chronić swoją tożsamość. Wiesz doskonale, że do Gerdy nigdy nie czułem nic poza niechęcią.

– Dlaczego w takim razie nie możesz uwierzyć w moją niewinność i mi zaufać?

W jej głosie słyszę zawód.

– Widziałem cię tamtego dnia w Café Anna w towarzystwie Veichta. Widziałem, jak całował twoją dłoń i jak radośnie piliście za zwycięstwo Trzeciej Rzeszy.

– Nie wierzę – mówi Wanda, trzęsąc głową. – Anna prosiła, bym zajęła tego pana rozmową, a sama poszła ostrzec powstańców. Musiałam tańczyć, jak mi zagrał.

– Skąd Gerda mogła się o mnie dowiedzieć? – pytam ją, ale także sam siebie.

– Nie ode mnie – odpowiada bezbarwnie. – Poza tym wtedy nie wiedziałam jeszcze, że Veicht jest ojcem Gerdy. Anna powiedziała mi dopiero później. Bała się, że spanikuję.

Czuję pustkę w środku.

– Przepraszam cię – mówię po dłuższej chwili. – Byłem pewny, że mścisz się za to, że Stefan zabił ci ojca, a ten liścik... przecież to ty go napisałaś.

– Gerda oczywiście nie powiedziała Veichtowi, kim naprawdę jesteś. Liczyła, że się z nią ożenisz.

Wanda śledzi lecącą nad naszymi głowami mewę, jakby zbierała siły, ale po chwili znów skupia się na mnie.

– Uwierzysz, że zrobiłam wtedy dla ciebie pierogi z jagodami? – mówi i śmieje się bez radości. – Gerda wyrosła jak spod ziemi. Nie miałam czasu uciec. Musiała mieć klucz.

Odgarnia z twarzy kosmyk włosów.

– A ja musiałam być naprawdę zamyślona, skoro nie usłyszałam silnika.

Moje serce o mało nie pęknie od nadmiaru emocji.

– Błagam cię. Już ci wierzę. Nie musisz...

Ściska moje ramię. Jej dotyk rozpala moje zmysły ogniem, który trawi mnie od środka.

– Nie! Muszę powiedzieć ci wszystko!

Kiwam głową.

– Przejdźmy się. Tu jest tak spokojnie.

Idziemy ramię w ramię wzdłuż brzegu usianego kamieniami, wodorostami i muszelkami. Słone powietrze wypełnia mi usta. Czekam, aż Wanda zacznie mówić.

– Gerda wyraziła się jasno: jeśli nie zniknę z twojego życia, jej ojciec się tobą zajmie. Znała twoją tożsamość i zamierzała zabrać cię ze sobą do Berlina. W przeciwnym wypadku byś zginął.

Pochyla się, by podnieść małą muszlę, i przykłada ją do ucha.

– Dała mi piętnaście minut, groziła, że potem wezwie Gestapo. Myślałam, że dobrze robię, uciekając, ale byłam pewna, że wrócę, i tak zrobiłam.

Zatrzymuje się znowu. Szarpie się za ucho.

– Czy możemy zawrócić? Lubię patrzeć na tę latarnię morską.

Jej oczy powoli odzyskują dawny blask.

– Jasne. Sam lubię ten widok – odpowiadam.

– Powtarzałam sobie, że po wojnie mnie odnajdziesz, dlatego czekałam. Kalina urodziła się dwudziestego pierwszego kwietnia w Topilcu i tam zostaliśmy do końca lata. Wróciliśmy do domu, a niedługo później zaczęłam pracę jako tłumaczka w konsulacie amerykańskim. Tam pracuje mój narzeczony Paul. Pomógł mi odnaleźć twój adres w Nowym Jorku i przesłać ci list. Nie udało mi się to bez jego wsparcia, bo pod rządami Sowietów wiele rzeczy jest zwyczajnie niemożliwych. Ucieszyłam się, że przeżyłeś wojnę, i pomyślałam, że powinieneś wiedzieć o Kalinie.

Patrzy mi w oczy.

– Nigdy nie odpisałeś.

Odchrząkuję.

– Nigdy nie dostałem żadnego listu.

Milknę, chwytam jej rękę i szukam oczami jej oczu.

– Nie miałem pojęcia, że mamy córkę. Proszę, uwierz.

Przygląda mi się przez chwilę.

– Jak to możliwe? Paul zapewniał mnie, że adres się zgadza, a list dotarł.

Sporo sił kosztuje mnie powstrzymanie się przed szkalowaniem jej narzeczonego.

– Od kiedy jesteście parą?

– Prawie od roku – odpowiada i odwraca się ode mnie, wpatrując w widniejącą w oddali latarnię.

Nie ma sensu trwonić sił na gościa z bródką. Możliwe, że jest zupełnie niewinny, a list zwyczajnie przepadł w drodze. Takie rzeczy zdarzają się co dzień.

– Opowiedz mi o niej. Na razie znam tylko jej imię i wiek.

– To najśłodsza istota na świecie. Jest jak promyk słońca w chmurny dzień i bardzo za nią tęsknię. Moja matka i Kubuś ją uwielbiają.

Podnosi na mnie oczy.

– Pamiętasz? To ten chłopiec, którego uratowaliśmy.

Kiwam głową.

– Ona wie, że jesteś jej tatą. Ma twoje zdjęcie przy łóżku. Zuzanna dała mi film ze swojego aparatu. Pamiętasz ten aparat, który został po jej córkach, ten, którym się bawiliśmy?

– Tak, pamiętam – mówię i czuję gulę w gardle. – Dziękuję, że jej o mnie powiedziałaś.

W moim sercu jest teraz tyle miłości i wdzięczności, że chyba zaraz pęknie.

– Nie chciałam powtarzać błędów moich rodziców, więc zrobiłam wszystko, by nasza córka rozpoznała cię, gdy cię zobaczy.

– Czemu nie ma jej tu z tobą?

Wanda smutnieje.

– Paul uznał, że będzie bezpieczniejsza w domu. Przedemną jeszcze pięć dni tej tortury. Śmieje się nerwowo i spogląda na zegarek.

– Powiedziałam szoferowi hotelowemu, żeby po mnie przyjechał o drugiej. Jestem już spóźniona, muszę lecieć!

Zwraca się w stronę stromego szlaku. Chwytam ją za rękę, padam na kolana i patrzę jej w oczy.

– Błagam cię o wybaczenie. Nie miałem prawa w ciebie wątpić. Proszę, przebac mi! Chcę, byście ty z Kaliną były częścią mojego życia. Zrobię wszystko, by was odzyskać!

Wanda przez dłuższą chwilę wpatruje się w ocean, jakby mnie wcale nie było.

– To nie takie proste – mówi cicho. – Tak długo czekałam na twój powrót...

Krzyżuje ręce na piersi. Po jej policzkach cieką łzy.

– Wierzyłam całym sercem, że mnie odnajdziesz, bo nigdy nie zwątpiłam w siłę twojej miłości.

Nagle wybucha szalonym śmiechem.

– Nie masz nawet pojęcia, ile napisałam do ciebie listów, tylko po to, by przez chwilę czuć, że z tobą rozmawiam. Tak bardzo mi ciebie brakowało, każdego dnia. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbyś we mnie zwątpić, że mógłbyś uznać, że cię zdradziłam.

Zaczyna szlochać, ale gdy zbliżam się, by ją objąć, odsuwa się.

– Nie próbuj mi wmówić, że wystarczy, żebyśmy zamieszkali razem.

– Przepraszam, nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Chcę tylko, byś wiedziała, że zrobię, co tylko będę mógł, by uzyskać twoje przebaczenie. Powojenne lata i dla mnie nie były łatwe. Ogarnęła mnie paranoja, męczyły ciągłe koszmary. Tak bardzo chciałem cię nienawidzić, ale każdego ranka uśmiechałem się na myśl o tobie. Wspomnienia przynosiły mi ukojenie. Wiem, że nie wybaczysz mi od razu, ale proszę, nie odpychaj mnie.

Nie ma takiej rzeczy, której bym nie poświęcił, by móc teraz pogłaskać ją po policzku, lecz wiem dobrze, że nie powinienem. Potrzeba jej czasu, dostanie go ode mnie.

– Przyjdź jutro w południe do mojego domku letniskowego. Matka i dziadek wypłynęli w rejs, więc będziemy mogli porozmawiać w cztery oczy.

Staram się, by to brzmiało neutralnie; nie chcę jej wystraszyć.

– Pearson's Estate, przy East Lake Drive.

Kręci pierścionkiem na palcu, po czym nagle się odwraca.

– Muszę lecieć! – rzuca i ucieka.

Wkrótce zupełnie tracę ją z oczu, a moje serce ściska zimna ręka strachu. Czy jeszcze ją zobaczę?

TRZYDZIESTY SZÓSTY

Gerda

10 lipca 1949

Drogi papo,

z radością spieszę Cię poinformować, że na razie wszystko idzie zgodnie z naszym genialnym planem. Prawdę mówiąc, sprawy mają się lepiej, niż mogliśmy oczekiwać.

Ten idiota oczywiście bawi się w najlepsze w swoim olbrzymim domku letniskowym, który bardziej przypomina zamek z bajki. Tak, Papo – zamek, i wezmę go, nawet jeśli jest na tej żałosnej, zapomnianej przez Boga wyspie. My żyjemy jak biedacy, podczas gdy ten bydlak pławi się w luksusach. Zapewniam Cię jednak, że to już wkrótce się zmieni, a on zapłaci za to, co nam wszystkim zrobił. Zwłaszcza mnie.

Tak czy siak, pamiętasz pewnie tę brzydką portrecistkę, o której Ci mówiłam, tę, z którą mnie zdradził? Nie zgadniesz: ona też tu jest. Kto by w to uwierzył! Wygląda na to, że uda nam się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Popatrz sobie, jak ta dziwka umiera powoli w niewyobrażalnych mękach. Pozostawimy ich przy życiu, dopóki nie wyjawią nam potrzebnych informacji, a potem zaszlachtujemy jak świnie.

Tak długo czekaliśmy na okazję do zemsty; chciałabym, byś był tu ze mną i mógł się nią rozkoszować.

Proszę, papo, nie zapomnij spalić tego listu i nie pisz do mnie. Skontaktuję się z tobą, gdy wszystko będzie gotowe i będziesz mógł zacząć korzystać z naszej amerykańskiej fortuny. Na razie dbaj o siebie. Twój ostatni atak serca poważnie mnie przestraszył!

Z życzeniami zdrowia

Gerda

Nigdy nie miałam problemu z pisaniem do ojca. Brzydkie słowa same cisną mi się na usta, bo muszę dać wyraz temu, jak bardzo nienawidzę naszej ofiary. Tak, Finn stał się naszą ofiarą, odkąd papa odkrył jego intrygę. A stało się to, gdy skontaktował się z nami Stefan, przeniesiony do więzienia w Berlinie. Przedstawił mojemu ojcu plany, które ma względem swego brata.

Papa szczęśliwie dostał krótki wyrok. Ze względu na stan zdrowia zwolniono go z więzienia po trzech latach. Od razu zabraliśmy się do planowania zemsty. Chciałam, by

Stefan do nas dołączył. Kusilo mnie, by na nowo poznać człowieka, którego zabrano mi w tak niehumaniczny sposób. Finn mnie nie chciał, ale liczyłam, że jego brat podejmie inną decyzję.

Pozostaliśmy w kontakcie przez te lata, które Stefan spędził w więzieniu. Ojciec umiał przekonać właściwe osoby, by zagwarantowały Stefanowi wcześniejsze zwolnienie. Potem wybraliśmy się do Ameryki. Papa był zbyt schorowany, więc w drogę ruszyłam sama ze Stefanem. To była długa, wyczerpująca podróż, zakończona nielegalnym przekroczeniem granicy z Meksykiem. Niemniej wszystko się powiodło.

Dzień, w którym Stefan został zwolniony z aresztu, był najszczęśliwszym dniem mojego życia – a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Wkrótce dotarło do mnie, że Stefan niespecjalnie się mną interesuje. Nie było w nim pasji ani żadnych uczuć do mnie i na każdym kroku dawał mi to do zrozumienia. Jego zimne oczy rozbłysły dopiero, gdy zabraliśmy się za planowanie podróży i zemsty. On tak bardzo przypomina mi mojego ojca: ten sam zimny, kalkulujący umysł. Powtarzałam sobie, że właśnie tego mi teraz potrzeba.

Dlaczego zatem jestem taka zawiedziona? Dzielę złość, jaką czuje do brata, ale to teraz jedyne, co nas łączy. Nagle dociera do mnie, że Stefan po prostu nie jest zdolny do miłości. A ja, mimo swego gniewu i żądzy zemsty, chcę być kochana. To coś, czego nie dał mi ojciec ani Finn, a teraz nie mogę tego dostać od Stefana. Tylko matka mnie kochała, ale jej już od dawna nie ma.

Zacząłam zatem snuć osobne plany na przyszłość. Gdy ukończymy naszą misję, wystrychnę Stefana na dudka. Jestem teraz starsza i mądrzejsza, mogę sama o sobie decydować. Zasluguję na więcej, niż Stefan może mi dać, tak jak moja matka zasługiwała na więcej, niż dostawała od mojego ojca. Nie chcę skończyć jak *Mutti*. Jestem na tyle inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że Stefan nigdy nie będzie mnie dobrze traktował. Finn na pewno zachowywałby się inaczej, ale on mnie nie kocha.

Drzwi ciasnego pokoiku otwierają się nagle szeroko i wparowuje do niego Stefan, po czym bez słowa rzuca się obok mnie na łóżko. Zatrzymaliśmy się w obskurnym motelu w niezbyt przyjaznej dzielnicy. Nie pamiętam jej nazwy, ale wiem, że nadal jesteśmy w Nowym Jorku.

Stefan odwraca się do mnie i nasze oczy się spotykają. Jego spojrzenie onieśmiela mnie tak bardzo, że czuję strach.

– Jutro wracamy do Montauk – oświadczają, chuchając na mnie alkoholem. – A co ty tu masz?

Wyrywa mi list.

– Oddaj! – krzyczę drżącym głosem.

– Nie powinnaś mu nic wysłać. Ten stary głupiec pozwoli, by to wpadło w niepowołane ręce, i będziemy spaleni.

Drze kartkę na drobne kawałki i upuszcza na tani dywan. Zwijam dłonie w pięści.

– Śpiewałeś inaczej, gdy był twoim przełożonym – mówię przez zaciśnięte zęby.

Stefan śmieje się złowieszczo, znów wzbudzając we mnie niepokój.

– Pozwolił, by mój brat wodził go za nos aż do samego końca wojny!

Milczy przez chwilę, po czym przeczesuje moje włosy palcami.

– Pewnie nawet nie wiesz, że to on wydał rozkaz likwidacji twojej matki.

Cała sztywnieję.

– Kłamiesz!

Śmieje się ochryple.

– Ależ z was parka. Ty oddałaś ją w ręce Gestapo, a on kazał im ją zniszczyć. Sam widziałem, jak dzwonił do komendanta Ravensbrück. Prosił go też, żeby wysłał telegram o tym, że zmarła na tyfus, żebyś to łatwiej przełknęła.

Ból zalewa mnie jak nagła powódź, a łyzy pieką w policzki.

– Czemu teraz mi o tym mówisz?

– Bo chcę, byś przestała ufać temu głupcowi. Jego i tak już za rok nie będzie. Pomyśl, przed chwilą miał zawał, a przecież dalej chleje jak świnia.

Ziewa.

– Jesteś teraz moja – mówi niskim głosem. – Tylko ja ci zostałem.

Muszę się z tym pogodzić. Na razie. Nie mam do kogo się zwrócić, u kogo szukać pomocy, a mój papa pochwała sposób, w jaki Stefan mnie traktuje. Sam zachowywał się tak samo wobec matki.

W tej chwili jednak nie ma we mnie nienawiści do ojca, lecz litość. Patrzyłam na niego niewidzącymi oczyma, ale to już minęło. Stefana za to nie znoszę. Wiem, że mogę się od niego uwolnić tylko w jeden sposób: zabijając go.

TRZYDZIESTY SIÓDMY

Wanda

11 lipca 1949

Sala śniadaniowa w Montauk Manor pachnie świeżo zaparzoną kawą i jajecnicą z boczkiem. Smakuję słodko-kwaskowaty napój, rozkoszując się jego aromatem. To nie jest erzac. Nie jestem głodna, ale pochylam się nad miską płatków owsianych marki Cheerios, które lubię za to, że są takie lekkie. Odkrywanie bogactwa smaków dostępnych w tym obcym kraju sprawia mi autentyczną przyjemność.

Ku mojej wielkiej uldze przy stolikach zasiadają wyłącznie ludzie o nieznanym mi twarzach. Paul już jest na nogach – wybrał się na polowanie. Przed odjazdem poinformował mnie chłodno, że wróci dopiero wieczorem, bo planuje jeszcze zajechać na pole golfowe. Nie przeszkadza mi to, zwłaszcza po tym, co powiedzieliśmy sobie ostatniej nocy.

Przyglądam się jasnej kresce na moim palcu, gdzie wcześniej był pierścionek. Nigdy nie powinien być się tam znaleźć. Wiedziałam to od samego początku. Gdy Paul mi się oświadczył, nie udawałam, że czuję do niego cokolwiek poza przyjaźnią. Uparł się, że z czasem połączy nas głębsza zażyłość, kiedy już zaczniemy dzielić razem życie. A teraz pierścionka nie ma; spoczywa wśród rzeczy Paula. Nie mam żadnych wątpliwości, że tak być powinno.

Ta wyprawa otworzyła mi oczy na prawdę o naszej relacji. W Polsce łączyło nas miejsce pracy w konsulacie, więc w wolnym czasie mogliśmy dzielić nasze zamiłowanie do sztuki. Podobał mi się ten układ. Tu jest inaczej: jestem na wakacjach w obcym kraju, a mój narzeczony robi wszystko, by spędzać ze mną jak najmniej czasu. A mnie to ani trochę nie przeszkadza, tylko utwierdza w słuszności własnych przekonań. Spotkanie z Finem jedynie wzmogło chęć zerwania z Paulem.

– Nie masz nawet tyle przyzwoitości, by poczekać z rozstaniem, aż wrócimy! – rzucił do mnie Paul ostatniej nocy, patrząc na mnie gniewnie. – Nawet nie masz pojęcia, jak musiałem się napracować, żebyś dostała wizę.

– Dziękowałam ci za to więcej niż raz, Paul, jednak wciąż mi o tym przypominasz.

Jego oczy błysnęły złośliwie.

– Nie wspomnę o tym, ile mnie ten wyjazd kosztuje.

– Cóż, skoro zapłaciłam za własny bilet i dołożyłam się do rachunku hotelowego, nie widzę powodu, bym czuła się za to odpowiedzialna. Może powinieneś nieco rzadziej polować i grać w golfa? Gdybyś spędzał połowę tego czasu ze mną, może trudniej by mi było z tobą zerwać.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Źle ci z Louise?

– Nieważne – powiedziałam z westchnieniem. – Muszę z tobą porozmawiać o czymś innym.

Patrzyłam mu w oczy, nawet nie mrugając.

– Mam powody sądzić, że świadomie zatrzymałeś dla siebie mój list do Finna. Nigdy go nie wysłałeś.

Zaczerwienił się.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedział, cofając się o krok.

– Zapewniałeś mnie, że wysłałeś mój list do Finna. Rozmawiałam z nim dziś. Mówi, że nigdy go nie otrzymał.

– Jak to, rozmawiałas z nim? – zapytał, marszcząc brwi.

– Czemu to zrobiłeś, Paul?

Moje spojrzenie musiało być szczególnie trudne do zniesienia, bo Paul odwrócił się do mnie plecami.

– On na ciebie nie zasługuje. Porzucił cię, a ja próbowałam cię chronić. Ale teraz już mi wszystko jedno.

Wypadł wtedy z pokoju i wrócił dopiero późno w nocy. Gdy tylko runął na łóżko, rozległo się chrapanie. Odetchnęłam z ulgą.

Po śniadaniu wracam do pokoju, nie mogąc przestać myśleć o Finnie. Niedługo odlecę do domu, może już nigdy go nie zobaczę. Choć wciąż mam nadzieję, że nadal czuje do mnie to co wtedy, możliwe, że zależy mu tylko na Kalinie i wcale nie zamierza wejść do naszej rodziny. Jednak jego zachowanie wczoraj na plaży na to nie wskazuje. Każde jego słowo brzmiało szczerze, nie uciekał ode mnie spojrzeniem. Gdy mnie dotykał, czułam w całym ciele ciepło i podniecenie. Miałam ochotę wtulić się w niego i trwać tak przez wieczność. To, że nie otrzymał mojego listu i do tej pory nie wiedział o Kalinie, przyniosło mi niekłamaną ulgę.

Czy mężczyzna, który nie umiał mi zaufać, może być zdolny do takiej miłości, jaką ja do niego czuję? Kocham go w sposób, którego nie potrafię opisać zwykłymi słowami, jakby miał w sobie coś, czego zawsze mi brakowało. Nie jestem jednak pewna jego uczuć do mnie, choć przecież oddałam mu całe swoje serce.

Kładę na łóżku letnie sukienki, które kupiłam w Nowym Jorku. Razem z suknią wieczorową, kostiumem kąpielowym i innymi akcesoriami pochłonęły połowę moich pieniędzy. Były jednak tego warte, bo pozwoliły mi wtopić się w tłum innych kobiet, co nigdy by mi się nie udało w polskich ciuchach. Louise zaprosiła mnie na opalanie do Cabana Club, więc wkładam jednoczęściowy kostium kąpielowy. Na razie włożę na wierzch jedwabistą sukienkę z rękawkami do łokcia, elastycznym paskiem i półhalką do łydki. I kostium, i sukienka są w barwie słonecznej żółci; ten kolor przywodzi mi na myśl tamtą noc, gdy Finn zaprosił mnie na kieliszek wina na balkonie. Coś mnie wtedy do niego przyciągnęło i teraz czuję tę samą siłę.

Jest na tej wyspie, chyba tylko parę kilometrów stąd. Może spędził noc z tamtą wysoką brunetką z przyjęcia, a może już zapomniał, że zaprosił mnie na lunch. W Warszawie połączyło nas wiele rzeczy – ciężka wojenna dola, tajemnice, walka i bezustanny lęk. Tam napędzały nas adrenalina i ciągły strach, ale tu jest inaczej. Tu jest jego dom, a ja jestem cudzoziemką. On jest przystojny i najwyraźniej bogaty, niewątpliwie interesuje się nim wiele kobiet. Ja przypominam mu o mrocznych latach wojny, ale jednocześnie wnoszę do jego życia nowy sens: jego córkę. Czuję, że bardzo chce poznać Kalinę, ale musi pamiętać, że jej dom jest przy mnie, w Polsce, i to on musi zmienić swoje życie, by móc się do niej zbliżyć.

Właśnie kończę wkładać kostium kąpielowy, gdy z zamyślenia wytrąca mnie pukanie do drzwi. To pewnie Louise. Jestem już spóźniona o dziesięć minut. Gdy uchylam drzwi gotowa przeprosić, moje usta zastygają w pół słowa. To Finn. Pożera wzrokiem całą moją sylwetkę, po czym się uśmiecha.

– Oszałamiająca – mówi cichym, zmysłowym głosem.

Czuję, że się czerwienię.

– Spodziewałam się Louise – odpowiadam, odwracając wzrok. Jeśli jeszcze raz spojrzę mu w oczy, nie powstrzymam się przed rzuceniem się w jego objęcia. Wszystko we mnie mięknie, gdy widzę, jak na mnie patrzy. Zamiast tego spoglądam więc na jego rozchyloną śnieżnobiałą koszulę, która wspaniale podkreśla jego muskularną budowę.

– Właśnie z nią rozmawiałem. Prosiła, bym ci przekazał, że nie czuje się dziś dobrze i musi odwołać wasze spotkanie w Cabana Club.

Uśmiecha się do mnie z niekłamanym zadowoleniem, a biel jego zębów kontrastuje z opaloną twarzą.

– Migrena potrafi człowieka dobić.

Zastanawiam się, czy jest na moim ciele jakiekolwiek miejsce, które się nie zaczerwieniło.

– Och, biedna Louise. Mam nadzieję, że jej szybko przejdzie. A teraz, jeśli pozwolisz...

Wsuwa rękę między drzwi a futrynę.

– Moje zaproszenie na lunch jest wciąż aktualne. Zwłaszcza teraz, kiedy twoje plany uległy zmianie.

Nie odpowiadam od razu. Spogląda na moją dłoń, na której widać ślad po pierścionku.

– Już wszystko gotowe. Tak się napracowałem przy tych kanapkach z jagnięciną... Proszę, nie wymawiaj się!

Jego głos brzmi błagalnie, a w oczach widzę tęsknotę.

– Nie przepadam za jagnięciną, ale byłoby szkoda wysiłku, który w to włożyłeś – mówię, posyłając Finnowi najwdzięczniejszy uśmiech, na jaki mnie stać. – Pozwól tylko, że się przebiorę.

– Jeśli o mnie chodzi, twój strój jest idealny – odpowiada, pozwalając oczom nasycić się widokiem mojego ciała.

Ten mężczyzna doprowadza mnie do szaleństwa.

– Spotkajmy się na dole za dziesięć minut – mówię, zamykając mu drzwi przed nosem.

Podróż kasztanowym kabrioletem marki Lincoln, którym jeździ Finn, okazuje się sporym wyzwaniem z powodu chłostającego mnie po twarzy i psującego fryzurę wiatru. Wyrzucam sobie, że nie zabrałam kapelusza. Gdy dojeżdżamy do wąskiej żwirowej alejki, Finn zwalnia i wpadamy w chmurę duszącego pyłu. Na szczęście wkrótce stajemy przed malutkim białym zameczkiem z bajki z basztą z nierówno ciosanych kamieni. Dociera do mnie, że gapię się na niego z otwartymi ustami. Finn wyłącza silnik.

– Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt nieprzyjemna – mówi ze szczerą troską.

Nie mogę się powstrzymać i parskam śmiechem.

– Nawet z zepsutą fryzurą i piaskiem w zębach bawiłam się lepiej, niż gdy wiozłeś mnie do domu na Żoliborz w tę noc, kiedy na placu Wilsona zawyły szczekaczki. Byłam przerażona, bo myślałam, że jesteś Stefanem.

Uśmiecha się.

– Byłem wtedy zbyt zajęty dociekaniem, czemu mój występ w Café Anna doprowadził cię do takiej desperacji, że wypijaś duszkiem pół butelki wódki, skoro fakt, że salę wypełniali nazistowscy żołdacy, tak na ciebie nie podziałał.

Żartobliwie mierzwi moje włosy.

– Teraz za to zamierzam ci dowieść, że lepiej gotuję, niż śpiewam – mówi, puszcza do mnie oko i całuje mnie w dłoń bez pierścionka. Jego oczy są pełne wyrazu.

Staram się nie zwracać uwagi na to, jak bardzo wali mi serce.

– Masz piękny domek letniskowy!

Kiwa głową.

– To zasługa mojego dziadka. Zbudował go pod koniec lat dwudziestych, a potem wyremontował po huraganie w trzydziestym ósmym. Ma słabość do Montauk.

– Determinację masz chyba po nim – zauważam.

Finn śmieje się krótko.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Prosi, bym zaczekała, a sam znika we wnętrzu zamku, a chwilę później wraca z wiklinowym koszykiem pełnym jedzenia i kocem przewieszonym przez ramię.

– Pomyślałem, że miło będzie zrobić sobie piknik na plaży – oznajmia, patrząc na mnie poważnie.

Czuję bużujące gdzieś wewnątrz podniecenie.

– Brzmi cudownie.

Jego twarz się rozpromienia.

– Żeby było jasne, to nie jest jedyna niespodzianka, jaką dla ciebie przygotowałem!

Znów całuje mnie w rękę. Ruszamy w dół wąską ścieżką, kierując się na plażę. Z radością wdycham słone morskie powietrze.

– Mogłabym mieszkać na plaży! – mówię, gdy szukamy dobrego miejsca na piknik.

W okolicy nie ma żywej duszy, tylko w oddali mającą jakieś sylwetki. Finn śmieje się z mojego pomysłu.

– Tak właśnie myślałem. Może tu?

Wskazuje pustą przestrzeń przy dużej skale, niedaleko od wody. Ściągam sandały i wsuwam palce w gorący piasek, aż dosięgam do chłodnej warstwy pod spodem, która koi moje stopy. Niebo jest bezchmurne; błękit ciągnie się w nieskończoność. Bryza łagodnie pieści moją skórę.

– Tu jest niebiańsko – mówię, patrząc, jak Finn rozkłada koc na piasku. – Pomóc ci?

– Mam wszystko pod kontrolą – odpowiada. – Chcę, żeby ci się podobało.

Wskazuje gestem ocean. Podoba mi się. Odwracam się przodem do wody, nasłuchując szumu fal, chrzęstu piany chlustającej o brzeg i krzyku mew poszukujących pożywienia. Mogłabym tu zostać na zawsze.

– Czas na wykwintne danie! – ogłasza Finn zza moich pleców głosem komedianta.

Kanapki z pszennego chleba z jagnięciną smakują wyśmienicie.

– Są pyszne! Myślałam, że nie lubię jagnięciny, ale najwyraźniej ty robisz ją tak, że palce lizać.

Finn puszcza do mnie oko.

– Mówiłem, że świetny ze mnie kucharz.

Gadamy o przeróżnych drobnostkach, unikając tematu wojny i konspiracji. Popijamy czerwone wino o gładkim i bogatym smaku. Wyczuwam w nim jeżyny, ale nie umywa się do słodkiego napoju produkcji pani Kowalskiej. Gdy kończymy, Finn namawia mnie, bym się położyła, a on w tym czasie pozbiera resztki do koszyka.

– Może się przejdziemy? – pyta, patrząc na mnie leniwie.

Czuję się tak rozluźniona, gdy jestem tu z nim, że przestaję się martwić o rodzinę w Polsce. Z drugiej strony wiem, że ta idylla nie potrwa długo i wkrótce przyjdzie mi wracać do domu. Czuję się rozdarta między radością z powrotu do najbliższych i bolesną świadomością, że po raz kolejny rozstaniemy się z Finnem. Chcę, by znów był częścią mojego życia.

– Chętnie się przejdę – odpowiadam. – Może przy okazji opowiesz mi trochę o tej latarni morskiej.

– Jasne.

Podnoszę się z koca i podaję mu rękę. Chwyta ją i przyciąga mnie do siebie. Topnieję jak wosk, gdy jego gorące usta dotykają mego ucha, potem schodzą niżej, do nasady karku, a na koniec docierają do mych warg. Nie znajduję siły, by się odwrócić. Jego usta napierają, domagając się odpowiedzi, a gdy im się poddaję, tonę w powodzi czystej zmysłowości. Ogarnięta żarem jego męskiej siły, pragnę, by ten moment trwał wiecznie. Nikt inny w całym wszechświecie nie sprawia, że tak się czuję – tylko Finn Keller.

Chwilę później ruszamy wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce.

– Chodźmy do wody – mówi, ciągnąc mnie za sobą.

– Nie umiem pływać, no i nie mam kostiumu!

– Ja cię nauczę – stwierdza, po czym zdejmuje koszulę i uśmiecha się do mnie. – A kostiumu nie potrzebujesz.

– Co ty robisz? – pytam i uśmiecham się z niedowierzaniem, patrząc, jak rozbiera się i biegnie do wody.

Czerwienię się i rozglądam, ale na szczęście w okolicy nikogo nie ma. Nie znałam go od tej strony. Rozkłada szeroko ramiona, odchyła głowę i krzyczy:

– Kocham Wandę!

Powtarza to kilka razy, po czym odwraca się do mnie z poważną miną.

– Chodź do mnie.

Moje serce płonie.

– Zwariowałeś – mówię, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Ten spontaniczny akt radości bardzo mi się spodobał. W Polsce Finn nigdy tak się nie zachowywał, bo zbyt wiele było trosk i zagrożeń, zewsząd otaczało nas cierpienie. Tu wszystko wydaje się prostsze.

– Jeśli tu nie zejdziesz, to znikam pod falami – mówi. – Tylko ty możesz teraz ocalić moją dumę.

– Oszalałeś!

Nie wiem, czy mnie słyszy; mój głos ginie w szumie fal. I wtedy, ku mojemu przerażeniu, on nagle znika. Zapiera mi dech w piersiach. Czekam, aż się wynurzy, ale nic się nie dzieje.

Przełykam nerwowo ślinę. Czemu on to robi? Wiem przecież, że udaje, bym do niego dołączyła. Czekam jeszcze minutę, zanim pozwalam adrenalinie wziąć górę. Nie mogę go znów stracić. Bez zastanowienia wbiegam do wody.

– Finn! Już dość!

Nie odpowiada, więc prę naprzód. Woda sięga mi do piersi, ale jego nadal nie widać.

– Finn!

Ku mojej wielkiej uldze czuję nagle, że obejmuje mnie w talii. Wynurza się tuż przed moim nosem.

– Przyszłaś – mówi z szerokim uśmiechem.

Kładę dłonie na jego piersi i próbuję go odepchnąć.

– To nie było zabawne – mówię z wściekłą miną. – Myślałam, że coś ci się stało, a przecież nie mogłabym ci pomóc.

Czuję, jak łzy napływają mi do oczu, więc odwracam się do niego plecami.

– Mówiłam ci, że nie umiem pływać.

Przyciąga mnie z powrotem.

– Przepraszam – mówi i podnosi moją brodę. – Zachowałem się jak głupek. Proszę, wybacz.

Nie mam serca dłużej się na niego złościć. Powinnam była się zorientować, że udaje.

– Nie, to ja przesadziłam. Po tym wszystkim... Wstyd mi.

Uśmiecham się, ale nie umiem na niego teraz spojrzeć.

– To było urocze i podobało mi się – odpowiada ze złośliwym uśmieszkiem. – Może to powtórzymy?

– Przestań się nade mną pastwić! – mówię, nadal unikając jego wzroku.

– Spójrz na mnie – prosi cichym, ale poważnym tonem.

Gdy podnoszę wzrok, widzę, że uśmiecha się łagodnie. On wcale nie robi sobie ze mnie żartów.

– Podobała mi się twoja reakcja, bo to niesamowite uczucie wiedzieć, że naprawdę ci na mnie zależy. Przez te wszystkie lata myślałem, że żywiesz do mnie jedynie nienawiść, że pragniesz mojej krwi tak samo jak krwi mojego brata. Nieznośnie bolało, gdy co rano budziłem się i sobie o tym przypominałem. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. Nie było dnia, żebym ciebie nie wspominał i za tobą nie tęsknił.

Milknę, szukając właściwych słów.

– Nienawidziłem siebie za to, ale nie umiałem tego zwalczyć. Kiedy zobaczyłem cię tamtego wieczora w Island Clubie, bardzo chciałem upewnić się, że cię nienawidzę,

i wmawiałem sobie, że spotkanie z tobą wreszcie uwolni mnie od bólu. Ale byłaś tam razem z Paulem. Nie mogłem powstrzymać zazdrości.

– Ja nigdy nie przestałam cię kochać, nawet gdy wierzyłam, że mnie porzuciłeś. Nawet gdy sądziłam, że odrzuciłeś Kalinę.

Całuję go w usta. Z początku czuję, że jest zaskoczony, ale zaraz odwzajemnia pocałunek i każdy zakątek mego ciała ogarnia nagle przyjemne ciepło.

– Chodźmy – mówi schrypniętym głosem. – Wolę, żebyś nie wiedziała, co teraz chciałbym z tobą zrobić.

Następnego dnia spotykam Finna na plaży w pobliżu latarni morskiej. Obiecał, że mi ją pokaże, choć jest zamknięta dla zwiedzających. Okazuje się, że zna osobiście latarnika, więc wkrótce wspinamy się oboje po schodach prowadzących na szczyt wieży.

– Ten widok jest oszałamiający – mówię, podziwiając z nieskrywanym zachwytem bezkresny ocean.

– Czyli jednak nie masz lęku wysokości – odpowiada Finn, stając za mną i obejmując mnie w pasie.

Opieram się o niego i kładę głowę na jego piersi.

– Trochę się boję, ale gdy jesteś przy mnie, czuję się bezpieczna.

Finn się śmieje.

– Na niewiele ci się zdam, jeśli zechcesz skoczyć, więc zrób to dla mnie i nie ruszaj się.

Odwracam się do niego i spoglądam w jego oczy.

– Nadal sprawiasz, że czuję się bezpieczna.

Nie chodzi mi o wieżę i on to rozumie. Robi poważną minę i podnosi moją brodę.

– Tym razem się na mnie nie zawiedziesz.

Przytulamy się, a Finn mnie całuje. Szumi mi w głowie.

– Chodź dziś ze mną na obiad – szepcze.

– Ale z ciebie czaruś.

– Czy to znaczy „tak”?

Lubię, gdy patrzy na mnie, szukając potwierdzenia swych słów, i jedyne, czego pragnę, to spędzić z nim jak najwięcej czasu, zanim wrócę do domu.

– Zgoda, ale tylko jeśli tym razem pozwolisz mi gotować.

Chichoczę.

– Tamte kanapki z jagnięciną były znakomite, ale podejrzewam, że ktoś inny przygotował je na twoje zamówienie.

– Rozumiem. Zatem nie wierzysz w moje kulinarne talenty.

Odchyła głowę i śmieje się długo i serdecznie.

Godzinę później, przed wejściem do swego zameczku, Finn bierze mnie na ręce i unosi w powietrze. Wybucham śmiechem.

– Ale z ciebie głuptas, Finn. Nie jestem twoją żoną. Postaw mnie na ziemi.

W jego twarzy nie widzę jednak uśmiechu. Odkopuje za nami drzwi i domyka je stopą.

– To, co do ciebie czuję, nie podlega żadnym zasadom – mówi, patrząc na mnie rozpłomienionymi oczami. – Gdy jestem z tobą, jestem w domu. Nie pozwolę, byś odeszła. Nie tym razem.

Z emocji wstrzymuję oddech. Biorę jego twarz w dłonie.

– Mówisz prawdę?

– Potrzebujesz dowodu? – pyta z uśmiechem. Delikatny dotyk jego skóry i znajomy leśny zapach wody kolońskiej sprawiają, że każdy kawałek mego ciała pragnie teraz tylko jego.

– Nie odstawię cię, dopóki mi nie uwierzysz.

Unosi moją brodę i dotyka ustami moich warg. Ten pocałunek pobudza i pociąga, a gdy jego język odnajduje mój, zmysły szaleją, uwalniając głębię przyjemności, której nie mogłam zaznać przez te wszystkie lata spędzone z dala od niego. Serce bije mi szybciej z tęsknoty i podniecenia. Tego, co czuję, gdy Finn mnie dotyka, nie dałby mi żaden inny mężczyzna; jakby znał każdy czuły punkt mojego ciała. Gdy odrywa ode mnie usta, uśmiecham się i mówię:

– Nadal nie jestem przekonana.

Śmieje się gardłowo.

– Jeszcze nawet nie zacząłem cię przekonywać, uzbrój się w cierpliwość.

Odstawia mnie na ziemię i sięga do kieszeni. Wydobywa z niej małe kwadratowe pudełeczko. Klęka na jednym kolanie, wyciąga do mnie rękę i otwiera puzderko. W środku jest prześliczny pierścionek zdobiony diamentem w kształcie serca. Moje własne bije jak szalone. Patrzę zmieszana, najpierw na klejnot, potem w głębokie oczy tego mężczyzny.

– Kochanie, wiem, że nie zależy ci na diamentach, ale ten jest szczególny i tylko ty możesz go mieć. Moja babcia dała mi go przed śmiercią. Prosiła, bym obiecał, że ofiaruję go kobiecie, którą pokocham najszczerszą miłością. Wiem, że jesteś zaręczona... a może jednak nie?

Spogląda ostrożnie na moją dłoń.

– Pokochałem cię, gdy tylko na ciebie spojrzałem, i odtąd moje uczucie jedynie się pogłębiało. Po wojnie przez lata czułem otępienie i pustkę, bo byłem bez ciebie. Dopiero teraz znów czuję, że żyję.

Wydobywa pierścionek z pudełeczka i wbija we mnie wzrok.

– Czy wyjdiesz za mnie?

Nie posiadam się z radości. Czuję łyzy pod powiekami i nie próbuję ich powstrzymać. Chcę powiedzieć „tak”, jednak to słowo nie przechodzi przez moje ściśnięte gardło. Finn patrzy na

mnie zatroskany.

– Nie musisz odpowiadać teraz. Poczekam.

– Tak – wyrzucam z siebie wreszcie i uśmiecham się w zachwycie.

Jego twarz promienieje szczęściem. Wsuwa pierścionek na mój palec, po czym całuje mnie tak mocno, że w każdym zakątku ciała czuję jego tęsknotę. Gdy idziemy na górę po schodach, cały czas mnie przytula. Wciskam twarz w jego ciepłą pierś.

Leżę w łóżku w objęciach Finna i czuję się świeża i rześka, jakbym wdychała wilgotne morskie powietrze. Cudowny dotyk jego muskularnego ciała upaja mnie wycieńczoną godzinami kochania. Mam motyle w brzuchu na myśl o delikatnych, zmysłowych palcach Finna. Gdy głaszcze i pieści moje ciało, czuję wszechogarniającą rozkosz, która daje mi błogie zapomnienie. Zastanawiam się, czy w ogóle da się odczuwać tak intensywnie – może tylko to sobie wyśniłam? Może tak jest, gdy kocha się tego jedyne. Naszą miłość mógł nam odebrać tylko kaprys kogoś, kto chciał igrać naszym życiem, zniszczyć je. Finn nie wrócił po mnie, bo myśl, że go zdradziłam, była dla niego zbyt bolesna.

– O czym myślisz, najdroższa? – pyta, głaszcząc mój policzek.

– Zastanawiam się, czy da się kochać tak bardzo.

– Wychodzi na to, że tak – szepcze. – Bez ciebie czuję się zagubiony, pusty i głupi i nigdy już nie wypuszczę cię z rąk.

– A więc po to zaciągnąłeś mnie do swojego łóżka, żeby już mnie nie wypuścić?

Podnoszę głowę z jego piersi, by spojrzeć mu w oczy, i wykrzywiam usta.

– I znów zadaję sobie pytanie, czy to na pewno ty zrobiłeś te kanapki z jagnięciną...

Finn śmieje się leniwie.

– Winny zarzucanych mi czynów. Zrobiła je moja gosposia.

– Dlaczego ja cię tak dobrze znam?

Uśmiecha się, ale zamiast odpowiedzi długo i namiętnie mnie całuje. Gdy odrywa ode mnie usta, czuję się otumaniona.

– Pozwól, że skoczę po coś do picia, księżniczko.

Przechesuje dłonią moje włosy i wstaje z łóżka. Przytulam twarz do poduszki wciąż uśmiechnięta, wciąż szczęśliwa. Tak, czuję się jak w niebie, gdy po tyłu przejściach mogę być w końcu z kimś, kogo od dawna pragnęłam. Szczypię się, żeby się upewnić, że to nie jest tylko sen.

– Opowiedz mi, jak się ma twoja rodzina w Polsce – mówi Finn, gdy rozkoszuję się przyniesionym przez niego winem.

– Nadal mieszkam z matką w naszym starym domu na Żoliborzu. Tak się zżyliśmy z Kubusiem, że postanowiłam go adoptować. To taki kochany chłopak, wymarzony brat dla Kaliny.

– Twój ojciec na pewno cieszy się, gdy patrzy na was z góry.

Upijam łyk wina i wzdycham.

– Taką mam nadzieję. Szczęśliwie nowy ustrój nie daje nam się zbyt w znaki, choć przecież pracuję w konsulacie amerykańskim.

Znów wzdycham i odstawiam kieliszek.

– Wielu ludzi poddano brutalnym przesłuchaniom. Jeśli kiedykolwiek dowiedzą się, że brałam udział w powstaniu, oskarżą mnie o zdradę i może nawet wydadzą wyrok śmierci.

Nie chcę wspominać o smutnej rzeczywistości, skoro mamy tak niewiele czasu, więc zmieniam temat.

– Utrzymujesz kontakt z Zuzanną? Mieszka teraz z córką w Kanadzie.

– Nie, nie mam od niej wieści, ale Ignacy pisał mi, że się przeprowadziła z dziećmi.

W jego głosie pobrzmiewa wzruszenie.

– Słyszałaś, że Witek zginął w powstaniu?

– Tak.

Przez chwilę leżymy w ciszy.

– Myślałem wiele razy o tym piegowatym chłopaku z riksą...

– Przeżył. Studiuje geologię na Uniwersytecie Warszawskim. Komuniści nie wiedzą o jego przeszłości w podziemiu i udziale w powstaniu.

Uśmiecham się.

– To nadal ten sam nieśmiały chłopak, ale wiem, że kocha się w nim niejedna dziewczyna.

– Różni się od Manfreda, ale jednak jakoś mi go przypomina.

– A co się stało z Manfredem?

– Nadal jest moim asystentem – mówi i śmieje się z satysfakcją. – Pracuje w firmie prawniczej mojego dziadka na Manhattanie. No, teraz to już moja firma.

– Skończyłeś prawo? – pytam zadziwiona.

– Nie od razu. Z początku, gdy wróciłem do domu, wstąpiłem do FBI, ale potem dziadek zagroził, że mnie wydziedziczy, jeśli nie skończę studiów i nie przejmę po nim firmy. Matka też na mnie naciskała w tej sprawie.

– Ciekawe, czy oni w ogóle mnie polubią – mówię.

Już sobie wyobrażam, jak zareagują na wieść, że Finn ma córkę. Czy będą mieli do mnie pretensje? Trudno mi uwierzyć, że powitają nas z otwartymi ramionami, mimo wszystko.

Finn odstawia kieliszek, przynosi tacę z łóżka na stolik nocny i przyciąga mnie do siebie.

– Polubią, a nawet jeśli nie, to ja i tak wybiorę ciebie i Kalinę. Nie masz się o co martwić.

Całuje mnie w czoło.

– Skontaktowałaś się z rodziną twojej biologicznej matki?

– Dziadkowie zginęli w powstaniu. Ich kamienica zawaliła się, gdy ukrywali się w piwnicy. Matka była ich jedynym dzieckiem. Innych krewnych nie udało mi się znaleźć.

Wzdycham.

– Nie dowiem się o niej niczego więcej.

– Przynajmniej masz jej zdjęcie – mówi.

– Mam i jestem wdzięczna, że zostało mi choć to.

Po dłuższym milczeniu mówię:

– Chyba zostanę do końca wyjazdu w Montauk Manor. Jest tam przyjemniej niż w mieście z moim byłym narzeczonym.

Finn obejmuje mnie w kolejnym pocałunku.

– Pomogę ci przenieść się tutaj. To teraz twój dom.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie. Rano muszę pojechać do miasta, żeby załatwić parę spraw w biurze, ale nie będzie mnie tylko przez kilka godzin. Dasz sobie radę?

– Oczywiście – odpowiadam i patrzę na niego zalotnie. – Nareszcie będę mogła się odprężyć na plaży, po tym jak bezustannie mi w tym przeszkadzałeś.

TRZYDZIESTY ÓSMY

Finn

— **G** ość jest czysty – mówi Ryan, mój rudy przyjaciel o posturze greckiego boga. – Nie wpakował się jak na razie w żadną kabałę.

Chodzi mu o Paula, byłego narzeczonego Wandy. Ryan zadzwonił do mnie do biura. Chwilę pogawędziliśmy o byle czym, głównie o jego dwutygodniowym pobycie w Irlandii, ale potem przeszedł do rzeczy.

– Musiałem się upewnić. Dzięki.

Nie martwię się już o tego faceta, zwłaszcza odkąd Wanda przyjęła moje oświadczyzny.

– Dostałeś może kolejny anonim? – pyta Ryan.

Po wielu wspólnych misjach wiemy o sobie niemal wszystko, więc wyczuwam nutkę niepokoju w jego głosie.

– Nie, nic oprócz tego sprzed kilku tygodni. To mógł być głupi żart; wiesz, jest kilka pań, którym założyłem za skórę.

– Nie bądź taki skromny – mówi Ryan, śmiejąc się donośnie. – Każda kobieta w tym mieście wie, że masz serce z żelaza.

– Masz świętą rację – odpowiadam i uśmiecham się szeroko. – Ale od wczoraj moje żelazne serce jest zajęte na stałe.

W słuchawce zapada dłuższa chwila milczenia.

– Cha, cha. Wesolek. Teraz to mnie nabrałeś.

– Nazywa się Wanda.

Gdy myślę o naszych zaręczynach, czuję w środku wielką ulgę.

– Wanda? Mówisz o tej Polce, którą poznałeś podczas wojny? Chyba żartujesz. Myślałem, że wydała cię Niemcom.

– Byłem wielkim głupcem. To długa historia. Opowiem ci, jak się spotkamy.

– Jasne, przyjacielu – mówi. – Bardzo się cieszę.

Słyszę radość w jego głosie.

– Pewnie jest tam z tobą?

– Jest w Montauk. Za to nasza córka jest jeszcze w Polsce.

– Czekał. Powiedziałaś „córka”?

Rozsiadam się w fotelu.

– Zdaję sobie sprawę, że to trochę dużo naraz.

– Taaak, zdecydowanie za dużo jak na jedną rozmowę. Przyjadę w ten weekend, może się wtedy spotkamy, to mi wszystko opowiesz.

– Umówmy się na wędkowanie przy wyspie, jak ostatnio.

– Dobra! Słuchaj, czyli nie było żadnych innych anonimów, tak?

Jego głos znów brzmi nieco mniej pewnie.

– Tak.

Czuję, że ma mi coś ważnego do przekazania.

– Dobrze. Pewnie masz rację, że nie ma się czym martwić i to tylko jakaś zazdrosna wariacka.

– Czemu tak kluczysz, przyjacielu?

– Kiedy ostatnio miałeś kontakt z bratem? – pyta przyciszonym i napiętym głosem.

Odchrząkuję.

– Wiesz przecież, że nie widziałem go od końca wojny – mówię. – Po spotkaniu w Londynie nie miałem już ochoty na kolejne próby kontaktu. Ukryłem przed matką większość z tych okropności, których dopuścił się w czasie wojny, bo prawda by ją zabiła. Regularnie wysyłała mu paczki i nawet parę razy poleciała przez cały ocean, żeby go odwiedzić. Za każdym razem wracała ze złamanym sercem, bo ten bydlak nawet nie chciał się z nią zobaczyć. Dziadkowi powiedziałem całą prawdę i od tej pory zachowuje się, jakby Stefan nigdy nie istniał.

– Kiedy mi powiedziałaś o tamtym anonimie, postanowiłem sprawdzić, co u niego. Zgadnij, czego się dowiedziałem.

Ryan zawiesza na chwilę głos.

– Wyszedł z więzienia.

Chwytam mocniej poręcz fotela.

– Jak to możliwe? Przecież dostał dwadzieścia pięć lat!

– Dowiedziałem się dopiero dziś, więc nie znam żadnych szczegółów poza tym, że wyszedł trzynastego czerwca. Nie martw się, pogrzebię w tym i zadzwonię, gdy tylko dowiem się czegoś więcej.

Teraz jego głos brzmi dużo pewniej.

– Nie masz się o co martwić. Na pewno jeszcze długo nie będzie mógł wyjechać z Niemiec.

Walę pięścią w stół.

– Co za paskudny świat – mówię, czując własną bezsilność. – To niepojęte, że po tym, co zrobili, dostają tak niskie wyroki!

– Wiem, co czujesz. Ale to nie koniec. Sprawy jeszcze się toczą. A co do twojego brata, moi ludzie już zajmują się tą sprawą.

Nie podzielam optymizmu Ryana. Skoro Stefan wyszedł, prędzej czy później zjawi się tutaj. Jestem tego pewny, ale muszę czekać, aż Ryan przekaże mi więcej szczegółów, zanim podejmę jakiegokolwiek działania. Mój przyjaciel zna się na tym jak mało kto; mam szczęście, że to on mi pomaga. Mimo to dopadło mnie poczucie zagrożenia. Coś tu nie gra.

– Możesz sprawdzić, czy przekroczył granicę?

– Jimmy właśnie się tym zajmuje. Nie martw się. Pracujemy.

– Wiem, wiem. Jimmy to fachura.

Przypominam sobie radosną twarz Jima okoloną loczkami i mimowolnie się uśmiecham.

– Dziękuję, Ryan, jestem ci naprawdę wdzięczny.

– Nie ma za co. Jesteście oboje w twoim domku letniskowym?

– Tak.

– Dobra. Zadzwoń tam, gdy Jimmy coś znajdzie. Teraz muszę lecieć, ale pogadamy niedługo. Nie wpakuj się w żadną aferę!

– Jasne.

Nie boję się tylko o siebie. Teraz mam też rodzinę, którą muszę chronić. Mój brat to bezwzględna bestia żadna mojej krwi. Ktoś musi mu pomagać, ktoś, kto nie trafił do więzienia tuż po wojnie. Czy to możliwe, że to Gerda Veicht? Nie mam pojęcia, co się z nią działo w czasie powstania. Muszę chronić Wandę i Kalinę, a na to jest tylko jeden sposób. Powinienem wyruszyć do Niemiec, zanim Stefan przyjedzie tu – albo jeszcze gorzej: zanim przyjedzie do Polski.

TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wanda

Większość dnia spędzam na plaży. Pusty dom Finna przypomina mi czas wojny, kiedy czekałam na jego powrót, i te lata, które spędziliśmy osobno, noce pełne tęsknoty i bólu. Przypomina mi też o tym, że nie jestem przy Kalinie, najdroższej istotcie, która ocaliła mnie, kradnąc moje serce.

Szkicuję latarnię morską w Montauk. Znam każdy jej szczegół na pamięć. Dodaję do rysunku widmo legendarnej Abigail, o której wczoraj opowiedział mi Finn. Ta młoda żona kapitana okrętu była jedyną ocalałą z jego pokładu w dzień Bożego Narodzenia 1811 roku. Ocean wyniósł jej ciało na brzeg, ale dziewczyna niedługo potem zmarła. Od tej pory wokół latarni krąży jej duch. Wyobrażam go sobie jako anielską rudowłosą postać w białej sukience.

Odkładam na bok rysunek i z rozkoszą wdycham morskie powietrze. Wszystko to jest dla mnie tak nowe. Gdy byłam jeszcze dzieckiem, rodzice zabierali mnie i brata na wakacje na zatłoczone plaże Bałtyku. Tu jest pusto i spokojnie. Patrząc na majaczącą w oddali żaglówkę, rozmyślam nad tym, jak bardzo ten świat różni się od mojej Polski, w której wciąż wisi nade mną groźba sowieckiego terroru. Tak przyjemnie jest siedzieć na plaży i obserwować przelatujące mewy, zakopywać stopy w ciepłym piasku. Mimo to nie mogę się już doczekać powrotu do dzieci i do mamy. Życie bez nich nie jest życiem, nawet jeśli ceną, jaką za nie płacę, jest ciągły lęk o jutro.

Gdy tak siedzę, próbując się odprężyć, dopada mnie obawa o to, co dzieje się u moich najbliższych. Byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyśmy wszyscy mieszkali w wolnym kraju.

Robi się już późno. Krajobraz skąpany jest w świetlistej poźłocie. Wracam do domu, licząc, że zastanę tam Finna, ale na podjeździe nie ma jego samochodu. Dom pachnie woskiem do podłóg i świeżo ciętymi kwiatami. Finn wspominał, że gospoia przyjdzie dziś posprzątać, lecz już jej tu nie ma. Idę w stronę zakręconych schodów, podziwiając po raz kolejny wysokie stropy, kryształowe kandelabry, kamienne kominki i granitowe posadzki. Umeblowanie zdradza pasję matki Finna, lubiącej się w malarstwie pejzażowym i muzyce. Jest tu nawet fortepian czekający na swego pianistę.

Biorę prysznic i ubieram się w białą letnią sukienkę, po czym postanawiam poczekać na Finna na piętrze. Środkowa sypialnia z szerokim łóżem i miękkimi dywanami jest prawie tak wielka jak cały mój dom. Czuję się mniej samotna w tym pokoju, gdzie wciąż jeszcze unosi się zapach wody kolońskiej mojego narzeczonego. Miękką pościel przypomina mi o naszych nocnych igraszkach.

Przez moment wydaje mi się, że słyszałam dźwięk zamykanych drzwi gdzieś na dole. To dziwne, bo nikt nie szedł potem po schodach. Schodzę z łóżka i podchodzę do okna. Na podjeździe nie ma samochodu, więc to nie Finn. Znad traw podnosi się mgła. Wiatr kołysze czubkami drzew. Podbiegam do stolika nocnego i wyciągam pistolet, który Finn pokazał mi dziś rano. Śmiałam się, gdy mi go prezentował, ale on wyglądał całkiem poważnie. Teraz dopada mnie lęk, że jednak mogę go potrzebować. Czyżby Finn przewidział jakieś niebezpieczeństwo? Nawet tu nie mogę się rozluźnić, choć od wojny dzielą mnie setki kilometrów i kilka lat!

Deszcz uderza w szyby falami. Może to wiatr przyniósł ze sobą tamten dźwięk? Tak, to musiał być wiatr. Muszę się uspokoić albo zaraz dostanę ataku paniki. Odkładam pistolet do szuflady i postanawiam zejść do kuchni, by przygotować dla nas kolację, a przynajmniej sprawdzić, czy gosposia nam czegoś nie zostawiła. Gdy wychodzę na korytarz, nagle coś uderza mnie w głowę. Ciemność.

Odzyskuję przytomność, choć głowa okropnie mnie boli. Widzę twarz Finna, ale to przecież nie są jego oczy! Skręca mnie w trzewiach. Stefan?! Po tylu latach znów widzę przed sobą twarz tego mordercy. Usadził mnie w nogach łóżka. Ręce mam związane za plecami, nogi unieruchomione liną. Zasłony są zaciągnięte. Ostre światło lampy razi mnie w oczy. Nic nie rozumiem z sytuacji, w której się znalazłam. Chciałabym, by to wszystko okazało się złym snem. Myślałam, że brat Finna jest w więzieniu. Zapracował na karę śmierci. Co on, u licha, tutaj robi?!

– Co...

– Zamknij się, zdiro! – rzuca groźnie. – Dla własnego dobra.

Jego zachowanie nie pasuje do eleganckiego garnituru w kolorze antracytu, który ma na sobie.

– Ale...

Uderza mnie w twarz. Jęczę i zamykam oczy. Co za brutal. Ten sam potwór, który zabił tatę, znęca się teraz nade mną. Przełykam nerwowo ślinę, próbując się uspokoić. Muszę być silna i myśleć logicznie. Muszę wymyślić, jak ostrzec Finna, bo przecież lada moment tu będzie.

– Mówiłem, żebyś się zamknęła. Nie martw się. Zdązysz jeszcze pożegnać swojego kochanka.

Śmieje się szyderczo.

– Ładnie ci w tym – mówi głos z oddali.

W drzwiach pojawia się kobieta w białej sukience. Moje serce zaczyna bić mocniej. Co robi tutaj Gerda? I wtedy dociera do mnie: przyszli po Finna.

– Muszę przyznać, że mój brat ma dobry gust. Ten garnitur jest szyty na miarę i faktycznie pasuje jak ulał. Cóż za awans po latach w więziennym drelichu!

Gładko ogolona twarz Stefana jest sztywna jak stalowa maska.

– Zamierzam godnie powitać Finna i dać mu przedsmak tego, jak się będą miały sprawy, gdy jego już tu nie będzie.

Gerda podchodzi do niego i poprawia mu krawat.

– Na pewno sprawisz się lepiej niż on. Zasługujesz na to!

– Jestem cholernie gotowy na to nowe życie – mówi i przyciąga ją do siebie.

Gerda uśmiecha się cynicznie.

– On może wrócić w każdej chwili.

– Nie mogę się doczekać.

Całują się długo. Gdy Stefan odchodzi, Gerda zwraca się do mnie, krzywiąc twarz z obrzydzeniem.

– Ależ mnie smuci, że muszę znów oglądać twoją paskudną mordę.

– Odpuść sobie, Gerda. Nie zamierzam grać w twoje parszywe gierki.

Gerda wyszczerza zęby.

– Ho, ho, wystraszona dziewczynka zhardziiała.

– Co chcesz ugrać?

Gerda puszcza pytanie mimo uszu.

– Widzę, że dobrałyśmy się strojem. Mam dla ciebie smutną wiadomość: na twoim pojawią się niedługo plamy z krwi i błota.

– Jesteś chora – mówię głosem, który drży bardziej, niżbym chciała.

– Z pewnością będą za tobą tęsknić. Mała dziewczynka i jednoręki chłopiec.

– Po co mi to mówisz?

– Podzielisz dziś los swego kochanka, a potem pewnie i grób.

Krzywi usta zadowolona z siebie.

– Nie ujdzie ci to na sucho – mówię, patrząc na nią wrogo. – Finn pracował w FBI. Czeka was śledztwo, a potem więzienie. Najlepsze miejsce dla waszej dwójki.

– Wciąż to do ciebie nie dociera?

Zmuszam się do śmiechu.

– O tak, Gerdo, rozumiem twój mały spisek. Myślisz, że matka albo dziadek Finna nie zorientują się, że mają do czynienia ze Stefanem? Myślisz, że nie wezwą policji albo FBI?

– Nimi też się zajmiemy. Jeśli chodzi o planowanie, mam wybitny talent.

– No tak. Świetnie zaplanowałaś wydanie własnej matki.

Odchyła się gwałtownie. Trafiona.

– Gdzie jest teraz twoja matka? Zabili ją? A może to ty ją zabiłaś?

Kopie mnie w brzuch. Jęczę z bólu.

– Zamknij się, dziwko! – krzyczy cała czerwona.

– Co by powiedziała, gdyby cię teraz zobaczyła? Czy cieszyłaby się, widząc, jak znęcasz się nad innymi, tak jak znęcałaś się nad nią?

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Rozumiem. Trudno dalej żyć, gdy wiesz, że posłałaś na śmierć własną matkę.

Warczy na mnie.

– Nie chciałam jej zdradzać, ale postąpić tak, jak nakazał Führer. Zrobiłam to dla jej dobra!

– Czy to *Mein Kampf* uczyniło z ciebie morderczynię, czy masz to po ojcu?

– Nic nie rozumiesz! – rzuca łagodniejszym tonem. – Nikt nie rozumie. Moje pokolenie było pokoleniem wybrańców. Uczono nas tego. Musieliśmy spełnić pokładane w nas nadzieje.

– I w imię spełniania tych nadziei złamałaś serce własnej matce, która kochała cię ponad wszystko. Gorzej: zdradziłaś ją i tym samym wydałaś na nią wyrok śmierci.

Milknę na chwilę, szukając właściwych słów.

– Jeszcze nie jest za późno, Gerdo. Możesz dać matce powód do dumy. Możesz odkupić grzechy, które popełniłaś podczas wojny, i odnaleźć wewnętrzny spokój. Stefan to chory człowiek. Któregoś dnia zabije i ciebie.

Widzę, jak przez krótką chwilę się waha, ale szybko odzyskuje kontenans.

– Moja matka czuła potrzebę ratowania innych nawet wtedy, gdy mogło to spowodować nieszczęście na nasze głowy. Ja chciałam tylko naprawić jej błędy, pomóc jej wrócić na właściwe tory.

– Myślisz, że twój ojciec wyrzekłby się i ciebie, gdybyś zamiast tego poszła za nią?

– Wysłałby mnie do Ravensbrück... – mówi i nagle milknie.

– Gerda, chodź na dół! – krzyczy Stefan, wytrącając ją z zamyślenia.

– Gerda, ty wciąż możesz wszystko zmienić – mówię mimowolnie błagalnym tonem.

– Już za późno, Wando. O wiele za późno.

Wychodzi. Pierwszy raz, odkąd ją znam, zwróciła się do mnie po imieniu. A więc jednak nie straciła wrażliwości, choć niełatwo znaleźć jej słabe punkty. Z równowagi wytrąciła ją rozmowa o matce, tak jakby z nikim o niej nie rozmawiała.

Poczucie bezsilności rośnie we mnie w niepokohamowany sposób. Trudno mi nawet oddychać. Myśl, że nigdy więcej nie zobaczę dzieci, rozdziera mi serce. Lawinowo narasta we mnie lęk o Finna, który zaraz napotka tych dwoje niebezpiecznych szaleńców. Nie mam nad

niczym kontroli, ale tli się we mnie jeszcze nierealistyczna, uparta nadzieja. Tylko raz w życiu czułam się tak jak teraz – pięć lat temu, tamtej nocy na Pawiaku. Finn dowiedział wtedy, że niemożliwe bywa czasem możliwe; znalazł sposób, by ocalić mnie przed torturami. Teraz moja kolej, by ocalić jego, i muszę coś wymyślić, zanim będzie za późno.

Szarpię rękami, próbując trochę rozluźnić więzy, i udaje mi się uchwycić palcami zwisające końce sznura. Następnie kręcę nadgarstkami, szukając węzła, ale to okazuje się zbyt trudne. Cały czas próbuję, uważnie nasłuchując hałasów z zewnątrz, by móc krzyknąć i ostrzec Finna, zanim wejdzie do domu. Ten plan upada, gdy do pokoju wraca Stefan z kawałkiem ścierki, który wciska mi do ust.

Kwadrans później słyszę dźwięk silnika na zewnątrz. To Finn. Modłę się, by coś zauważył i zachował ostrożność. Słyszę, jak silnik gaśnie. Staram się hałasować, jak tylko mogę, ale po kilku minutach dociera do mnie hurgot z dołu. Serce mi się kraje.

Stefan wciąga bezwładne ciało Finna do sypialni i, z pomocą Gerdy, sadza go na krześle jakieś pięć metrów ode mnie. Przywiązuje ręce i nogi Finna do mebla.

– Zjedzmy obiad – mówi Stefan do Gerdy. – W lodówce na pewno znajdziemy mnóstwo smakołyków.

Śmieje się gorzko.

– Gdy skończymy jeść, ten sukinsyn będzie już przytomny.

Przed wyjściem gasi światło. Mój wzrok przyzwyczaja się powoli do ciemności. Skupiam spojrzenie na nieruchomym kształcie przy ścianie. Uważnie oglądam zarys sylwetki Finna, jakbym chciała go naszkicować. Ostatni szkic mężczyzny, który jest dla mnie wszystkim. Mężczyzny, dla którego byłabym gotowa na największe poświęcenie. Gdyby tylko moje uczucia do niego wystarczyły, by uwolnić go z pułapki zastawionej przez jego wykolejonego brata... Wiem jednak, że nas oboje czeka ten sam los.

Rekonstruuje w myślach każdy centymetr jego ciała z niezwykłą dokładnością. Następnie skupiam się na jego pełnych wyrazu oczach, ciepłym uśmiechu, ostro zakończonym nosie i wysokich kościach policzkowych. Każdy szczegół jest mi niezmiernie drogi. Gdy kończę rysunek w myślach, policzki mam mokre od łez. Obiecuję sobie, że jeśli przeżyjemy ten koszmar, co roku będę malowała jego portret.

Moja miłość do Finna to nie tylko słowa i gesty. Czuję ją w każdym zakątku swego ciała. Ale to nie wystarczy, by go uratować. Modłę się więc. Oddaję serce Bogu i błagam o cud. To miał być nasz początek, nie koniec. Nie zdążył nawet poznać naszej córki. Jakże okrutny jest los, że usuwa nas jak niepotrzebne kreski w szkicu.

Finn podrywa głowę, a z jego gardła wydobywa się jęk bólu.

CZTERDZIESTY

Gerda

Stefan objada się tym, co znalazł w lodówce, ale ja nie mam apetytu. Wolałabym raczej zwymiotować. Siadam więc na sofie w salonie i biorę do rąk mały notatnik i ołówek. Pracuję nad swoim pierwszym romansem. Pisanie o ludziach, którzy się w sobie zakochują, sprawia, że czuję się spełniona. Ale w tej chwili jednak muszę przede wszystkim napisać do mojej *Mutti*.

Droga *Mutti*,

Tak bardzo Cię przepraszam.

Nigdy nie przestałam Cię kochać.

– Co ty tam, do diabła, robisz? – mówi Stefan, stając w drzwiach pokoju z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Chowam notatnik za plecami.

– Nie jestem głodna.

– No to czas iść na górę – stwierdza i znacząco się uśmiecha.

– Powinniśmy ich zamknąć w piwnicy, wyczyścić konta Finna i zniknąć. Na pewno wszystko ci wyśpiewa, żeby uratować swoją kochankę.

– Nie taki był plan, ty kretynko! – krzyczy Stefan. – Postradałaś rozum?

Staję na równe nogi i patrzę mu prosto w oczy. Nie wiem dlaczego, ale pierwszy raz od dawna się go nie boję.

– Jeśli ich zabijemy, będziemy mieć policję na karku. Mądrzej jest zabrać pieniądze i zniknąć, nikogo nie krzywdząc.

Jego spojrzenie robi się coraz bardziej wrogie. W końcu cedzi przez zęby:

– Za dziesięć minut oboje będą trupami.

Pewność, z jaką to mówi, przywołuje mnie do rzeczywistości, a uczucie strachu powraca.

– Jak sobie życzysz.

Wyjmuję pistolet i idę na górę.

– Dobra dziewczynka – mówi i idzie za mną.

CZTERDZIESTY PIERWSZY

Finn

Czuję się tak, jakby ktoś walnął mnie w głowę młotkiem. Co do... Światło nagle się zapala i razi mnie w oczy. Gdy wzrok przyzwyczaja się do intensywnej jasności, czuję przyływ adrenaliny. Ktoś związał Wandę i zatkał jej usta szmatką. Jej nerwowe spojrzenie napotyka moje. Wydaje się przestraszona, ale spokojna, jakby szukała we mnie oparcia.

– Mam nadzieję, że podoba ci się to przedstawienie – mówi zimny głos, który dobrze znam.

Mój brat podchodzi do mnie i opiera się o drzwi szafy, trzymając w ręku pistolet. Mówi po niemiecku. Czuję, że oblewa mnie zimny pot.

– Co ty sobie wyobrażasz, Stefan?

– Lepiej zacznij do mnie mówić „Finn” – odpowiada z uśmiechem. – To pomoże mi się przyzwyczaić.

Rozkłada ramiona.

– Masz niezły gust, braciszku. Zachowam sobie część twojej garderoby.

– Jesteś chory.

Przyjechał tu zrobić ze mną to, co obiecywał w swoich listach. Ale jak udało mu się przekroczyć granicę? Czemu wypuszczono go z więzienia?

Stefan śmieje się chrapliwie.

– Nigdy nie okazywałeś mi szacunku – mówi, a jego twarz tężeje. – Zawsze byłem w twoim cieniu. Teraz wszystko się zmieni.

– To ty zawsze byłeś w centrum uwagi! – wyrzucam z siebie. Łapię się na tym, że mówię coraz głośniejsze. Wiem, że to szaleniectwo, ale muszę go przekonać, by nas oszczędził.

– Nasza Mutter wiecznie naprawiała to, co popsuleś, dopóki nie nadszedł dzień, w którym postanowiłeś poderznąć jej gardło – mówię. – Odebrałeś jej całą siłę do życia i do dziś jest wrakiem człowieka.

– To nie ja ją zniszczyłem. Wziąłem tylko przykład z naszego kochanego ojczulka.

Stefan odrzuca głowę do tyłu.

– Nie przyszedłem tutaj gadać o naszym dzieciństwie – rzuca. – Nienawidzę was wszystkich. Wstyd mi, że jestem częścią tej rodziny.

– A więc to dlatego nie chciałeś się z nią zobaczyć, gdy odwiedziła cię w więzieniu?

Ten człowiek nie zna czegoś takiego jak poczucie winy.

– Szkoda mi na was czasu!

Patrzy na mnie złowrogo.

– Zdradziłeś mnie – mówi, a jego spojrzenie wędruje w kierunku pistoletu. – Wiecznie próbowałeś mnie rozumieć, ale te wszystkie twoje perory o moralności spływały po mnie jak po kacze. Nie zamierzałem cię krzywdzić, dopóki nie pomogłeś tym polskim sukinsynom mnie zdjąć, żeby zająć moje miejsce.

Czyli wie, że go zastąpiłem.

– Byłeś brutalnym mordercą – wtrącam. – Nie zgrywaj biednej owieczki.

– Zająłeś moje miejsce i zostawiłeś mnie na pastwę tych polskich pasożytów. Nie zasługujesz na miano mojego brata, a dziś ty i twoja kurwa zapłacicie za tę zdradę.

Myślę teraz jaśniej. Muszę znaleźć sposób, by do niego dotrzeć, by przekonać go, żeby nas oszczędził.

– Polskie podziemie wydało na ciebie wyrok śmierci. To ja cię ocaliłem. Przekonałem, by zamieniono go na więzienie. Bez tego nie byłoby cię tutaj.

– Jakoś nie czuję wdzięczności. Tego możesz być pewny.

Krzywi usta w złośliwym uśmiechu.

– Teraz to ty masz związane ręce, a ja jestem zdecydowanie mniej szlachetny.

Nie ma po co się z nim spierać. Wiem to nie od dziś.

– Jeśli chodzi ci o pieniądze, mogę ci je oddać – proponuję. – Uwolnij nas, a przekażę je na twoje konto.

– Mnie chodzi o twoją krew.

– W takim razie wypuść ją. Ona nic złego ci nie zrobiła.

Staram się sprawić, by w moim głosie nie było słycać błagalnego tonu.

– Czemu miałbym odmawiać sobie radości obserwowania, jak cierpisz, widząc jej ból? Poza tym nasza droga Gerda długo czekała na tę rozrywkę. Z jakiegoś powodu nie przepada za twoją kochanką.

– Dam ci wszystko, czego chcesz! – krzyczę łamiącym się głosem.

Stefan śmieje się kpiąco.

– Kocham cię, mój bracie – mówię. – Jeszcze nie jest za późno, by naprawić to, co się między nami popsuło. Wypuść nas, a ja nie powiem nikomu, co tu się stało. Nie musisz mnie udawać, by dostać moje pieniądze. Dam ci wszystko, czego zażadasz.

– Nie będę słuchał tych cholernych bzdur. Czy kiedykolwiek dałeś dowód tej swojej miłości? Czym w ogóle jest miłość? To puste słowo. Nic dla mnie nie znaczysz i jedyne, co mnie teraz uszczęśliwi, to z dawna wyczekiwana zemsta. Czekałem na ten dzień, odkąd mnie zdradziłeś, i zamierzam się nim delectować.

Podnosi wzrok na coś, co znajduje się za moimi plecami.

– Gerdo, kończymy te pogaduszki – mówi. – Czas działać.

Do pokoju wchodzi Gerda. Zbliża się do Wandy. Ma w ręku pistolet. Zachowuje się jakoś inaczej: jest cicha i jakby nieobecna. Gerda, którą znałem, nie przepuściłaby okazji, by wyszczerzyć na mnie kły i obrzucić wyzwiskami, które były jej ulubioną bronią.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – mówi Stefan głosem, w którym wyraźnie słychać zniecierpliwienie. – Co z tobą?

– Wszystko gra, Stefan. Zamknij się.

– Moja dziewczyna – odpowiada i uśmiecha się, prezentując śnieżnobiałe zęby. – Zaczynaj może nasz pokaz, tylko pamiętaj: zrób tak, jak ci mówiłem. Ona musi konać długo i w boleściach.

Gdy Wanda to słyszy, jej oczy otwierają się szerzej. Czuję, jak napina mi się kręgosłup.

– Nie rób tego, Gerda! Nikogo do tej pory nie zabiłaś, nie zaczynaj teraz!

Odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie uważnie. W jej oczach nie widzę hardości. Tli się we mnie isierka nadziei. Coś się w niej zmieniło od końca wojny, przestała być impulsywna i surowa. Dlaczego więc jest tu ze Stefanem?

– Bierz przykład z matki, Gerdo. Ona była dobrą kobietą.

Gerda krzywi się, jakbym spoliczkował ją tymi słowami, ale milczy.

– Stul dziób – rzuca do mnie Stefan, przystawiając mi pistolet do czoła.

– Nie mogę – mówi Gerda i robi krok w tył.

– Co, do licha! – syczy Stefan i odskakuje ode mnie, celując do Wandy. – Miętka jesteś, cukiereczku. Zaraz pokażę ci, jak się to robi.

Uśmiecha się do Gerdy.

– Tylko patrz.

Stoi na tyle blisko, że mógłbym go dosięgnąć. Spinam mięśnie i zbieram wszystkie siły, by unieść się razem z krzesłem i rzucić na jego plecy. Gdy się pode mną ugina, próbuję wyrwać mu pistolet związanymi rękami. Stefan natychmiast dochodzi do siebie i skacze na równe nogi.

– Leżeć! – krzyczy, lecz jego oddech jest płytki. Podchodzi do mnie i podnosi nogę, by przydeptać butem moją głowę. Czuję się tak, jakby czaszka miała mi pęknąć na pół. – Będziesz tu teraz leżał jak pasożyt z przetrąconym karkiem, a ja się postaram, by twoja kurwa solidnie się nacierpiała.

Boże, jeśli istniejesz, błagam, uratuj ją! Nie modliłem się od lat, ale w tej strasznej chwili jesteś moją ostatnią nadzieją. Zamykam oczy i wypełniam cały umysł modlitwą, której nauczyła mnie pani Ela, gdy byłem dzieckiem. Całkowicie oddaję się boskim wyrokom. Czuję, jak ogarnia mnie ukojenie.

Nagły dźwięk wystrzału ogłusza mnie. Krew zastyga w żyłach. Oczy wypełniają piekące łzy. Odchylam głowę i widzę Wandę – całą i zdrową, z szeroko otwartymi oczami, jakby była w szoku. I wtedy dociera do mnie, że but Stefana przestał uciskać moją głowę. Obracam ją na bok i widzę obok siebie jego martwe ciało. Obok stoi Gerda, jak zahipnotyzowana, z pistoletem w drżącej ręce.

Mój brat nie żyje. Został po nim tylko metaliczny zapach prochu. Do końca pozostał po stronie cienia. Straciłem go już dawno, ale wciąż wyrzucam sobie, że nie udało mi się go ocalić, przekonać, by porzucił zło. Moje spojrzenie wędruje ku Wandzie. Wpatruję się w jej łagodne oczy. Po jej policzkach płyną łzy. Nagle czuję radość, że Bóg wysłuchał moich modlitw i ją ocalił.

– Przepraszam cię, kochanie – mówię, próbując powstrzymać łzy, ale te nie chcą mnie słuchać.

To nie jest jeszcze koniec – ten nastąpi, gdy Gerda odrzuci pistolet. Stoi teraz nieruchoma jak posąg, patrząc na Stefana. Broń wciąż ma wycelowaną w niego, jakby chciała się upewnić, że mężczyzna się nie poruszy.

– Jesteś cała, Gerdo? – pytam, próbując przywołać ją do rzeczywistości.

Tylko ona może nas uwolnić, ale niepokoję się, że chce zrealizować inny plan. W głowie wciąż mam wspomnienie tamtej Gerdy; ludzie tak szybko się nie zmieniają. Niemka wpatruje się we mnie tak intensywnie, jakby oczekiwała pochwały za swój czyn.

– Zrobiłaś, co należało. Twoja matka byłaby z ciebie dumna.

– Nie miałam wyboru – mówi niskim, pełnym bólu głosem. – Zabiłby nas wszystkich. Miał mnie za idiotkę.

Śmieje się nerwowo, po czym zerka na pistolet.

– To był zimny drań, a ja go nienawidziłam. Nie mogłam pozwolić, by skrzywdził mnie tak, jak mój ojciec skrzywdził moją matkę.

Patrzy na Wandę, potem znowu na mnie.

– Zakochałam się w tobie, nie w nim. Ty mnie szanowałeś, okazywałeś sympatię, choć byłam przecież zepsutym bachorem. Kiedy Stefan wyszedł z więzienia, myślałam, że zaczniemy od początku, ale jemu zależało tylko na zemście. Nie starczyło mi sił, by opuścić jego i ojca. Byłam zbyt słaba, by odmówić udziału w tym spisku. Zamiast tego wymyśliłam własny plan. Zabić Stefana, gdy nie będzie się tego spodziewał, a potem zabić ją.

Wskazuję Wandę pistoletem.

– Wszystko po to, byś był mój. Ty, jedyny mężczyzna, który okazał mi ciepło i wiele dobroci.

W jej twarzy przez moment widzę niemą prośbę.

– I wtedy usłyszałam głos mojej matki. Mówiła ustami Wandy. Przypomniała mi, jaką krzywdę wyrządziłam jej lata temu. Choć ten jeden raz muszę się zachować jak moja *Mutti*.

Śmieje się nerwowo.

– Teraz też słyszę jej głos w głowie. Mówi mi, że nawet jeśli zabiję Wandę, nigdy nie będziesz mój.

Unosi rękę i przystawia sobie pistolet do głowy.

– Ona mnie wzywa.

Odciąga kurek.

– Błagam was oboje o wybaczenie. Idę do niej.

Cały się spinam. Gerda zachowuje się, jakby znajdowała się w innym świecie, oderwana od rzeczywistości. Czy to jakiś narkotyk? Postanawiam przemówić do niej tak, jak ona mówi do nas.

– Wybaczamy ci, Gerdo. Wszyscy błądzimy, a twojej matce należy się wdzięczność za to, że sprowadziła cię z tej mrocznej ścieżki.

Gerda patrzy mi w oczy, ale nadal wydaje się nieobecna. Muszę ją przekonać, by została z nami.

– Zapewniam cię, że chciałaby, byś żyła dalej. Jeśli zginiesz, Gerdo, twoja matka nigdy nie zobaczy, jak idziesz do przodu, z otwartym sercem. Jesteś jej to winna: przeżyj, by czynić dobro, tak jak ona je czyniła.

Po jej policzkach spływają łzy.

– Jak możesz tak mówić po tym, co zrobiłam?

– Wierzę w przebaczenie. Oddałbym wszystko za to, by mój brat wszedł na drogę odkupienia, której teraz szukasz. Możesz być pewna, że matka wybaczyła ci już dawno, bo kochała cię i wiedziała, że ty też ją kochasz.

– Rzuć broń i połóż ręce na karku – burczy Jimmy.

Jak bardzo chciałem go usłyszeć!

Jego nagła obecność zaskakuje Gerdę, ale ta nie opuszcza pistoletu ani nie naciska spustu. W jej twarzy widzę teraz coś innego – wewnętrzny spokój.

– Zrób to, co on ci każe, Gerdo. Zaslugujesz na drugą szansę.

Uśmiecham się do niej przyjaźnie.

– Nie będziemy cię o nic oskarżać. Uwierz mi, proszę.

– Nie zasługuję na drugą szansę. Gdyby nie ja, *Mutti* by żyła. Zdradziłam ją i wszystko, czego mnie nauczyła.

Jej usta wykrzywiają się w smutnym uśmiechu.

– Wzięłam stronę ojca i zapomniałam, co to znaczy być porządnym człowiekiem.

Jimmy podchodzi bliżej. Gerda tylko na niego patrzy.

– Proszę pani – mówi Jimmy spokojnie, jakby ją hipnotyzował. – Proszę oddać mi tę broń, a ja się panią zajmę. Jest pani w dobrych rękach, obiecuję.

Gerda dalej patrzy na niego, ale po chwili, ku mojemu zdziwieniu, oddaje pistolet. Pierwszy raz widzę, żeby Jimmy z kimkolwiek obchodził się tak łagodnie. Prowadzi ją do krzesła.

– Bardzo mi przykro, ale muszę na razie związać pani ręce, dopóki nie uporamy się z tą sytuacją.

Mimo wszystko cieszę się, że jest wobec niej taki uprzejmy.

– Ryan dzwonił do ciebie milion razy, ale linia była rozłączona – mówi Jimmy, rozwiązując mnie. – Nie spodobało nam się to, więc kazał mi podjechać i sprawdzić, czy wszystko okej.

– Dobrze zrobił. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę.

Jimmy się uśmiecha.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ja się cieszę, że jesteś cały.

Podchodzę do Wandy na sztywnych nogach, delikatnie wyjmuję z jej ust szmatkę i drżącymi rękami rozwiązuję pętające ją sznury. Biorę ją w objęcia. Serce wali mi jak młotem.

– Bardzo cię przepraszam, najdroższa. Przepraszam, że musiałaś przez to przejść.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Straciłeś brata – mówi głosem pełnym smutku.

– Dawno temu – odpowiadam. Czuję spokój, gdy mam ją w ramionach, gdy wiem, że jest cała i zdrowa.

– Myślałam, że zginiemy – szepcze niepewnie. Jej dolna warga drży.

– Bóg ma co do nas inne plany, kochanie.

Podnoszę jej brodę kciukiem i delikatnie całuję w usta. Mają słony smak łez. Obiecuję sobie, że będę ją tak całował co dzień przez resztę życia.

EPILOG

Siedem miesięcy później
Lotnisko Idlewild, Nowy Jork

Ludzie wpadają na nas, próbując nas wyminąć, ale ja nie mogę się ruszyć. Po prostu nie potrafię oderwać od niego oczu. Nie pomaga mi to błogie ciepło, które czuję w środku. Mięśnie jego twarzy napinają się, gdy patrzy na twarze napływających pasażerów. To nas szuka.

Gdy nasze spojrzenia w końcu się spotykają, na jego twarzy widać natychmiastową ulgę, a moje serce bije szybciej. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi Finna. Nie widzieliśmy się siedem miesięcy, ale dzięki jego determinacji nareszcie możemy być razem. Nie wiem, co zrobił, by załatwić dla nas papiery, ale z polskiej perspektywy wydaje się to cudem. Mam tylko nadzieję, że któregoś dnia mama zmieni zdanie i do nas dołączy. Zdecydowała się przeprowadzić do cioci Krysi i wujka Mirka. Szanuję jej decyzję, lecz boli mnie, że będziemy daleko od siebie. Wciąż doskwiera mi lęk, że Urząd Bezpieczeństwa zacznie się nami interesować. Wiem też, że rozstanie nie jest łatwe dla Kubusia.

Finn nie rusza natychmiast w moim kierunku. Zamiast tego patrzymy na siebie w zachwycie. Tęsknota i uwielbienie, które biją z jego oczu, sprawiają, że brakuje mi tchu. W tej chwili marzę tylko o jego dotyku. Finn, jakby wyczytał to w moich myślach, podchodzi bliżej i obejmuje mnie z takim uczuciem, że prawie tracę przytomność.

– Jesteś – szepcze i całuje mnie w usta.

Wydaje mi się, że zemdleję od nadmiaru emocji krążących w moim ciele. On dalej mnie całuje, a ja czuję się upojona szczęściem. Gdy w końcu odrywa ode mnie usta, uśmiecha się i kuca przy Kalinie, która stoi obok z Kubusiem i patrzy na nas zdezorientowana.

– Cześć – mówi.

Drugi raz w życiu widzę w jego oczach łzy. Moja mała dziewczynka robi zawstydzoną minę, ale przyciska lalkę do piersi i pyta:

– Jest pan moim tatą, prawda?

– Tak, księżniczko!

Podnosi ją i przez dłuższą chwilę trzyma w ramionach. Potem uśmiecha się do Kubusia i wyciąga do niego dłoń.

– Czołem, kolego. Dużo o tobie słyszałem.

Kubuś kiwa głową i podaje mu rękę.

– Cześć – mówi i uśmiecha się. Wygląda to tak, jakby już się znali, ale przecież wiem, że to nieprawda.

Zanim tu dotarliśmy, bałam się, że Kubuś rozpozna w Finnie mężczyznę, który zabił mojego tatę. Był wtedy mniejszy, ale zdarza się, że tak straszne wspomnienia zostają z człowiekiem na całe życie. Wyjaśniłam mu, co się wtedy stało i jaką rolę grał w tej historii Finn. Cieszę się, że to zrobiłam, bo teraz jest nam wszystkim łatwiej. Robi mi się ciepło na sercu, gdy widzę, że od razu się polubili.

Finn bez słowa przyciąga do siebie całą naszą trójkę. Po tym wszystkim, co nas spotkało, pragnę, by ta chwila trwała wiecznie.

OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy,

chciałabym bardzo podziękować za wybór *Kochając wroga*. Jeśli lektura sprawiła Wam przyjemność i chcecie na bieżąco śledzić moje najnowsze publikacje, po prostu kliknijcie w podany poniżej link. Wasz adres mailowy nie zostanie wykorzystany w żadnym innym celu i w każdej chwili możecie zrezygnować z subskrypcji.

www.bookouture.com/gosia-nealon

Mam nadzieję, że powieść *Kochając wroga* podobała się Wam, a jeśli tak, byłabym bardzo wdzięczna za Wasze recenzje. Marzę o tym, żeby się dowiedzieć, co myślicie – to bardzo pomoże innym czytelnikom odkryć jedną z moich książek.

Uwielbiam, gdy moi czytelnicy się do mnie odzywają – możecie się kontaktować przez moją stronę na Facebooku, Twitterze, Goodreads lub moją stronę internetową.

Dziękuję,

Gosia

www.gosianealon.com

facebook.com/GosiaNealonHistoricalFiction

twitter.com/GosiaNealon

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować Natalie Edwards – mojej niesamowicie utalentowanej redaktorce z Bookouture, za jej miłe i dodające odwagi podejście. Praca z nią była niezwykle inspirująca i bardzo przyjemna.

Wielkie dzięki dla reszty ekipy Bookouture za niesamowite wsparcie.

Specjalnie dziękuję swojemu fantastycznemu mężowi za wsparcie i wiarę we mnie, a także swoim cudownym dzieciom za to, że każdego dnia mnie inspirują.

Specjalne podziękowania należą się także mojej wspaniałej siostrze Kasi i jej rodzinie za to, że zawsze przy mnie są i mnie wspierają.

A także moim ukochanym rodzicom, braciom Tomkowi i Mariuszowi z rodziną, a także teściom – za to, że zawsze we mnie wierzą.

Dziękuję też wspaniałym czytelniczkom i czytelnikom za liczne słowa wsparcia i otuchy – otrzymałam ich wiele za pośrednictwem mediów społecznościowych, w recenzjach, w prywatnych mailach i wiadomościach.

Wyrazy wdzięczności składam również tym którzy pomagali mi przy pierwszej wersji książki (*The Last Sketch*): Jennifer Caven, Jennie Rosenblum, Sarze Kocek, Cate Hogan, Stevenowi Moore'owi, Lissie Orban, Shari Ryan, Elizabeth Klett oraz czytelnikom książki w wersji beta.

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Część I

Pierwszy

Drugi

Trzeci

Czwarty

Piąty

Szósty

Siódmy

Ósmy

Dziewiąty

Dziesiąty

Jedenasty

Część II

Dwunasty

Trzynasty

Czternasty

Piętnasty

Szesnasty

Siedemnasty

Osiemnasty

Dziewiętnasty

Dwudziesty

Dwudziesty pierwszy

Dwudziesty drugi

Dwudziesty trzeci

Dwudziesty czwarty

Dwudziesty piąty

Dwudziesty szósty.

Dwudziesty siódmy.

Dwudziesty ósmy

Dwudziesty dziewiąty.

Trzydziesty

Trzydziesty pierwszy.

Część III

Trzydziesty drugi

Trzydziesty trzeci

Trzydziesty czwarty.

Trzydziesty piąty.

Trzydziesty szósty.

Trzydziesty siódmy.

Trzydziesty ósmy.

Trzydziesty dziewiąty.

Czterdziesty.

Czterdziesty pierwszy.

Epilog

Od Autorki

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

Her Secret Resistance

Copyright © Gosia Nealon, 2021, 2023

Published in Great Britain in 2023 by Bookouture, an imprint of Storyfire Ltd.

Projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Źródło ikonograficzne

Archiwum M. Banachowicz

Redaktorka nabywająca

Kinga Janas

Redaktorka prowadząca

Marta Waleszczyk-Brzezińska

Opieka redakcyjna

Katarzyna Mach

Adiustacja

Aleksandra Kiełczykowska

Korekta

Barbara Gąsiorowska

Marta Tyczyńska-Lewicka

Copyright © for the translation by Antoni Górny

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2024

ISBN 978-83-240-6916-3

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek